cena 12 PLN (w tym 8% VAT) www.panstwo.net indeks 211060 #205 09/2023

Jurij Szczerbak
RZECZPOSPOLITA NASZYCH MARZEŃ

Hanna Shen
PIERWSZY RAZ W HISTORII POLSKA TAK WAŻNA DLA AZJI

Agnieszka Kowalczyk
DZIECI PAWIAKA – POTOMKOWIE „BIAŁYCH ORŁÓW”

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA

NOWE PAŃSTWO

„ŻEBY POLSKA BYŁA POLSKĄ”

czyli stawka wyborów 2023

ILUSTRACJA MARIUSZ TROLIŃSKI STUDIO
FOT. ADOBE STOCK

ISSN 1895-4960

eprasa.pl 4003efe9b0

TEMAT NUMERU ▼ 4–13



„Żeby Polska...", czyli stawka wyborów 2023 / 4

KRAJ ▼ 14–25



Pierwszy raz w historii Polska tak ważna dla Azji / 14

IDEE ▼ 26–43



Rzeczpospolita naszych marzeń / 26

HISTORIA ▼ 44–62



Piłkarz i strzelec ze Starobielska/ 44

KULTURA ▼ 68–85



Każda monokultura zabija / 68

ŚWIAT ▼ 86–97



Przed Ukrainą była Gruzja. Gdyby posłuchano Kaczyńskiego... / 86

Spis treści

TEMAT NUMERU

Piotr Lisiewicz
„Żeby Polska...", czyli stawka wyborów 2023 4

Jakub Augustyn Maciejewski
Nasze polskie „prawie" zwycięstwa 8

Ryszard Czarnecki
16 powodów, dla których trzeba wygrać wybory 13

KRAJ

Hanna Shen
Pierwszy raz w historii Polska tak ważna dla Azji 14

Grzegorz Wszołek
Referendum Komorowskiego, czyli największa klapa demokracji bezpośredniej w III RP 18

Stefan Czerniecki
Gdy gąskom wcale niespieszno do domu, czyli o „Bałtyckim Trójkącie Bermudzkim" 21

IDEE

Jurij Szczerbak
Rzeczpospolita naszych marzeń 26

Dariusz Jarosiński
Unia Europejska wrogiem Europy 32

Ewa Polak-Pałkiewicz
Najdziwniejszy na świecie kraj 38

HISTORIA

Piotr Lisiewicz
Piłkarz i strzelec ze Starobielska 44

Agnieszka Kowalczyk
Dzieci Pawiaka – potomkowie „Białych orłów" 50

Marzena Szpakowska
Kwiatek z Góry Kościuszki 56

Tadeusz Romanowicz
Sprawa polska a sprawa wschodnia 60

KULTURA

Z Piotrem Bernatowiczem rozmawia Józef Pałkiewicz
Każda monokultura zabija 68

Hanna Shen
Przerażająca prawda o chińskim reżimie 74

Krzysztof Karnkowski
Do Norwegii i z powrotem. Niekompletna autobiografia Andrzeja Dziubka 77

Tomasz Łysiak
Umberto Eco i podróż za sekretem włoskiej kuchni 78

Małgorzata Matuszak
Bajki poprawne politycznie? Absurdy współczesnej rzeczywistości 81

Krzysztof Karnkowski
Lato krótkich filmów 84

ŚWIAT

Antoni Rybczyński
Przed Ukrainą była Gruzja. Gdyby posłuchano Kaczyńskiego... 86

Hanna Shen
Tak minął miesiąc w Azji 92

Antoni Rybczyński
Kuszenie Afryki. Rosja oferuje zboże i Wagnera 94

Stałe rubryki



Katarzyna Gójska
Od polskich wyborów będzie zależała przyszłość naszej części Europy
NA POCZĄTEK 3



Małgorzata Matuszak
Czym jest... intuicja
KATECHIZM INTELIGENTA 31



Marek Kalinowski
Cud w Newport
DO GRAJĄCEJ SZAFY... 63



Krzysztof Wołodźko
Zbrodniarze, politycy i biurokraci. Problem niemieckich reparacji
DZIENNIK LEKTUR 64



Ryszard Czarnecki
W Baku domy mówią po polsku
CZARNECKO TO WIDZĘ 91



Marcin Wolski
Plac na rozdrożu
PAPKULTURA 98



Tomasz Sakiewicz
Nowa światowa ekonomia
OSTATNIE SŁOWO 99

miesięcznik
WYDAWCA
SŁOWO NIEZALEŻNE Sp. z o.o.
REDAKCJA
02-056 Warszawa
ul. Filtrowa 63/43
e-mail: redakcja@niezalezna.pl
www.panstwo.net

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA
NOWE PAŃSTWO

ZESPÓŁ
Ryszard Czarnecki, Stefan Czerniecki, Bogusław Dopart, Katarzyna Gójska (redaktor naczelny), Dariusz Jarosiński, Marek Kalinowski, Krzysztof Karnkowski, Agnieszka Kowalczyk, Piotr Lisiewicz, Ewa Polak-Pałkiewicz, Małgorzata Matuszak, Tomasz Sakiewicz, Hanna Shen, Bohdan Urbankowski, Grzegorz Wierzchołowski, Marcin Wolski, Krzysztof Wołodźko

SEKRETARZ REDAKCJI
Martyna Hajdo-Trolińska

DYREKTOR WYDAWNICZY
Tomasz Sakiewicz

PROJEKT GRAFICZNY
Mariusz Troliński

DTP
Aleksander Razcwarkow

KOREKTA
Maria Fijołek, Irena Biśta-Kanciała

INFORMACJA O PRENUMERACIE
www.prenumerata.swsmedia.pl
prenumerata@swsmedia.pl
tel. 605 900 002
NUMER KONTA DLA PRENUMERATORÓW

NIEZALEŻNE WYDAWNICTWO SP. Z O.O.
BANK PEKAO SA
82 1240 5963 1111 0010 3867 3017
(przelew z zagranicy SWIFT: PKOP PL PW)

DRUK **LOTOS POLIGRAFIA Sp. z o.o.**

Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania i redagowania tekstów.
ISSN 1895-4960

eprasa.pl 4003efe9b0



Katarzyna Gójska

Od polskich wyborów będzie zależała przyszłość naszej części Europy

15 października odbędą się najważniejsze wybory w wolnej Polsce. Istotniejsze od tych z 1989 roku, bo w przeciwieństwie do tamtych, nie będą miały z góry określonej części wyniku. A będą faktycznie o tym samym – czy nasze państwo ma być w pełni demokratyczne i suwerenne. Czy dalej ma oczyszczać swoje struktury z postkomunizmu.

Wraz z rozpoczęciem realizacji polityki resetu wobec Rosji, Tusk stał się patronem wszelkich środowisk, które w ostatniej fazie władały komunistycznym tworem o nazwie PRL. Widać wyraźnie, jak pogłębianie usłużności wobec Kremla ubogacało polityczną bazę przewodniczącego Platformy – wówczas też premiera – o peerelowski aparat władzy i represji. Handel pamięcią i rangą Katynia – jakże jaskrawo ukazany w premierowym odcinku drugiego sezonu serialu dokumentalnego Cenckiewicza i Rachonia – był gwałtownym przyśpieszeniem tego procesu. Śmierć Prezydenta RP i całej towarzyszącej mu delegacji – wręcz jego erupcją. Od tego momentu cała postkomunistyczna machineria wpływu, wszelkie aktywa, jakimi ten system dysponował, zaczęły bez zacięcia i z żelazną konsekwencją pracować na Tuska. I pod tym względem nic się nie zmieniło do dziś. Poza jednym – ten sojusz dziś jest już zupełnie wprost manifestowany i prezentowany przez byłego premiera jako powód do dumy. Szef totalnej opozycji jest dziś absolutnie jawnie reprezentantem interesów bezpieki, sędziowskiej kasty utrzymującej peerelowskie standardy, środowiska Urbana, ostatnich przywódców PZPR oraz ludzi budujących swe kariery na niejasnych i niezwykle silnych relacjach z Rosją. Jednocześnie wszyscy oni bez mrugnięcia okiem wtłoczyliby Rzeczpospolitą w geopolityczną konstrukcję, którą z takim zapałem przez lata budowali Merkel z Putinem i której czynnemu popieraniu przewodniczący PO zawdzięcza swą unijną karierę. W czasach swoich rządów realizował wszelkie potrzeby tego dewastującego suwerenność Polski przedsięwzięcia. Dziś powraca przysłany jakby na dogrywkę. W tej misji wspiera go cała postkomuna, widząc w jego powrocie do władzy szansę na renesans swojego statusu. Tusk nie ma żadnej oferty dla Polaków. Ma jedynie propozycję dla tych – z kraju i z zagranicy – którzy widzą nasz kraj w roli bezwolnego przedmiotu relacji międzynarodowych, żerowiska dla różnej maści układów patobiznesu. Zbliżające się wybory w jednym aspekcie bardzo mocno przypominają te z 1989 roku. Przed 34 laty przesądzono ich wynik, zanim się odbyły – dziś, w zupełnie innych realiach, widzimy przygotowania pod próbę ich ewentualnego odwołania. W 1989 roku zmieniano nawet prawo, by wypełnić przedwyborcze ustalenia, bo Polacy nie chcieli się im poddać. Teraz, na naszych oczach, absolutnie jawnie, budowany jest grunt pod podważenie legalności decyzji obywateli Rzeczypospolitej, gdyby znowu – jak w 1989 roku – nie chcieli zagłosować zgodnie z oczekiwaniami Berlina, Brukseli czy Rosji. 15 października polska demokracja zostanie wystawiona na niezwykle ważny i być może trudny test. Od tego, jak z niego wyjdzie, będzie zależała przyszłość nie tylko naszej ojczyzny, lecz także naszej części Europy. ■

TUSK NIE MA ŻADNEJ OFERTY DLA POLAKÓW. MA JEDYNIE PROPOZYCJĘ DLA TYCH – Z KRAJU I Z ZAGRANICY – KTÓRZY WIDZĄ NASZ KRAJ W ROLI BEZWOLNEGO PRZEDMIOTU RELACJI MIĘDZYNARODOWYCH, ŻEROWISKA DLA RÓŻNEJ MAŚCI UKŁADÓW PATOBIZNESU.

eprasa.pl 4003efe9b0



Copyright © Wydawnictwo Niezależna Gazeta Polska sp. z o.o. 4003efe9b0

Piotr Lisiewicz



„Żeby Polska...”, czyli stawka wyborów 2023

Pieśnią, która dźwięczy mi w uszach przed wyborami roku 2023, jest znowu „Żeby Polska była Polską” Jana Pietrzaka. No więc odtwarzam sobie w głowie z pamięci: „Zrzucał uczeń portret cara, ksiądz Ściegienny wznosił modły, opatrywał wóz Drzymała, dumne wiersze pisał Norwid...”. I nagle myśl: przecież całe życie księdza Piotra Ściegiennego i Cypriana Kamila Norwida minęło w niewoli, oni ani sekundę nie żyli w Polsce niepodległej, nie oddychali powietrzem wolnego kraju. Jeden Michał Drzymała jej doczekał, choć długo trwało, zanim mu ona podziękowała. I tak sobie myślę, że jeśli w tych wyborach Polacy zrzekliby się niepodległości, bylibyśmy najgłupszym pokoleniem w historii Polski.

ILUSTRACJA MARIUSZ TROLIŃSKI STUDIO
FOT. ADOBE STOCK

Bo koniunktura na niepodległość Polski w roku 2023 jest lepsza niż kiedykolwiek w ciągu ostatnich 250 lat. Stany Zjednoczone stawiają na wzmacnianie Polski przeciwko Rosji, ale także nieoficjalnie, ostrożnie, wbrew Niemcom. Międzymorze zaczęło działać, odbudowujemy szlaki północ-południe. W Europie media piszą, że trzeba było słuchać Polski w sprawach Rosji. I że Polacy zachowali się wspaniale, wspierając kobiety i dzieci z Ukrainy.

Jeden powód

Katarzyna Gójska, redaktor naczelna „Nowego Państwa", zastanawiając się, jak powinien wyglądać ten jego przedwyborczy numer, powiedziała mi: „Może napisz dziesięć powodów, dla których te wybory są najważniejsze". No i mógłbym napisać, co oznacza wygrana opozycji w gospodarce, kulturze czy polityce społecznej. Jestem zwolennikiem tekstów w konwencji „10 powodów", bo przejrzyście pokazują sprawy, które bywają rozmywane. Ale gdy zacząłem zbierać się do pisania takiego artykułu, przeszło mi przez głowę, że to nie tak, bo powód jest tak naprawdę tylko jeden i fundamentalny: negacja niepodległości Polski przez opozycję, która nie jest żadną lewicą ani liberałami czy narodowcami, ale po prostu antypolską targowicą. Bo gdyby wygrana któregoś z opozycyjnych ugrupowań oznaczała tylko zmiany, gdy chodzi o podatki czy nawet kwestie ideologiczne, dałoby się jego rządy przeżyć. Rzecz w tym, że zmiana geopolityczna, której opozycja by dokonała, groziłaby likwidacją niepodległości.

Tę fikcję opozycyjnych narracji łatwo wychwycić. Michał Kołodziejczak, niegdyś entuzjastycznie witany w telewizji wRealu24 Marcina Roli, jest dziś z Donaldem Tuskiem. A na Podkarpaciu Małgorzata Zych, walcząca z ukrainizacją u boku Grzegorza Brauna, została kandydatką już nie Konfederacji, lecz paktu senackiego, czyli m.in. PO i Lewicy. Pamiętam, jak na studiach na politologii wykładowca kazał nam zapisywać poszczególne polskie partie do światowych nurtów: ci to socjaldemokraci, tamci konserwatyści... Denerwowało mnie to już jako 20-latka. Nie, u nas tamte podziały nie mają zastosowania, od 1989 roku obozy są tylko dwa: niepodległościowy i, jak nazwał to niedawno Jarosław Kaczyński, „potężny obóz zdrady narodowej". I ten drugi niezmiennie stara się zagospodarować lewicę, centrum i prawicę. Reszta to zawracanie głowy. Wystarczy pooglądać gangsterskie kanały na YouTube, by przekonać się, że w mafii pruszkowskiej też byli gangsterzy lewicowi i prawicowi, a nawet religijni. Tyle że to są nieistotne ciekawostki, bo najważniejsze było, że mafia to mafia. Tak samo jest z opozycją.

Piękne, ale smutne

Gdy rok temu, 15 sierpnia, na dziedzińcu Zamku Królewskiego w Sanoku słuchałem koncertu polskich piosenek i pieśni w wykonaniu zespołu Soul Sanok i jego twórczyni, naszej współczesnej Hanki Ordonówny, czyli Moniki Brewczak, postanowiłem zrobić eksperyment. Zapomnieć, że wiele z nich znam na pamięć. Wyłączyć wiedzę o historycznych kontekstach. I posłuchać tych piosenek uchem mojej 14-letniej wtedy córki, najczęściej słuchającej koreańskiego k-popu (słucham go często razem z nią, a co, w końcu Koreańczycy to nasz ważny sojusznik). A może nawet nie jej uchem, bo ona wie więcej o naszej historii niż wielu starszych, lecz uchem jej rówieśniczek. No więc słuchałem „Mazurka Dąbrowskiego" i „Roty" oraz dziesiątek mniej znanych polskich piosenek w znakomitym wykonaniu i towarzystwie, tak jakbym słuchał ich pierwszy raz. I w pewnym momencie spojrzałem na córkę i zapytałem: „Piękne, ale smutne, co?". Pokiwała głową.

Od snów poetów po analizy strategów

Niepodległość w ciągu ostatnich 250 lat polskiej historii była naszą obsesją. Ściślej: głównie brak niepodległości. To, co tworzyliśmy w jej imię, było często na najwyższym poziomie duchowym i intelektualnym, bo od myśli pękała głowa, jak osiągnąć nieosiągalne. Jan Paweł II mówił o tym: „Jestem synem narodu, który przetrwał najstraszliwsze doświadczenia dziejów, który wielokrotnie sąsiedzi skazywali na śmierć – a on pozostał przy życiu i pozostał sobą. Zachował własną tożsamość i zachował pośród rozbiorów i okupacji własną suwerenność jako naród – nie biorąc za podstawę jakichkolwiek innych środków fizycznej potęgi, ale tylko własną kulturę, która się okazała w tym przypadku potęgą większą od tamtych potęg".

Niepodległość była obsesją w powieściach polskich pisarzy, analizach strategów, bohaterstwie powstańców, wierszach poetów, obrazach malarzy. Ale nie tylko, bo także w pracy przedsiębiorców, która miała służyć nie samemu bogaceniu się, lecz budowie polskiej siły. A nawet w zawodach sportowych, bo dla polskich olimpijczyków z czasów szczęśliwego dwudziestolecia sukcesem było nie to, że ja jestem najlepszy na świecie, ale że Polska dzięki temu funkcjonuje w światowej opinii publicznej nie jako sezonowe, lecz normalne, silne państwo.

Sienkiewicz kontra Tokarczuk

Niejednemu z nas łza błyśnie w oku, gdy czytamy mowę noblowską Henryka Sienkiewicza. Bo Sienkiewicz prawie nic nie mówił o sobie i swojej twórczości.

eprasa.pl 4003efe9b0

Jest tylko obsesja: „Mówi się, że Polska jest martwa, wyczerpana, zniewolona, ale oto dowód na jej życie i triumf". I wszystko, co czuło wtedy każde polskie serce: „Głoszono ją umarłą, a oto jeden z tysiącznych dowodów, że ona żyje!... Głoszono ją niezdolną do myślenia i pracy, a oto dowód, że działa!... Głoszono ją podbitą, a oto nowy dowód, że umie zwyciężać!". I wyjaśnienie tego wszystkiego kawa na ławę, by nikt nie miał wątpliwości: „Poeci i pisarze reprezentują swoje narody w otwartym konkursie o Nagrodę Nobla. W związku z tym przyznanie Nagrody przez Akademię gloryfikuje nie tylko autora, ale także tych, których jest synem, i świadczy o tym, że ten naród ma udział w powszechnym osiągnięciu, że jego wysiłki są owocne i że ma prawo do życia dla zysku ludzkości". Amen.

A jak wyglądało przyznanie Nagrody Nobla Oldze Tokarczuk w 2018 roku? Per Waestberg, szwedzki pisarz, uzasadnił przyznanie jej Nobla następująco: „Polska, rozdroże Europy, być może nawet jej serce – Olga Tokarczuk odkrywa historię Polski jako kraju będącego ofiarą spustoszenia dokonanego przez wielkie siły, lecz również posiadającego swoją własną historię kolonializmu i antysemityzmu. Olga Tokarczuk nie ucieka od niewygodnej prawdy, nawet pod groźbą śmierci". Kolonializmu!

Kto miałby zabić Olgę Tokarczuk, nie sprecyzował, bo przecież to oczywiste. Zaś sama Tokarczuk zakończyła mowę słowami: „Kryzys klimatyczny i polityczny, w którym dzisiaj próbujemy się odnaleźć i któremu pragniemy się przeciwstawić, ratując świat, nie wziął się znikąd. Często zapominamy, że nie jest to jakieś fatum i zrządzenie losu, ale rezultat bardzo konkretnych posunięć i decyzji ekonomicznych, społecznych i światopoglądowych (w tym religijnych). Chciwość, brak szacunku do natury, egoizm, brak wyobraźni, niekończące się współzawodnictwo, brak odpowiedzialności sprowadziły świat do statusu przedmiotu, który można ciąć na kawałki, używać i niszczyć".

Niepodległość prawdziwa, a nie malowana

Wybór między Sienkiewiczem a Tokarczuk jest tym, o co chodzi w tych wyborach. III RP miała być krajem fikcyjnej niepodległości. Z rzekomej niepodległości wolno było się tylko cieszyć, natomiast nie wolno było podważać tego, że jest ona fikcyjna. Mało tego, nawet troska o nią była przedstawiana jako oburzająca demagogia. W 2015 roku Polacy postawili na niepodległość prawdziwą, a nie malowaną. Zrealizowana została we współczesnych warunkach koncepcja Józefa Piłsudskiego. PPS-owskie połączenie walki o robotnicze prawa z aspiracjami niepodległościowymi. Teraz połączyły się dążenia tych, którzy w III RP czuli się dyskryminowani, z aspiracjami niepodległościowymi Jarosława Kaczyńskiego. 500 plus z liderowaniem Międzymorzu, wbrew Rosji, ale także Niemcom. Polska zyskała szansę nie na małość, lecz na wielkość.

Oddanie w 2023 roku przez Polaków władzy układowi rosyjsko-niemieckiemu zakrawa na pierwszy rzut oka na aberrację. Bo przecież większość Polaków od prawa do lewa nie chce oddać mu władzy. Mechanizm, który powoduje, że takie zagrożenie istnieje, jest bardziej skomplikowany. Za wyjątkiem sytuacji wyjątkowych, większość wyborców nie kieruje się w czasie głosowania sprawami polityki zagranicznej, lecz bardziej przyziemnymi. I to do nich w kampanii wyborczej odnoszą się w pierwszym rzędzie wszystkie partie.

Gdy chodzi o opozycję, to żaden z elektoratów poszczególnych partii nie opowiada się za powrotem rosyjsko-niemieckiego układu. Nawet Tusk sugeruje, że PiS to rosyjska agentura, a on jest antyrosyjski i krytyczny wobec Niemców. Lewicowe „Julki" obok tęczowych flag wywieszają ukraińskie. Prorosyjski przez całą III RP PSL też oficjalnie opowiada się po stronie Ukrainy. Nawet w Konfederacji oficjalnie prorosyjski Korwin-Mikke został zamieniony na Mentzena, który jest równie prorosyjski, ale nieoficjalnie. Problem w tym, że choć żaden elektorat takiego powrotu nie chce, to liderzy owych ugrupowań jak najbardziej. Bo są reliktem postkomunizmu, zostali wykreowani w czasie, gdy absolutną władzę nad Polską sprawowała postkomuna oraz Rosja i Niemcy. I zapewne ci mocodawcy mają haka na niejednego z nich.

Piłsudski zniesmaczony gadaniną na temat ideologii, gdy trzeba bić się o niepodległość, odpowiadał: „Dajcie mi spokój z doktrynami, nienawidzę tego słowa". W pełni zgadzam się z tym, co pisze dziś na łamach „Nowego Państwa" Jurij Szczerbak, wybitny ukraiński pisarz i dyplomata. Zamiana polskiej i ukraińskiej wielkości wynikającej z naszej bliskiej współpracy na małość drugorzędnych sporów budzi we mnie takie samo obrzydzenie. Ten sam odruch budzi we mnie myśl, że moglibyśmy utracić kontrolę nad Polską na rzecz rozgrywek obcych potęg. Pamiętam rządy PO i PSL, czyli zapadanie się Polski w rosyjską strefę wpływów. Pamiętam też rządy SLD i PSL, gdy to zapadanie się szło wolniej, bo Amerykanie ciągnęli nas za uszy na Zachód. Nie zapomniałem uczucia wstydu, że to ktoś obcy musiał korumpować politycznie wybranych przez Polaków ich przedstawicieli, by nie sprzedali resztek suwerenności. To było okropne ponad dwa dziesięciolecia temu, a dziś byłoby nie tylko niewyobrażalnym upokorzeniem, lecz przede wszystkim wystawieniem Polski na niewyobrażalne zagrożenie dla jej niezależnego bytu. O to toczy się gra, której wszyscy jesteśmy uczestnikami. ■

eprasa.pl 4003efe9b0



Jakub Augustyn Maciejewski

NASZE POLSKIE „PRAWIE” ZWYCIĘSTWA

eprasa.pl 4003efe9b0

W debatach nad własną historią Polacy poruszają niewykorzystane i niedokończone zwycięstwa, których zaniedbanie ściągnęło na kraj długotrwałe katastrofy. Nasi przodkowie wiele reform czy zrywów „prawie" dokończyli, lecz tuż przed metą odpuścili wysiłek. Czy tak zapamiętamy rok 2023 i jesienne wybory parlamentarne?



fot. Adam Warżawa/PAP

Dwie kadencje Prawa i Sprawiedliwości zaowocowały zrealizowaniem konkretnych projektów politycznych i rozpoczęciem innych długofalowych przedsięwzięć oraz zupełnie zmieniły optykę prowadzenia państwa polskiego. Nie tylko przełamanie imposybilizmu i wprowadzenie 500 plus, przekopanie Mierzei Wiślanej, wzniesienie zapory granicznej, zrealizowanie tunelu pod Świną, modernizacja armii, przygotowanie do budowy CPK, lecz także uznanie, że Rzeczpospolita powinna w grze międzynarodowej zagrać o prawdziwą suwerenność na miarę XXI wieku. Właśnie tak będą to oceniać w przyszłości podręczniki historii, ba, już tak oceniają! Profesor Wojciech Roszkowski pisze w drugim tomie swojej książki dla uczniów HiT: „Mamy w Polsce wiele problemów nie tylko z uzgodnieniem sposobów realizacji dobra wspólnego [...] ale nawet z określeniem, czym ono naprawdę jest. Mamy więc problem z właściwą miarą swoich ambicji narodowych. Z jednej strony mamy sny o potędze, z drugiej pamięć o klęskach. Wiemy, jak trudno jest o równowagę w naszym położeniu geopolitycznym. Znamy ten problem od XVIII wieku, wiemy, jak skończyła się Konstytucja 3 maja, jakie skutki przyniosły powstania narodowe lub II wojna światowa".

Autor podręcznika chce tym uczyć młodzież, ale przecież i dorośli obywatele zbyt często nie zdają sobie sprawy, że nasze możliwości są jak lina rozpięta pomiędzy dwoma kondycjami Polski: wielkością a niebytem. Roszkowski twierdzi, że kraj trzeba różnymi metodami popychać w stronę tej pierwszej: „Czy jednak dobrym rozwiązaniem jest stałe czołganie się u nóg wielkich tego świata? Czyż nie powinniśmy szukać szans na poprawę pozycji Polski w świecie, czy mamy z góry wmawiać sobie, że się nie uda? Przecież od małych nawet sukcesów na tej drodze zależy nasze wspólne bezpieczeństwo. Czy mamy siać anarchię, pchać kij w szprychy tym, którzy szukają tych szans?".

I oczywiście wybór między obozem zdrady narodowej a niedoskonałym, lecz jednak obozem patriotycznym nie jest w Polsce niczym nowym, tymczasem w ostatnich latach historia gwałtownie przyspieszyła i obudziła dwa wrogie Polsce imperia z postpolitycznego snu. Moskwa i Berlin przestały udawać – chcą znów rządzić Europą Środkowo-Wschodnią, rozerwać nasz region jak kawałki pieczeni i są powody przypuszczać, że robią to w ścisłym porozumieniu. Moskale mają wziąć Ukrainę, a Niemcy Polskę. Nad

eprasa.pl 4003efe9b0

Dniepr nadciągnęły hordy jak z najstraszniejszych koszmarów Armii Czerwonej czy najazdów tatarskich, a nad Wisłą zawisło widmo niemieckiej pacyfikacji – i co z tego, że w białych rękawiczkach?

Październikowe wybory nie są więc „najważniejsze", bo Platforma Obywatelska czy jakaś lewica czy inni polscy politycy mają mroczne plany, lecz dlatego, że te plany mają Berlin i Moskwa, a wojenne zbrodnie z jednej strony i z drugiej strony niemieckie próby centralizacji Unii Europejskiej poprzez zniesienie jednomyślności przy podejmowaniu najważniejszych decyzji to jak dzwon na trwogę: bić się czy nie bić?

▶ Kto i dlaczego odpuszczał? Darowanie win totalnej opozycji

Mało kto wie, że opozycja totalna istniała już kiedyś w naszym parlamentaryzmie. Nikt dotychczas nie opisał groźby wojny domowej, jaka nieomal wybuchła w ostatniej dekadzie panowania Jana III Sobieskiego. Pięć lat po odsieczy wiedeńskiej magnacka opozycja, zwłaszcza z Wielkopolski (Leszczyński, Grzymułtowski) i z Wielkiego Księstwa Litewskiego (Sapiehowie), brała pieniądze od wszystkich możliwych dworów (Wiednia, Berlina, Paryża i Moskwy), byle być zawsze w opozycji do Dworu. Jednak w Grodnie 1688 roku obstrukcja na sejmie była tak wielka, że po raz pierwszy w historii zerwano sejm jeszcze przed jego rozpoczęciem (przed wybraniem marszałka). Przyczyną zerwania była sprawa posła Kazimierza Dąbrowskiego, który był oskarżany o różne przestępstwa i spór dotyczył tego, czy ma on prawo być członkiem izby poselskiej.

Jak widać z powyższego, koperty Tomasza Grodzkiego czy mieszkania Stanisława Gawłowskiego nie są tak nadzwyczajne w naszych dziejach. W parlamencie zasiadają osoby podejrzane o poważne problemy z prawem, ale połowa kraju nic sobie z tego nie robi, więc przyzwolenie na nadużycia nadal dewastuje kulturę polityczną.

Sejm zerwano w trakcie wojny z Turcją, a więc brak podatków, reform, pieniędzy dla wojska zwiastowały katastrofę. Bohatera spod Wiednia oskarżano o wszelkie zło, wymyślano afery (sekretny prywatny „skarbiec w Malborku") w stylu podobnym do tego, jak dzisiaj robią to dziennikarze na usługach zagranicznych mediów. Szlachta w kraju, zwłaszcza w Koronie, ale i ta drobniejsza na Litwie, stała tak mocno przy królu, że niektóre głowy zaczęły namawiać władcę do rozprawienia się z opozycją na sejmie konnym. Ta zapomniana instytucja Rzeczpospolitej oznaczała zebranie szlachty wszystkich ziem w jednym miejscu i podejmowanie decyzji nie jednomyślnie, a większością głosów. Bunt przeciwko zrywanemu sejmowi, ale bunt po stronie króla!

Przestraszyła się oligarchia, zwłaszcza litewska, bo miała tam sporo zagarniętych nielegalnie majątków i sporo wrogów oburzonych na niszczenie państwa. W województwie sandomierskim zwołano konfederację – pierwszy krok do sejmu konnego. Chorąży koronny Stefan Bidziński namawiał Sobieskiego do przyprowadzenia wojska i połączenia sił z narodem szlacheckim. Litwini, którzy mieli dość nadużyć Sapiehów, zwłaszcza Wiśniewieccy, Korsakowie, Bohusze, też byli gotowi chwycić za szable.

I oto król nagle odpuścił. Do dziś nie wiemy, dlaczego. Czy nie chciał takiej wojny domowej, jaką pamiętał z 1666 roku, gdy sam musiał walczyć po stronie króla przeciw rokoszanom Lubomirskiego? Może przeceniał siły przeciwnika? Może nie miał sił jako człowiek już niemłody, a przede wszystkich schorowany? Dość wspomnieć, że kolejny sejm przyniósł mu porażkę, odrzucenie jego projektów, a pycha opozycji wzrosła do tego stopnia, że hetmana Sapiehę jego ludzie zaczęli tytułować niczym króla: Kazimierzem IV. Czy i dziś lider opozycji nie „unieważnia referendum" wedle swojego widzimisię, uzurpując sobie władzę?

Zatem król odpuścił. A szkoda – cztery lata po jego śmierci litewska szlachta w bitwie pod Olkienikami pobiła oligarchów, a zrobiła to w o wiele gorszych warunkach, bez pomocy regularnej armii i bez wsparcia takiego autorytetu, jakim cieszył się Sobieski. Szansę na reformę zaprzepaszczono, pozwalając różnym „nadzwyczajnym kastom" panoszyć się w Rzeczypospolitej z nadzieją, że resztę życia publicznego jakoś się poukłada. Zmarnowawszy okazję, wkroczono w czasy saskie.

▶ Gdy władza się ugina

Równo sto lat później – w czasie Sejmu Wielkiego – udały się reformy, ale nie udała się tych reform obrona zbrojna. I nie udała się dlatego, że Polacy znowu odpuścili, a konkretnie zrobiły to narodowe elity. Wojna 1792 roku była o tyle do wygrania, że wyczerpane czteroletnimi walkami z Turcją wojska rosyjskie musiały znowu maszerować setki kilometrów, by walczyć z Polakami coraz lepiej doświadczonymi w boju. Zde-

eprasa.pl 4003efe9b0

maskowano też pierwszych zdrajców, na przykład dowódcę ks. Ludwika Wirtemberskiego, oczyszczając kadry wojskowe ze słabych ogniw. W czasie tych zmagań o Konstytucję 3 maja wyłonili się tacy wodzowie jak Tadeusz Kościuszko, książę Józef Poniatowski czy Józef Sułkowski (późniejszy adiutant Napoleona), to wtedy po wygranej bitwie pod Zieleńcami ustanowiono order Virtuti Militari. Polacy co prawda cofali się, ale strategicznie miało to sens – skracali linie zaopatrzenia, skracali front, grali na zmęczenie Moskali. Dopiero w 2019 roku wydano listy ze sztabu rosyjskiego, w których dowódcy carycy Katarzyny II wyrażali swoje przygnębienie, że Polacy bronią się tak dzielnie, a trudności najeźdźców rosną. Ale to właśnie wtedy król przystąpił do targowicy, nie wierząc, że da się jeszcze walczyć, postanowił więc, nawiążmy do Roszkowskiego, „pchnąć kij w szprychy tym, którzy szukali szans", by ugrać coś więcej. Znowu ktoś się ugiął, uznał, że z silniejszymi nie ma co zadzierać i skoro nie pozwolili oni na reformy, to należy... znowu: odpuścić.

Przegrano wojnę, reformę, Konstytucję, a wkrótce – niepodległość. Wielkie dzieło „prawie" się udało, ale „prawie" w polskich realiach często oznacza zupełny upadek.

▶ Niewłaściwy wybór liderów

Innym „prawie" zwycięstwem było powstanie listopadowe. Do dziś nie sposób się nadziwić, dlaczego Polacy, którzy mieli wybitną armię, zdolnych oficerów, pełny skarb i szalone poparcie społeczne dla odzyskania niepodległości, oddali władzę w ręce ludzi, którzy myśleli tylko o tym, jak nie narazić się na gniew cara Mikołaja I. Czytając dziś, jak miałkim elitom oddano władzę, człowiek myśli, że to sen o naiwności. Lud Warszawy niósł dowodzenie nad zrywem generałowi Józefowi Chłopickiemu, który tylko marzył o sympatii cara i o dodatkowym awansie w Petersburgu. Niech ten wątek w narodowej historii wybrzmi jeszcze raz: ludzie myśleli o polityku, że będzie walczył o ojczyznę, a on poprowadził ją tak, by życzliwie na niego patrzono w kraju przeciwnika. Gdy Chłopicki został dyktatorem, car zwyczajnie odetchnął z ulgą. „Może on wrócić pomyślność ojczyźnie swojej, może jej oszczędzić klęsk wiele" – komentował car z naturalną dla imperatorów nutką szantażu w głosie, a miał na myśli represje poważniejsze niż odebranie funduszu z jakiegoś banalnego „krajowego planu odbudowy". Z Warszawy do cara uciekali inni – książę Drucki Lubecki naopowiadał bajek w stolicy i zwiał do Petersburga, generał Wincenty Krasiński wierzył, że hołdem dla cesarza ocali majątki i przywileje. Naród naprawdę parł do szybkich i zdecydowanych działań, a władze ordynarnie sabotowały własne wojsko. Nie był to w historii pierwszy przypadek, gdy elity zwyczajnie nie dorosły do aspiracji i potencjału swoich własnych obywateli. Jeden moment ufności, jedno przekazanie dowództwa, władzy w niewłaściwe ręce odmieniło nasze losy i Polskę zepchnęło w status europejskiej prowincji, a zdolnych ludzi pchnęło w biedę i emigrację. Wtedy przynajmniej, w noc listopadową, patrioci mieli świadomość doniosłości momentu historycznego, tylko źle wybrali rządzących. Dziś nie tylko możemy znowu „odpuścić" i wynieść do władzy nowych Chłopickich, lecz także nie wybudzić reszty kraju z drzemki, skoro wielu Polaków nie zdaje sobie sprawy z przełomowości obecnych czasów. A przypomnijmy: prawdziwe ludobójstwa na Wschodzie i niemiecka determinacja podporządkowywania sobie Unii Europejskiej na Zachodzie, brzmią nad nami jak ostatni dzwonek na alarm.

▶ Brak determinacji w wyborach

Ostatnią z wielkich zmarnowanych szans część Czytelników na pewno pamięta. 4 czerwca 1989 roku Polacy wybrali w częściowo wolnych wyborach swoją reprezentację – na 161 posłów do obsadzenia, 160 pochodziło z „Solidarności". W senacie 99 senatorów także. Miażdżące zwycięstwo. Euforię wzmocniły zakulisowe gierki komunistów, którzy uśpili czujność obozu zmian. Do urn poszło przecież ledwie 62 proc. uprawnionych do głosowania. Choć Polacy demonstracyjnie zignorowali kandydatów partii i w liście krajowej skreślali wszystkich, jak popadnie, i dwóch kandydatów weszło dlatego, bo byli na końcu list i kreska długopisu nie zawsze ich sięgnęła. Trzydzieści trzy miejsca w Sejmie można było obsadzić inaczej – i szefostwo „Solidarności" poszło na rękę komunistom. Nie chodziło jedynie o te 33 miejsca w parlamencie, lecz o wolę odstępowania komunistom pola – fraternizacja z czerwonymi w Magdalence, a później zgoda na powtórkę wyborów do listy krajowej (frekwencja 25 proc.) otworzyły drogę do „grubej kreski" Mazowieciego i takiego pobłażania postpeerelowskim elitom, że męczymy się z tą spuścizną do dziś. „Solidarność" mogła

eprasa.pl 4003efe9b0

iść po władzę w kraju już w 1989 roku i nie bać się brać całego kraju z rąk komunistów – przez dwa lata aparatczycy zdążyli się poustawiać, a nasz kraj z pioniera dekomunizacji był ostatnim, który – dopiero w 1993 roku – pozbył się rosyjskich żołnierzy ze swojego terytorium.

▶ Pakt Berlin–Moskwa

Wyżej opisane błędy ciągnęły się (i nadal ciągną) za Polakami przez całe dekady i tak może być tym razem. Osiem lat rządów jednej partii i tak oznacza społeczne zmęczenie, opatrzenie się z tymi samymi twarzami i wydłużającą się listę – ludzkich, naturalnych, ale jednak – błędów. Dwa potężne kryzysy, z czego jeden nieznany w dziejach świata, pandemia COVID-19, drugi nieznany w tej części kontynentu od blisko 80 lat – rosyjska inwazja na sąsiedni kraj, sprawiły też, że inflacja i napięcia społeczne, zwłaszcza wobec milionów uchodźców w kraju, potęgują społeczne zmęczenie. U niektórych wyborców rodzi się pokusa – może nie głosować albo „dać szansę innym", może – właśnie – odpuścić? I oto w przełomowym momencie historii Polacy znowu mogą zatrzymać się w połowie drogi – zarzucić reformy, repolonizację, grę o suwerenność.

Równo miesiąc przed pełnoskalową inwazją rosyjską na Ukrainę agencja informacyjna RIA NOVOSTI z Moskwy omówiła mój artykuł o „tajnym protokole", jaki Niemcy i Rosja musieli zawrzeć przy budowie Gazociągu Północnego. To rosyjskie medium należy do głównych realizatorów kremlowskiej propagandy, jest niezwykle wpływowe i opiniotwórcze – dlaczego więc zainteresowało się i oburzyło komentarzem mało znanego polskiego dziennikarza? Teza artykułu głosiła, że przy wieloletniej współpracy Moskwy i Berlina przy budowie Nord Stream musiało powstać wiele nieoficjalnych i niejawnych ustaleń, które zawierały wpływanie na inne kraje europejskie. Okazało się to czułym punktem przekazu, bo kojarzyło się z paktem Ribbentrop–Mołotow, więc RIA NOVOSTI pospieszyły z potępieniem tej tezy. Ale czy ktoś wierzy, że ćwierć wieku (!) negocjacji wokół Gazociągu nie zaowocowało rozmowami na tematy szerszej polityki na kontynencie?

▶ Najtańsza bitwa

Zwłaszcza że punktów niejasnych we współpracy nad Gazociągiem jest wiele. Spółka North Trangasy Oy (NTG), która przygotowywała plany budowy, została powołana w połowie lat 90. W 1999 roku za trasę przebiegu rury wybrano Bałtyk, by zminimalizować sprzeciw innych państw. W 2000 roku Niemcy przekonały Komisję Europejską do uznania projektu za część transeuropejskich sieci energetycznych TEN-E. Projekt rosyjski zyskiwał więc opiekę całej Unii. Cztery lata później, na koniec kadencji Gerharda Shroedera jako kanclerza Niemiec, Rada Europejska wydała specjalną dyrektywę, która miała nadać inwestycji niemiecko-rosyjskiej specjalny status i ułatwić procedury w jej realizacji. Kolejne części projektu realizowano mimo napaści Putina na Gruzję, aneksji Krymu i wojny w Donbasie. Gdy na końcu budowy drugiej nitki Donald Trump nałożył na spółki budujące Gazociąg specjalne sankcje, Angela Merkel poleciała do Moskwy zapewnić Putina o woli dokończenia prac, nawet dodatkowym kosztem.

Jesienią 2021 roku, po ponad dwóch dekadach budowy i po prawie czterech dekadach od powstania planu uzależnienia Europy od sowieckich surowców (doktryna Falina) wielkie ramię Nord Stream zostało ukończone. Kilka tygodni później, w grudniu, Putin przesunął wojska nad granicę z Ukrainą. 24 lutego napadł na sąsiada przy bierności Niemiec, a nawet spokojnym oświadczeniu ukraińskiemu ambasadorowi w Berlinie, że Kijów i tak nie ma szans i trzeba się z tym pogodzić.

Dramatyczna wojna nie zmieniła ani o jotę polityki Unii (Niemiec) wobec Polski, która poniosła olbrzymie koszty tej wojny – militarne i humanitarne.

Rosyjska pięść ma strzaskać Ukrainę, a niemieckie palce mają ugniatać Polskę.

Ale oprzeć się presji z Zachodu możemy przecież wyjątkowo łatwo. Nie trzeba iść na wojnę domową ani w ogóle chwytać za broń czy nawet siadać nad procedurami głosowania nad niejasną formułą „listy krajowej" czy wielkiej lustracji łamiącej „grubą kreskę". Wystarczy po prostu wygrać te wybory, pójść do urn, pokazać stare dobre „non possumus" obcym wpływom w Polsce. Owszem, wściekłe media liberalne będą szczuć społeczeństwo na siebie, różni komisarze będą zaklinać się, że naszemu krajowi nie odpuszczą, pewnie i targi w Brukseli będą dużo bardziej nerwowe, aroganckie i męczące. Ale jednak – nadal to może być najtańsza obrona suwerenności Polski od wielu stuleci. A może znowu odpuścimy, by następne pokolenia opowiadały sobie o „zmarnowanej historycznej szansie"? ■

eprasa.pl 4003efe9b0



Ryszard Czarnecki

16 powodów, dla których trzeba wygrać wybory

Dlaczego tak ważne są polskie wybory A.D. 2023? Z 16 powodów. Wymienię je.

1. Za naszą wschodnią granicą toczy się wojna – w Polsce potrzeba takiej władzy, która wiedziała, wie i będzie wiedzieć, czym jest Rosja. 2. W ostatnich ośmiu latach nasz kraj przestał być pasem transmisyjnym Berlina, a stał się podmiotem na arenie międzynarodowej. Trzeba to – w polskim interesie narodowym – kontynuować. 3. Piąty co do wielkości kraj UE powinien być dalej rozgrywającym – a nie rozgrywanym. 4. Musimy bić się w Unii Europejskiej o nasze interesy – tak jak inne kraje biją się o swoje – inny rząd niż obecny tego nie zrobi na pewno. 5. Ważne są równoprawne relacje między liderem UE – jakim są Niemcy – a liderem państw „nowej Unii" (tych, które weszły do UE od 2004 roku) – jakim jest Polska. To będzie trudne, ale może być możliwe wyłącznie przy obecnym rządzie – inny będzie tylko membraną Berlina. 6. „Przeszłość jest to dziś, tylko cokolwiek dalej" – pisał Norwid. Jeżeli chcemy, aby była kontynuowana polska – nie tylko z nazwy, lecz także z treści – polityka historyczna, trzeba zrobić wszystko, aby obronić obecny rząd i obecny IPN. Przy innej władzy polityka historyczna Rzeczypospolitej będzie pojęciem ze „Słownika wyrazów obcych". 7. Te wybory to także wybór między skrajnie różnymi treściami, symbolizowanymi hasłami: „Polska to nienormalność" i „Warto być Polakiem". 8. Jeżeli RP ma mieć największą lądową armię Europy, jeżeli wciąż ma przeznaczać 4 proc. PKB na obronność (rekord w NATO, obok USA) – to trzeba udzielić kredytu zaufania obecnej władzy. Nie miejmy złudzeń co do kontynuacji tych celów przy innej władzy. 9. Nie wszystko da się przełożyć na procenty i liczby. Obecny rząd przywrócił milionom Polaków ich godność. I o to – o godność lub jej brak – są te wybory. 10. W październiku rozstrzygnie się, czy rząd RP będzie dalej ambasadorem zwykłych Polaków i ich potrzeb, czy kontynuatorem tych, którzy szydzili z rodaków: „trzeba się było ubezpieczyć" lub wyśmiewali ich, że jak to można przeżyć miesięcznie za 6 tys. złotych. 11. Te wybory trzeba wygrać, aby dalej prowadzić politykę prorodzinną i pronatalistyczną, a nie zostawiać Kowalskich i Nowaków samym sobie. I nie dlatego, żeby budzić zazdrość w innych krajach (choć tak jest), tylko dlatego, iż w tym obszarze w wielkiej mierze decyduje się przyszłość Polski. 12. Wolność to dla Polaków rzecz święta. Wolność mediów jest jej częścią. Te wybory są o to także, aby nad Wisłą, Odrą, Bugiem i Wartą istniał pluralizm medialny i można było publikować artykuły i robić filmy, które odkrywają białe plamy w dziejach (zwłaszcza najnowszych) Polski. 13. Ojczyzna to m.in. zbiór „małych ojczyzn". Jeszcze nigdy żadna władza nie przeznaczała takich środków na samorządy różnych szczebli i – wbrew temu, co głosi opozycja – o różnej orientacji politycznej. Jeżeli nie chcemy, aby znów pieniądze te trafiały do „swoich", „po uważaniu", kosztem „nie-swoich", jak to było w latach 2007–2015, warto zagłosować 15 października konserwatywnie – czyli na kontynuację. 14. Po dekadach haniebnego milczenia polskie państwo i dyplomacja RP bronią wreszcie dobrego imienia Polski i Polaków, dając odpór fałszowaniu historii naszej ojczyzny i pokazując, jak bardzo nasi rodacy zasłużyli się w ratowaniu mordowanych przez Niemców Żydów. Czy tak będzie dalej, również zdecydujemy w październiku. 15. Jeszcze nigdy w okresie od upadku komunizmu tak wiele zrabowanych nam przez obcych (i swoich złodziei) dzieł sztuki nie wróciło do ojczyzny. Niegdyś ograbiali nas Szwedzi w czasie potopu (ciekawe, że ci akurat na największą w historii skalę!), Rosja carska i sowiecka, Niemcy. A przecież to skarby kultury narodowej! Jeżeli nie chcemy, aby w tej sprawie nowe władze zapaliły w praktyce „czerwone światło" – należy pozostawić u rządów tych, którzy zapalili „światło zielone". 16. Gdy przed rokiem, 1 września, rząd RP złożył oficjalną notę do rządu niemieckiego w sprawie reparacji, w pierwszym odruchu politycy opozycji zaczęli atakować ten pomysł, jakby byli rzecznikami... rządu w Berlinie. Tak, te wybory też są o niemieckie reparacje! ■

eprasa.pl 4003efe9b0

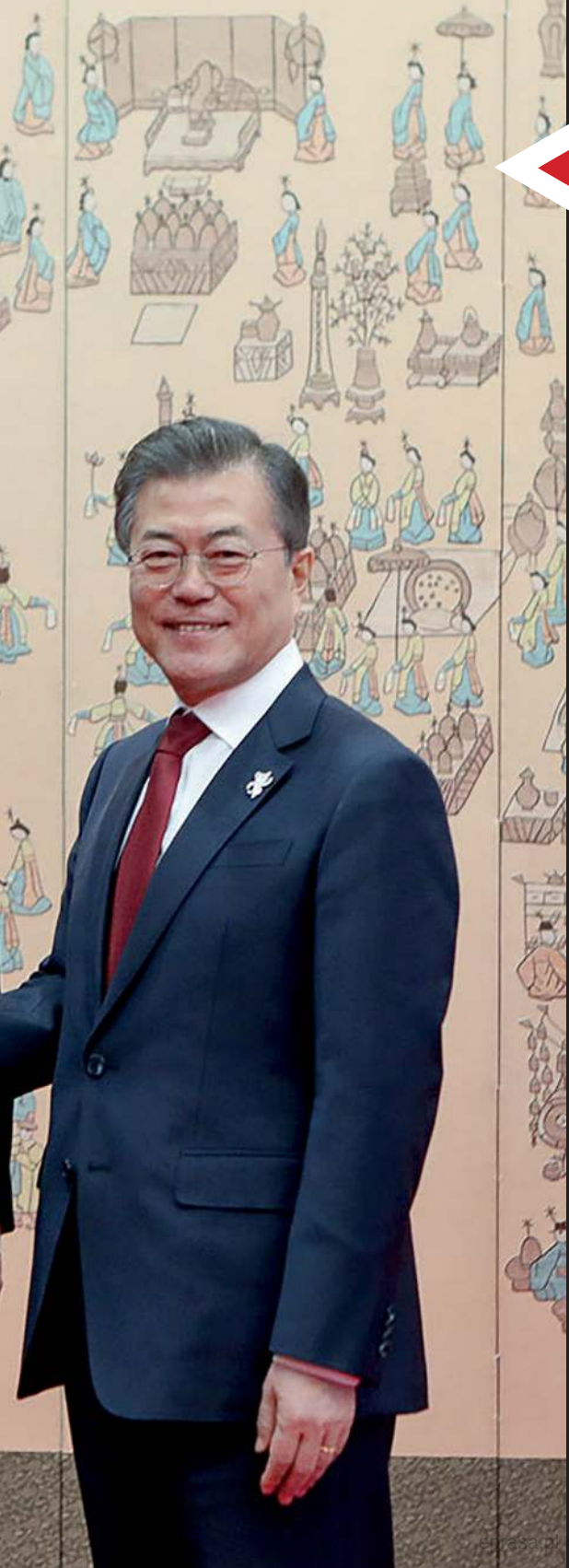
Wbrew stwierdzeniom opozycji, że Polska jest izolowana na arenie międzynarodowej, nasz kraj bardzo liczy się w Azji. Rzeczpospolita postrzegana jest jako państwo, które jest godnym zaufania sojusznikiem USA i członkiem NATO. Jest też krajem, który będzie najważniejszym ogniwem w procesie odbudowy Ukrainy i centrum reglobalizacji.

Hanna Shen



PIERWSZY RAZ W HISTORII POLSKA TAK WAŻNA DLA AZJI

eprasa.pl 400ef9



fot. Jakub Szymczuk/KPRP

Opozycja często straszy, że za rządów Prawa i Sprawiedliwości Polska straciła autorytet i nie ma na kogo liczyć na arenie międzynarodowej. Nic bardziej mylnego. Po raz pierwszy w historii Polska jest bardzo ważna dla wolnych państw w Azji.

Komorowski pod dyktando Pekinu

Gdy w 2011 roku Bronisław Komorowski udał się do Chin, polskie media, które dziś straszą PiS-em, pisały o rzekomym spotkaniu Bronisława Komorowskiego z chińskimi dysydentami. Sami dysydenci na temat takiego spotkania nie mieli żadnej wiedzy. Jeden ze znanych opozycjonistów, Cao Changqing, chiński pisarz i publicysta, w rozmowie ze mną powiedział, że może to oznaczać, iż polski prezydent ugiął się pod presją władz chińskich i zgodził się "na jakieś anonimowe spotkanie nie wiadomo z kim", być może tylko na potrzeby owych polskich mediów.

Według Cao, wizyta Komorowskiego jasno pokazała Chińczykom, a przede wszystkim chińskim dysydentom, na czym polega różnica pomiędzy prezydenturą śp. prof. Lecha Kaczyńskiego a rządami liberałów. Lech Kaczyński spotykał się z dalajlamą i prześladowanymi przez komunistyczny reżim ChRL, pokazując w ten sposób Pekinowi, że dla Polaków godność ludzka to jedna z największych wartości. Oczywiście Polska, kontynuował Cao, powinna zabiegać o rozwój stosunków gospodarczych z Chinami (drugą gospodarką na świecie), zwłaszcza że wymiana handlowa pomiędzy tymi krajami jest niezrównoważona, ale nie musi tańczyć, jak jej Pekin zagra.

Według Cao Changqinga, wizytę Komorowskiego chińscy komuniści wykorzystali propagandowo. Oto lider dużego europejskiego państwa przechadza się z małżonką po Wielkim Murze w ośmiostopniowym mrozie, twierdząc, że widok muru spowodował, iż nie czuje zimna. To, jak określił chiński dysydent, show, na który właśnie czekali aparatczycy w Pekinie i co chwila pokazywali go w komunistycznych mediach.

Chińczycy otrzymali wtedy jasny przekaz: skończyły się problemy z Polakami. Do tej pory dla chińskich dysydentów Polacy to jeden z najbardziej antykomunistycznych narodów w Europie. Ale jak podkreślały chińskie oficjalne media, polskim przywódcą nie był już prozachodni Lech Kaczyński; przy władzy byli liberałowie i Komorowski, którzy są otwarci na Wschód: na Rosję i na Chiny. Co więcej, w deklaracji, którą Komorowski podpisał wtedy w Pekinie, znalazło się stwierdzenie, że Polska popiera proces integracji w rejonie Azji Wschodniej – a właśnie to pod pozorem owej „integracji" Chiny próbują osiągnąć hegemonię w tym regionie świata. ChRL zdobyła sojusznika "na podwórku NATO", jak to określiły chińskie media.

eprasa.pl/403efe9b0

Za Morawieckiego Polska wiarygodnym sojusznikiem wolnego świata

Komunistycznym władzom Chin, tak jak i reżimowi Putina, bardzo zależy na rozbiciu sojuszu transatlantyckiego. Pekin liczy, że może się to udać w wyniku rosyjskiej napaści na Ukrainę, bo niektóre państwa w Europie będą coraz mniej skore do wspierania Kijowa i coraz bardziej chętne do odcięcia się od współpracy z Waszyngtonem.

I to właśnie w tak niebezpiecznym momencie rządy Mateusza Morawickiego pokazały, że nasz kraj nie jest partnerem komunistów na „podwórku NATO". To inni na Zachodzie szkodzą sojuszowi, a Polska go broni.

W kwietniu bieżącego roku podczas spotkania w amerykańskim think tanku Atlantic Council premier Morawiecki powiedział: „Nie można dzisiaj i jutro ochronić Ukrainy, mówiąc, że Tajwan to nie jest nasza sprawa. Trzeba wspierać Ukrainę, jeżeli chcemy, aby Tajwan pozostał niezależny". Morawiecki dodał także, że wygrana Moskwy na Ukrainie może spowodować, iż Pekin natychmiast zaatakuje Tajwan.

Wypowiedź premiera RP była szczególnie ważna, bo padła zaraz po kompromitujących słowach prezydenta Francji Emmanuela Macrona w czasie jego wizyty w Chinach. Macron odnosząc się do sytuacji Tajwanu, powiedział, że wielkim ryzykiem dla Europy jest „uwikłanie się w kryzysy, które nie są nasze".

Za postawę polskiego premiera dziękowali i wyrazili wobec niej swój podziw na spotkaniu z polskimi parlamentarzystami i Tsai Ing-wen, prezydent Tajwanu, i You Si-kun, przewodniczący Legislatywy Yuan, czyli tajwańskiego parlamentu.

„Kiedy prezydent Francji Emmanuel Macron podczas swojej wizyty w Chinach oświadczył, że Europa nie powinna angażować się w konflikt w Cieśninie Tajwańskiej, premier Morawiecki natychmiast stanął po stronie Tajwanu i zabrał głos na arenie międzynarodowej, dodając Tajwanowi ogromnej siły" – powiedział You. Prezydent Tsai podziękowała za słowa Morawieckiego w imieniu wszystkich Tajwańczyków.

Tsai przypomniała i podziękowała również za inne gesty wsparcia dla Tajwanu ze strony naszego kraju. W lipcu ubiegłego roku senacka Komisja Spraw Zagranicznych i Unii Europejskiej oraz Komisja Zdrowia zebrały się na wspólnym posiedzeniu i jednogłośnie podjęły uchwałę popierającą udział Tajwanu w Światowej Organizacji Zdrowia. W kwietniu bieżącego roku 93 członków ponadpartyjnej Polsko-Tajwańskiej Grupy Parlamentarnej zarówno z Senatu, jak i z Sejmu wydało oświadczenie popierające udział Tajwanu w międzynarodowych organizacjach, który jest blokowany przez komunistyczne Chiny.

W tajwańskich programach publicystycznych podkreślano, że słowa Morawieckiego wypowiedziane w USA świadczą o tym, iż Polska jest na Zachodzie wiarygodnym sojusznikiem, który zdaje sobie sprawę, że atak na Tajwan to nie jakiś wewnętrzny konflikt i że miałby on katastrofalne skutki dla światowej gospodarki i wszystkich krajów.

Odnosząc się do obu wypowiedzi – tej Macrona i tej Morawieckiego – tajwański komentator Jason Wu na portalu UP Media w artykule pt. „Czy Makron posłuchał słów polskiego premiera?" napisał, że reakcja premiera Morawieckiego na skandaliczne słowa Macrona świadczy o rosnącej roli Polski na arenie międzynarodowej.

„Wypowiedzi prezydenta Francji Emmanuela Macrona podczas jego niedawnej wizyty w Chinach spotkały się z krytyką w kraju i za granicą, a Polska, która jest także krajem NATO, zareagowała szczególnie ostro. Od czasu inwazji Rosji na Ukrainę sąsiadująca z Ukrainą Polska, państwo frontowe, aktywnie pomaga Ukrainie, jej wpływy geopolityczne również gwałtownie wzrosły, a jej wielokrotne ostrzeżenia o niebezpieczeństwie sojuszu chińsko-rosyjskiego są godne uwagi" – pisze Jason Wu.

W Tajpej, Tokio i Seulu zauważono, że Polska ostrzega przed forsowaną przez Macrona ideą autonomii europejskiej. Jej realizacja oznaczałaby przeniesienie środka ciężkości Europy w stronę Chin i zerwanie więzów łączących nas ze Stanami Zjednoczonymi.

Nie ma odbudowy Ukrainy bez Polski

Od momentu wybuchu wojny na Ukrainie, często ze strony Japończyków, Koreańczyków z Południa i Tajwańczyków padają słowa podziwu wobec Polaków za ogromną pomoc, jakiej udzieli uchodźcom z Ukrainy. Często też w azjatyckich mediach mówi się o polskich zabiegach na arenie międzynarodowej służących zwiększeniu wsparcia dla Kijowa. Ale coraz częściej też podkreśla się rolę, jaką Polska odegra w procesie odbudowy Ukrainy.

W lipcu bieżącego roku w Tajpej odbyło się forum dotyczące kierunków rozwoju światowej gospodarki sponsorowane przez kilka czołowych tajwańskich banków, na którym wystąpili znani ekonomiści, m.in. Robert Koo, główny ekonomista japońskiego Instytutu Badawczego Nomura w Tokio. W trakcie dyskusji mówiono także o Polsce. Li Zhen-yu, główny ekonomista Taishan Financial

eprasa.pl 4003efe9b0

Holdings, czołowej tajwańskiej spółki świadczącej usługi finansowe, stwierdził, że nasz kraj będzie najważniejszą siłą przy odbudowie Ukrainy, a nasze bliskie relacje z Japonią spowodują, że właśnie tandem polsko-japoński będzie najbardziej znaczący w tym procesie.

Podobnie uważa tajwański guru ekonomiczny Hsieh Chin-ho, który w swoich wystąpieniach w mediach często mówi o tym, że wkraczamy w nową erę. Z geopolitycznego punktu widzenia Indie i Meksyk zastąpią Chiny jako nowe bazy produkcyjne. „Po zakończeniu wojny Polska będzie najważniejszym państwem w procesie odbudowy Ukrainy" – twierdzi Hsieh i dodaje, że Indie, Meksyk i Polska to trzy ważne ekonomicznie miejsca i to w nich giełda i rynek walutowy będą coraz bardziej atrakcyjne.

Podczas gdy opozycja w Polsce straszy naszych rodaków tragicznym stanem gospodarki za rządów PiS, ekonomiści w Azji mówią o coraz mocniejszej pozycji gospodarki naszego kraju.

O tym, że partnerstwo z Polską jest potrzebne w procesie odbudowy Ukrainy, mówił także będąc w Polsce w lipcu bieżącego roku prezydent Korei Płd. Yoon Suk Yeol. „Uzgodniliśmy, że Korea Płd. i Polska mogą być optymalnymi partnerami w odbudowie Ukrainy" – powiedział prezydent Yoon w Warszawie.

Gdy południowokoreański przywódca odwiedzał Polskę, koreańska gazeta „Korea Times" napisała, że Seul postrzega Warszawę jako „hub" dla projektów odbudowy Ukrainy.

Polska centrum reglobalizacji

Delegacje z Japonii, Korei Południowej i Tajwanu coraz częściej odwiedzają Polskę nie tylko dlatego, że jesteśmy kluczem do odbudowy Ukrainy, lecz także dlatego, że widzą nasz kraj i jego rozwijającą się gospodarkę jako ważny element procesu odchodzenia od uzależnienia gospodarczego od Chin. Pandemia i przerwane wówczas łańcuchy dostaw pokazały, że konieczne jest przeniesienie dużej części produkcji z Państwa Środka do Europy. Dziś zacieśniająca się współpraca Pekinu i Moskwy potwierdza potrzebę wychodzenia z Chin.

Kilka miesięcy po rosyjskiej inwazji na Ukrainę Chen Wenling, główna ekonomistka Chińskiego Centrum Międzynarodowej Wymiany Ekonomicznej, nazywanego w Chinach superthink tankiem, na Forum Chiny–USA mówiła o tym, że Pekin powinien zrobić więcej w zakresie handlu, aby Chiny i Rosja mogły połączyć się w ramach Euroazjatyckiej Unii Gospodarczej zaproponowanej przez Putina i Nowego Jedwabnego Szlaku (Inicjatywy Pasa i Szlaku) promowanego przez Xi Jinpinga, w celu utworzenia pogłębionego strategicznego pasa, gospodarczego pasa Jedwabnego Szlaku, pasa bezpieczeństwa energetycznego, co w przyszłości będzie „główną barierą bezpieczeństwa".

Bliskie relacje Moskwy i Pekinu powodują, że w Azji coraz częściej mówi się, iż jednym z głównych hubów produkcyjnych powstałych w wyniku układania na nowo światowego łańcucha dostaw, czyli reglobalizacji, będzie Polska. Mamy ku temu dobrą bazę. Jesteśmy już fabryką świata, zwłaszcza w dziedzinie sprzętu RTV i branży automotive. Do tego Polska to blisko 40 mln konsumentów, mamy największe w naszych części Europy zasoby ludzi dobrze wykształconych, a naszym sąsiadem są Niemcy, czyli największa gospodarka Unii.

Od momentu wybuchu wojny na Ukrainie, często ze strony Japończyków, Koreańczyków z Południa i Tajwańczyków padają słowa podziwu wobec Polaków za ogromną pomoc, jakiej udzieli uchodźcom z Ukrainy.

Polska jak Japonia

W kwietniu bieżącego roku generał dywizji Joel Vowell, dowódca generalny armii amerykańskiej w Japonii, podczas spotkania z dziennikarzami opisał, jak Japonia widzi kwestie bezpieczeństwa w regionie Indo-Pacyfiku w odniesieniu do tego, co dzieje się teraz na Ukrainie i w naszym regionie. Według Tokio, Japonia i Polska odgrywają obecnie podobną rolę w odstraszaniu wroga w swoich regionach, widzą konieczność sojuszu z USA i potrzebę zwiększania swoich zdolności obronnych. Stawiają więc na bezpieczeństwo i sojusze z krajami wyznającymi podobne wartości. ■

eprasa.pl 4003efe9b0

Grzegorz Wszołek

Referendum Komorowskiego, czyli największa klapa demokracji bezpośredniej w III RP

Referendum sprzed ośmiu lat było najmniej istotnym ze wszystkich zorganizowanych po 1989 roku. Klapa frekwencyjna, fatalny czas, polityczne przesłanki, które mu przyświecały, przegrany organizator w kampanii prezydenckiej i ponad 70 mln złotych wyrzuconych w błoto – to fakty z tamtego głosowania. Po tym, jak Platforma Obywatelska wystawiła ideę referendum na pośmiewisko, dziś oskarża PiS – wraz z mediami głównego nurtu – o „upolitycznienie głosowania", a Donald Tusk je nawet „unieważnia". Tymczasem w 2015 roku próżno było szukać takich argumentów w debacie publicznej po antypisowskiej stronie.



prasa.pl 4003efe9b0

Polacy uczestniczyli w III RP w pięciu referendach. Zorganizowano je najpierw w 1996 roku, gdy decydowano w formie demokracji bezpośredniej o powszechnym uwłaszczeniu obywateli na skutek decyzji prezydenta Lecha Wałęsy i prywatyzacji. Głosowanie nie było wiążące z powodu zbyt niskiej frekwencji. Następnie w 1997 roku Polacy zabrali głos w sprawie nowej konstytucji – frekwencja wyniosła tylko 42,86 proc., ale nie było wówczas progu dla ważności referendum. Za przyjęciem nowej ustawy zasadniczej opowiedziało się 52,71 proc. Polaków uprawnionych do głosowania. W 2003 roku odbyło się najliczniejsze referendum – za przyjęciem kraju do Unii Europejskiej. Procedura była wiążąca, bo do urn poszło 58,85 proc. dorosłych rodaków, a 77,45 proc. optowało za akcesją do wspólnoty. Po 12 latach znów wykorzystano formę oddania głosu wszystkim posiadającym czynne prawo wyborcze. Bronisław Komorowski tuż po pierwszej turze, będąc w panice po fatalnym wyniku w starciu z Andrzejem Dudą, wpadł na pomysł przyciągnięcia do siebie wyborców Pawła Kukiza. W grę wchodził ponadtrzymilionowy elektorat muzyka, który wypadł świetnie w wyborach prezydenckich, zajmując trzecie miejsce i zdobywając 20,8 proc. głosów. Komorowski słabł z każdym tygodniem wiosennej kampanii, a pierwszą turę przegrał z Dudą o 1 pkt. proc., co nie wróżyło mu sukcesu w ostatecznej rozgrywce. Zaledwie trzy dni po ogłoszeniu wyników w wyborach, ówczesny prezydent obwieścił referendum w sprawach ustrojowych. – Wysyłam do marszałka Senatu zarządzenie w sprawie referendum w Polsce, bo zgodnie z konstytucją Senat musi to pozytywnie zaopiniować. Termin referendum jest przewidziany na 6 września, dlatego aby stworzyć realną możliwość wzięcia udziału w głosowaniu jak największej liczby Polaków, a więc już poza okresem wakacyjnym – tłumaczył Komorowski. Dziś ten sam polityk wzywa do bojkotu głosowania 15 października, połączonego z wyborami. Trudno o lepszy przykład hipokryzji.

Pytania o nikłym zainteresowaniu

Polacy we wrześniu 2015 roku mieli odpowiedzieć na pytanie, czy zgadzają się na wprowadzenie jednomandatowych okręgów wyborczych w wyborach do Sejmu, likwidację finansowania partii politycznych z budżetu państwa oraz zmian w systemie podatkowym. Problem w tym, że Komorowski przegrał drugą turę, więc referendum pozostało bez gospodarza. Na domiar złego, reforma podatkowa, polegająca na tym, by sporne sprawy rozstrzygać na korzyść podatnika, była już przygotowana przez Sejm. Prezydent RP, zabawiając się przy użyciu referendum, wykorzystał więc nieaktualne pytanie. Gdy Andrzej Duda wygrał wybory, próbował „ratować" inicjatywę Komorowskiego – nie bez przyczyny. Z politycznego punktu widzenia referendum mogłoby być przydatne dla PiS w kampanii wyborczej, podbijając wynik w wyborach parlamentarnych. Pałac Prezydencki przesłał do Senatu dodatkowe trzy pytania: w sprawie wieku emerytalnego, przyszłości Lasów Państwowych i obowiązku szkolnego sześciolatków. Szczególnie pierwsza i ostatnia sprawa były w 2015 roku w zainteresowaniu milionów Polaków – podniesienie wieku emerytalnego – wbrew wcześniejszym obietnicom – ostatecznie obniżyło notowania PO w wyborach kilka tygodni później, a Donald Tusk jako premier zignorował ponad milion podpisów pod projektem referendum w sprawie wysyłania sześciolatków do szkół. Senat ostatecznie odrzucił wniosek prezydenta Dudy i pozostawił bez zmian trzy pytania referendalne. Co ciekawe, pomysł Dudy spotkał się z jeszcze większą krytyką niż referendum wymyślone przez Komorowskiego – konstytucjonaliści bili na alarm, że dopisanie pytań jest niezgodne z prawem, a kwestie zadawane przez zwycięzcę w wyborach prezydenckich są „kuriozalne". – Dopisywać to można się do wycieczki albo szkolnego pamiętnika – ripostował w swoim jarmarcznym stylu Komorowski. Efekt był druzgocący – frekwencja 6 września 2015 roku wyniosła zaledwie 7,8 proc. Oznaczało to najmniejszy udział obywateli w procedurze na skalę europejską od końca II wojny światowej. Wyborcy, bez względu na wyznawane poglądy, dobitnie pokazali, co myślą o bezsensownie wydanych 72 mln złotych. Wyniki w odpowiedziach – choć teoretycznie pozytywne dla inicjatora – nie miały jakiegokolwiek znaczenia.

Krytyka, ale jaka? Podwójne standardy

Wtedy, osiem lat temu, krytykowano pomysł referendum również w liberalno-lewicowych mediach. Ale nie z użyciem takiego repertuaru argumentów, jak dzieje się to przed głosowaniem 15 października. Wtedy nikt nie wspominał w „Gazecie Wyborczej" o końcu demokracji, a co najwyżej o niejasnych pytaniach, które dają paliwo na czas kampanii dla Prawa i Sprawiedliwości. Ba, w sondażu TNS Polska dla „Wiadomości" TVP – tych jedynie słusznych z poprzedniej epoki rządów Tuska – dowiedziono, że frekwencja w referendum sprzed 8 lat osiągnie aż 76 proc. Pracownia podała, że 45 proc. ankietowanych była zdecydowanie za

fot. Marcin Obara/PAP

eprasa.pl 4003efe9b0

udziałem w święcie demokracji, a 31 proc. deklarowało, że „raczej" w nim będzie uczestniczyć. Zaledwie 19 proc. badanych nie zamierzało pójść do lokali wyborczych 6 września 2015 roku. Głosowanie w referendum brutalnie zweryfikowało ten jeden z najbardziej abstrakcyjnych pomiarów sondażowych ostatniej dekady.

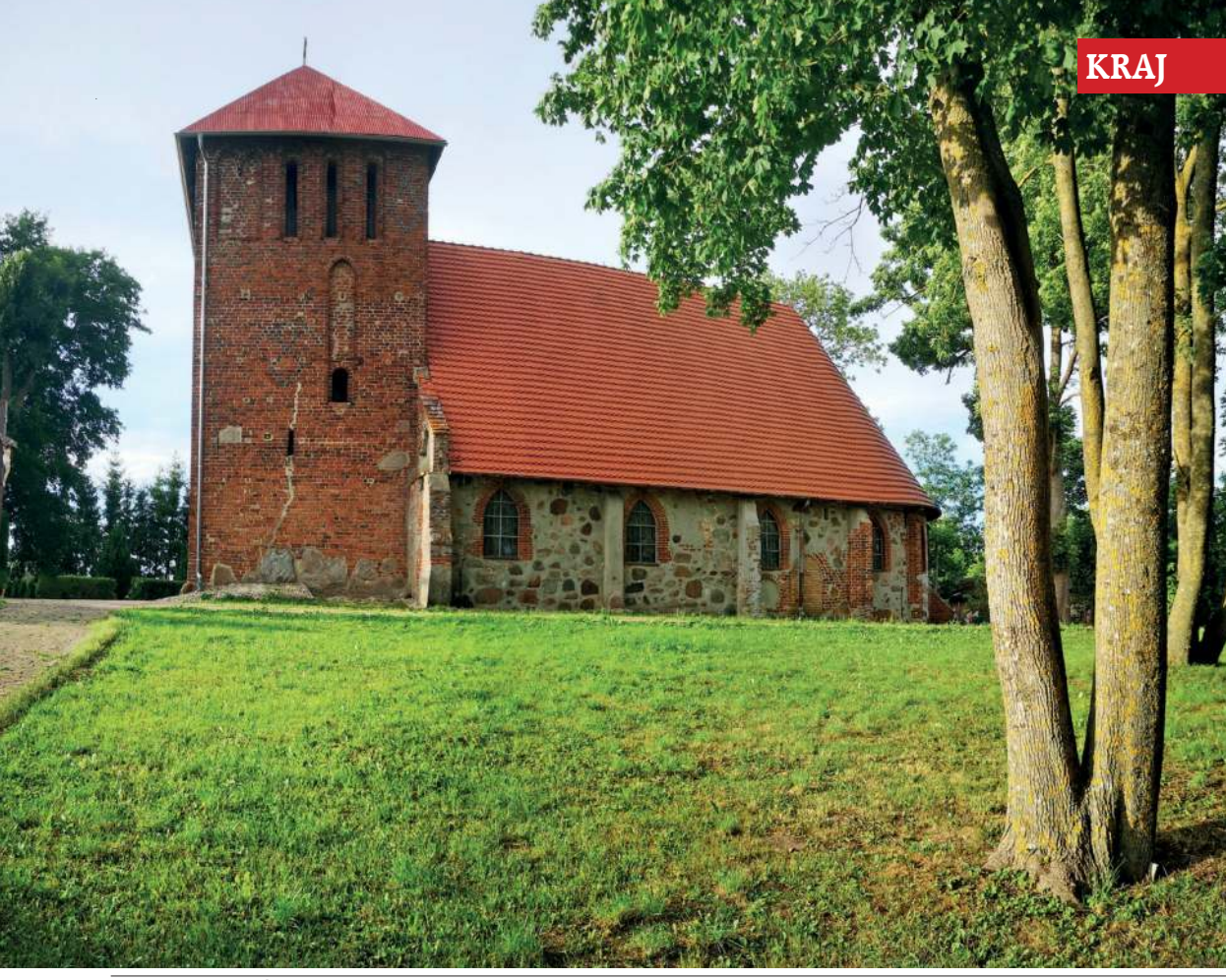
Przed drugą turą wyborów prezydenckich głos na temat inicjatywy Komorowskiego zabierał sam Tusk w roli szefa Rady Europejskiej i przyjaciela polityka, ubiegającego się o reelekcję. Nie, nie wzywał do unieważnienia referendum. – JOW-y były jednym z powodów powstania Platformy Obywatelskiej. PO wtedy, kiedy było to możliwe, przeprowadzała zmiany na rzecz JOW-ów – tłumaczył były premier. – Uważam, że Bronisław Komorowski zaproponował referendum w sprawie JOW-ów, bo teraz PiS-owi będzie ciężej je blokować – dodawał. Zero krytyki, wręcz przeciwnie: Tusk zachęcał, by Komorowski na finiszu kampanii był „swojskim chłopem". – Trzeba być sobą i powiedzieć twardo swoim współpracownikom, że nie będę nikogo udawał i przekonywał, że jestem inny, niż jestem naprawdę. Jeżeli uda się pokazać go w stu procentach takim, jakim jest, a nie takim, jakim chcieliby sztabowcy, to uda mu się wygrać te wybory – doradzał Tusk. Michał Szczerba, dziś podważający sensowność referendum organizowane przez PiS, rozdawał ludziom ulotki po ogłoszeniu głosowania przez Komorowskiego. Dziwił się też, dlaczego ówczesna opozycja krytykuje pomysł referendum. – Referendum jest potrzebne, referendum się odbędzie, ja apeluję tylko o to, żeby rzeczywiście namawiać Polaków – twierdził w jednym z wywiadów w 2015 roku. Na pytanie o koszty odpowiadał zaś: „demokracja kosztuje".

▶ Akademicka debata wtedy, dziś – instrukcje, jak nie oddać ważnego głosu

Nie tylko politykom PO zależało na tym, by uniknąć osiem lat temu kompromitacji. „Gazeta Wyborcza", choć krytykowała ideę referendum na skutek porażki Komorowskiego, to jednocześnie na swoich łamach zachęcała do udziału w nim i otworzyła debatę akademicką na temat potrzeby zmian ustrojowych. „Dziś mija termin składania wniosków o głosowanie korespondencyjne we wrześniowym referendum. Chęć głosowania korespondencyjnego trzeba zgłosić w urzędzie gminy, w której jesteśmy wpisani do rejestru wyborców, ustnie, pisemnie, faksem lub e-mailem" – czytamy w archiwalnym fragmencie „samouczka". W 2023 roku „Gazeta Wyborcza" instruuje, co zrobić, by nie oddać ważnego głosu w referendum. „Z pewnym zaciekawieniem obserwuję z Kanady próbę zrewolucjonizowania sposobu wybierania polskiego Sejmu, a zapewne także i władz niższego szczebla. Sprawa wzbudziła tyle emocji, że awansowała do ogólnonarodowych konsultacji w postaci referendum. Jakikolwiek będzie wynik owego referendum, wiadomo, że nie zadowoli wszystkich. Może być w pewnym sensie odbiciem aktualnych emocji społeczeństwa, ale na pewno nie efektem chłodnej analizy pozytywów i negatywów systemu, który przedstawiany jest jako »bardziej demokratyczny«" – to z kolei list czytelniczki do „Gazety Wyborczej". Politolog Bartłomiej Nowotarski rozwodził się nad systemem finansowania partii politycznych. „[...] trzeba pamiętać, że demokracja to nie gotowe rozwiązania, lecz dylematy do wspólnego roztrząsania. Po drugie, pytanie dotyczy niestety tylko instrumentu, narzędzia ustrojowego, za pomocą którego kształtowana jest jakość demokratycznej polityki. Nie stawia więc pierwszorzędnego problemu, na czym ta jakość czy wartość zdaniem obywateli miałaby polegać" – pisał autor. Referendum, które z góry cieszyło się znacznie mniejszym zainteresowaniem od tego, które 15 października będzie dotyczyło wyprzedaży majątku państwowego, wieku emerytalnego, nielegalnych imigrantów i zapory na granicy polsko-białoruskiej, i tak było na poważnie omawiane w „Gazecie Wyborczej". Obecnie taka debata się nie toczy. Jest tylko gremialna krytyka w redakcjach przeciwnych utrzymaniu PiS u władzy.

Owszem, referendum ogłoszone przez Zjednoczoną Prawicę – jak każde wcześniejsze – ma określony, polityczny cel: to mobilizacja własnego elektoratu i przekonanie niezdecydowanych, że partia rządząca ma jasne odpowiedzi na postawione pytania o bezpieczeństwo granic i przyszłość polskich przedsiębiorstw oraz emerytów. Nieprawdą jest, że spójne poglądy na te tematy ma opozycja. Gdyby tak było, część PO i Lewicy nie apelowałaby o wpuszczenie imigrantów na granicy z Białorusią, co łączono z atakami personalnymi na strażników granicznych i żołnierzy. Gdyby tak było, PO od początku popierałaby budowę zapory z państwem rządzonym przez dyktatora Aleksandra Łukaszenkę i obwodem kaliningradzkim. Gdyby tak było, liberałowie nie zachęcaliby do podniesienia wieku emerytalnego, co uczynił zresztą gabinet PO-PSL. Na tym polega pułapka w referendum dla opozycji, która „zapomniała", że jako rządząca formacja organizowała swoje i została kompletnie zignorowana również przez swój elektorat. ■

eprasa.pl 4003efe9b0



XIII-wieczny kościół w Śmiechowie

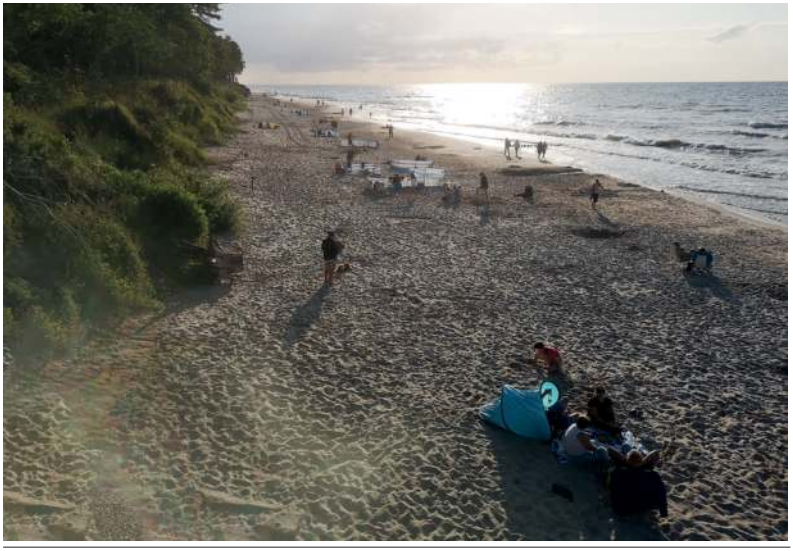


Stefan Czerniecki
czerniecki.net

Gdy gąskom wcale niespieszno do domu, czyli o „Bałtyckim Trójkącie Bermudzkim”

Zła sława u marynarzy i żeglarzy wcale nie musi iść w parze z opinią wśród tzw. szczurów lądowych. Wszak niewielka wioska polskiego wybrzeża przez całe lata była oczkiem w głowie choćby kuracjuszy z odległego RFN. Jak się dziś okazuje, mieli tu czego szukać.

eprasa.pl 4003efe9b0



Na plaży w Gąskach zwykle nie ma tłumów



Niektórym naprawdę bardzo się tu podoba

Jest już dość chłodno. Od dłuższego czasu nad pasmem wybrzeża kotłują się ułożone piętrowo cumulonimbusy. Sprawiając wrażenie, że godzina musi być już znacznie późniejsza, niż w rzeczywistości. Zresztą, jeszcze dziewięćdziesiąt minut i słońce schowa się za płaską linię wyznaczoną przez koniec pomarszczonego falami morza. Póki do zachodu zostało jednak jeszcze kilka chwil, jest czas, żeby skorzystać z naturalnego światła i poobserwować, jak ten wczesnojesienny dzień szykuje się do snu. O tej porze wydostające się sporadycznie zza chmur matowe promienie słońca już praktycznie nie grzeją. Upał, który jeszcze przed trzema tygodniami tak bardzo cieszył plażowiczów, jest dziś tutaj już tylko wspomnieniem. To lato praktycznie już się skończyło.

Widać to także tutaj. Szeroka na trzy metry leśna droga prowadzi przez zroszony wieczorną wilgocią las. Gdzieniegdzie kropelki wody zdążyły osadzić się na nitkach rozłożonych między gałęziami pajęczyn. Mrówkowe kopce z sosnowych igieł także pociemniały od wilgoci. Wzdłuż leśnej drogi przez pierwsze kilkaset metrów ustawiono kilka latarni. Pewnie dla kuracjuszy wypoczywających w pobliskim sanatorium. Mimo późnej pory latarnie jeszcze nie świecą. Ciężko stwierdzić, czy w ogóle ktoś je dzisiaj zapali. Wszak w okolicy ani żywego ducha. No, może prócz pana ochroniarza siedzącego samotnie w swojej stróżówce przy leśnym parkingu i wjeździe na teren sanatorium.

W pewnej chwili ciemny las ustępuje wysokim na dwa metry zaroślom. W powietrzu od razu czuć zmianę. Leśną żywicę zastępuje zapach przegniłego błota. Pleśni i grzyba. Oraz zimnej wilgoci. Droga prowadzi w dół. Zaraz za zaroślami wyłaniają się średniej wielkości jeziora. Przechodzące miejscami w zabagnione torfowiska. To właśnie od nich ten zapach. Unoszący się w tej chwili nad całym terenem tzw. Solnych Bagien.

Nostalgiczny lot do domu

Szczelny kordon szuwarów utrudnia swobodny dostęp do mokradeł. Ze ścieżki ciężko nawet o jakikolwiek lepszy widok. A że jest co oglądać, zdradza piskliwy harmider dochodzący zza ściany zarośli. Tam akurat nie ma ciszy. Odsuwając delikatnie na bok ostre źdźbła gęstych trzcinowisk, docieramy wreszcie nad wodę. Jest nieprzeźroczysta. Czarna jak smoła. Pokryta dodatkowo unoszącym się na jej powierzchni kożuchem – z paproci i wszelkich nasion – ostatnich pamiątkach po minionym lecie. Delikatny przypływ wody uderza miarowo o brzeg. Dwieście metrów dalej na środku jeziora widać wyspę. W całości pokrytą obsiadającym ją w tej chwili czarnym ptactwem. Z daleka wyspa bardziej przypomina ciemną plamę o nieregularnym kształcie niż kawałek lądu porośnięty kilkoma krzewami. Każdą wolną przestrzeń zajmują ptaki. Są na gałęziach, na wystających z wody konarach, na przegniłych pniach.

Naraz w jednej chwili głowy wszystkich kilkuset ptaków odginają się, spoglądając nad siebie w niebo. Tam, skąd od kilku sekund dochodzi specyficzny dźwięk. Jakby ktoś pchał nienaoliwioną głośną taczkę. Odgłos skrzeczący, piszczący, chroboczący. Po chwili na

eprasa.pl 4003efe9b0





Ekopark Wschodni. Kilkaset metrów od morskiego wybrzeża wytworzyły się wymarzone warunki dla ptactwa

szerokim nieboskłonie pojawiają się lecące gęsi. Ptaki zdążyły już uformować charakterystyczny klucz. Lecą w głąb lądu. Kierując się nieco bardziej na zachód. W stronę pobliskiego Kołobrzegu.

Całe niebo jest w tej chwili tylko dla nich. Można odnieść wrażenie, że nawet słońce postanowiło zatrzymać się chwilę dłużej na niebie, aby dyskretnie doświetlić im trasę. Współtworząc tym samym niezwykły spektakl ptasiej wędrówki. Trasy do domu. Powrotnej i pożegnalnej. Podobnie jak pożegnalna jest ta smutna nuta, którą zdają się tworzyć lecące przed siebie gęsi. Smutna i nostalgiczna jakaś.

▶ Gąski kiedyś, Gąski dziś

Marcin zna ten widok od lat. Lubi go obserwować. Choć doskonale wie, co on oznacza.

– Jest w nim pewna niewesoła myśl, to prawda – odpowiada, sam zamyślając się na dłuższą chwilę. – I wiesz... Ilekroć obserwuję te odlatujące od nas gęsi, tylekroć naprawdę słyszę w tym ich gęganiu jakąś taką pożegnalną nutę. Jakby one naprawdę płakały. Jakby na swój sposób chciały się pożalić. Wyrzucić z siebie smutek. Na który zresztą nie mają recepty. Sam nie wiem, czy to tylko autosugestia, czy rzeczywiście w taki sposób słyszę ten dźwięk. Ale ja naprawdę wychwytuję w nim nostalgię. Zupełnie co innego będzie za osiem miesięcy, gdy wrócą. Wtedy ten dźwięk będzie inny. Radośniejszy. Wręcz entuzjastyczny.

Polskie wybrzeże Pomorza Zachodniego. Wieś Gąski. Między Koszalinem a Kołobrzegiem. Zamieszkana przez pięciuset ludzi wioska rozlokowana w pasie oddalonym od morza nie dalej jak kilkadziesiąt metrów. Do sławnego kołobrzeskiego molo jest stąd w linii prostej 25 kilometrów. Do sławnego Sarbinowa – znacznie bliżej. Z jego długą nadmorską promenadą. Licznymi kafejkami i restauracjami rozlokowanymi wzdłuż tutejszej ulicy Nadmorskiej. Tamtejsza szeroka promenada kończy się jednak kilometr przed tym, jak kończy się samo Sarbinowo. I zaczynają się łąki. W tym miejscu, na odcinku dzielącym Sarbinowo od Gąsek, nie ma już szosy. Kierowcy samochodów muszą nadkładać drogi i jechać naokoło. Zostają tylko spacerowicze oraz rowerzyści. To dla nich pomiędzy okolicznymi łąkami i polami poprowadzono nitkę drogi EuroVelo. Wytyczona trasa wiedzie wzdłuż pasma wybrzeża. Mijając między innymi sąsiednie Gąski.

Marcin zna te tereny jak własną kieszeń. Pierwszy dom w tej niewielkiej wiosce postawili wszak jego dziadkowie. Tutaj spędzał dzieciństwo, tutaj przyjeżdżał na wakacje, gdy mieszkał już w odległej Łodzi. Tutaj powraca do dziś. Żeby znów poczuć się jak kiedyś. Gdy o maleńkich Gąskach nie słyszał jeszcze nikt.

– I tak po prawdzie to nadal niewielu o nich słyszy. – Na ganek prowadzonego przez rodzinę pana Marcina malowniczego domku wychodzi pani Joanna. Zna pana Marcina od lat. I od lat przyjeżdża do jego posiadłości na wakacje. – A przynajmniej, jak się porówna ceny, jakie są w pozostałej części wybrzeża, oraz tu, można odnieść wrażenie, że nadal o Gąskach nie jest wśród turystów aż tak głośno. Na szczęście.

– Jak byłem mały, nasz dom był jednym z kilkudziesięciu, jakie tu stały. Wszędzie wkoło były łąki i pola – wspomina pan Marcin. Po chwili serdecznie się uśmie-

eprasa.pl 4003efe9b0

cha. – Zresztą łąki i pola nadal tu są. Wystarczy przejść kilkadziesiąt metrów.

Rzeczywiście. Mało jest dziś na polskim wybrzeżu miejscowości, które – pomimo swego niepodważalnie hiper-atrakcyjnego położenia – zdołały zachować jako taki charakter zachodniopomorskiej wioski.

– Pamiętam jeszcze pana Józia, do którego każdego ranka biegało się po chleb. Jego dom był tam, na rogu – pan Marcin wskazuje narożnik ulicy, na której dziś zaczyna się rozciągać wielkie pole campingowe.

Podobnych wspomnień ma z tym miejscem znacznie więcej. I nie ma co ukrywać, coraz więcej miejsc takim wspomnieniem już tylko pozostanie. Deweloperzy dobrze o to zadbają. W tym roku przy ulicy Nadbrzeżnej wbito pierwsze łopaty pod powstanie kilkunastu apartamentowców. Będą stały nad samą plażą. Niestety nie wpisując się w wiejski charakter pozostałej zabudowy Gąsek. Nadmorski biznes ma jednak swoje prawa. Sama ziemia, którą przed laty kupował pan Marcin, jest dziś już warta kilkadziesiąt razy więcej. A jej cena raczej nadal będzie rosnąć.

Lekkomyślny deweloper

– Pamiętasz te Gąski sprzed trzydziestu lat? – zapytuję któregoś dnia Marcina.

– Pewnie że pamiętam. A ty byś zapomniał? Jest wszak w nas ludziach coś takiego, że bardzo chętnie przechowujemy w pamięci te dziecięco-młodzieżowe wspomnienia. Pewnie nawet troszkę je idealizujemy. Wracamy pamięcią. Dbamy o nie. Ja mam podobnie z Gąskami.

– A dużo się zmieniło od tamtego czasu?

– Gdy patrzę na to, jak wyglądają dziś inne nadmorskie kurorty, a przez to jak teoretycznie mogłyby wyglądać moje Gąski, to mógłbym powiedzieć, że zmieniło się, ale nie tak znowu diametralnie. Bo tutaj wciąż jest ciszej. Wciąż jest bardziej po wiejsku niż po miejsku.

– Ale zmiany na pewno też się dokonały?

– A to pewnie! I to niejedna. Pamiętam pierwszy sklep. To chyba był „Społem". Taka państwówka. Tylko tam można było kupić pieczywo, jakiś nabiał. Dziś stoi tam inny sklep. Prywatny. Podobnie jak nie ma już kilku z później powstałych lokali. Z każdym rokiem Gąski się zmieniają.

– I chyba będą się zmieniać coraz szybciej. Widziałem to ogrodzenie wokół budowanych właśnie apartamentów...

– Tak... – Marcin milczy przez krótką chwilę. – Jako mieszkańcy byliśmy w szoku, jak się o tym dowiedzieliśmy. Dostali zgodę na budowę w bezpośrednim sąsiedztwie wybrzeża. Wchodzą wręcz na leśne pasmo okalające wejście na plażę. Naprawdę dziwię się, że nikt nie zaprotestował. Przecież to naprawdę niebezpieczne. Za długo żyję na wybrzeżu, żeby nie doceniać potęgi tego żywiołu.

Latarnia, by zaradzić anomaliom

Jakby na potwierdzenie jego słów nad Bałtyk za dwa dni przychodzi fala sztormów. Niebo zaczynają skrywać szaro-ciemne chmury. Dmie bezlitośnie wicher. Rozkołysana przez wiatr woda bezceremonialnie zabiera lądowi całą plażę. Spienione grzywacze podpływają aż pod zielony pas oddzielający wybrzeże od wsi. W samych Gąskach dzieje się także wiele. Wczasowicze pospiesznie pakują bagaże, decydując się na przedwczesnym powrót do domów. Na wąskich ulicach podziurawionych wielkimi kałużami tworzą się miejscowe zatory. Kto może, próbuje opuścić malutką miejscowość. Bałtyk pokazał właśnie swoje bardziej srogie oblicze. – Z aurą tak tu było, odkąd pamiętam – dodaje Marcin. – Przy sztormach zostają w gościnie jedynie najwytrwalsi.

Właśnie z powodu lokalnej aury miejsce to na mapie polskiego wybrzeża aż za dobrze znają rodzimi żeglarze. Gwałtowne sztormy, huragany i coś jeszcze... Przez całe lata kolejni kapitanowie przepływających przez okoliczne wody okrętów głowili się nad tym, dlaczego ich pokładowe przyrządy nawigacyjne notorycznie się tutaj psują, wskazując niedorzeczne parametry. Część statków nawet się rozbiła. Inne wskutek błędu nawigacyjnego musiały nadrabiać drogi.

Z pomocą przyszła geologia. Okazało się, że w skład gleby budującej wybrzeże wokół Gąsek wchodzą całkiem pokaźne złoża magnetytu. Minerału potrafiącego zakłócić pole magnetyczne, wskutek czego dawne przyrządy nawigacyjne miały utrudnione zadanie.

Żeby poprawić bezpieczeństwo na tym fragmencie wybrzeża, postanowiono wybudować latarnię morską. I rzeczywiście szybko ona powstała. Jeszcze w 1878 roku. Jest dziś drugą po świnoujskiej najwyższą latarnią polskiego wybrzeża.

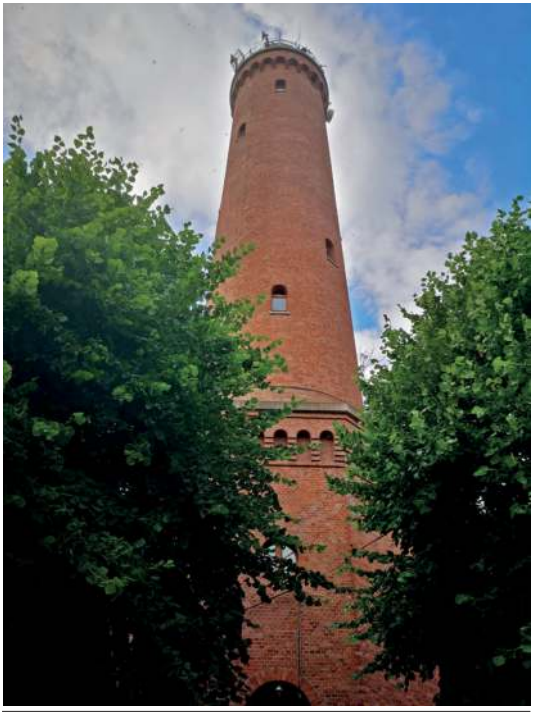
Wabik dla Niemca

– Nigdzie indziej na polskim wybrzeżu morze nie jest tak otwarte jak tutaj. I zarazem tak zimne – uśmiecha się Tomek, warszawiak odwiedzający Gąski już od przeszło dwudziestu lat. – W tym miejscu, jak nigdzie indziej w naszym kraju, czuć majestat wielkiej wody.

Przykra sława „Bałtyckiego Trójkąta Bermudzkiego", jak z czasem miejscowi zaczęli nazywać wody w okolicach Gąsek, nie przeszkodziła jednak ani trochę fanom cichej i spokojniej atmosfery okolicznego wybrzeża. Jak przybywali wcześniej, tak przybywają dalej. Nie tylko zresztą polscy.

Przez wiele lat Gąski były oczkiem w głowie naszych zachodnich sąsiadów. Przybywali tłumnie – głównie

eprasa.pl 4003efe9b0



Mierząca 41 m wysokości latarnia morska w Gąskach jest drugą najwyższą na całym polskim wybrzeżu

z terenów RFN – by poszukiwać tu cennej zielonej glinki wygładzającej skórę. Wszystko na skutek popularności agrilloterapii, czyli leczenia glinką. Najlepiej właśnie jej zieloną odmianą. Tak się złożyło, że właśnie w okolicy Gąsek było jej bardzo dużo. Z czasem wśród lokalnych mieszkańców normalnością stały się obrazki przedstawiające niemieckie kobiety spacerujące po tutejszym wybrzeżu z plastikowymi torebkami w dłoni i zbierające do nich okoliczną glinkę. Dla turystów było to często powód do śmiechu i żartów. Dla znających się na terapii – bezcenny czas złóż.

Noc, gwiazdy i mgła

– Mam jeszcze jedno wspomnienie z Gąsek – przypomina sobie w trakcie naszej rozmowy Marcin. – Miałem wtedy chyba ze dwanaście lat. Dla mnie, mieszkającego do tej pory tylko w mieście, wizyta na tutejszych polach i łąkach była niesamowitym przeżyciem. Zwłaszcza nocą. Pamiętam tamten widok rozgwieżdżonego nieba. Nie mieliśmy wtedy w Gąskach żadnych latarni. Drogę rozświetlało się lampami naftowymi. Gdy wygaszało się lampę i patrzyło w górę, człowiek momentalnie stawał oniemiały. Tamten widok rozgwieżdżonego nieba oglądanego z maleńkiej wioski nad samym brzegiem morza pamiętam do dziś.

Widok na rozgwieżdżone niebo przy braku innych źródeł światła musiał robić wrażenie. Zupełnie inne od tego, które sprawiały lokalne słynne w Gąskach mgły.

– Zdarzają się najczęściej w gorącym lipcu – wyjaśnia Marcin. – Gdy nagrzane przez kilka tygodni występowania ciepłych temperatur morze styka się z nagle ochłodzonym lądem. Takie mgły wchodzą wówczas w głąb lądu. Nieraz do 4–5 kilometrów.

Marcin do dziś nie może zapomnieć mgły, która przed laty szczelnie pokryła całe gąskie wybrzeże. – Była tak gęsta, że widziałeś na góra dwa metry do przodu – wspomina. – Pamiętam, jak spotkałem dwie turystki. Nie miały pojęcia, gdzie się znalazły. Szukały latarni, którą w normalnych warunkach widać z kilku kilometrów. Były spanikowane i bezradne, więc uznałem, że podprowadzę je pod sam obiekt. Dla kogoś, kto nie mieszka na co dzień w Gąskach, taka mgła naprawdę oznaczała wyrok. Trzeba wówczas orientować się po omacku. Teraz, gdy idzie jesień, mgły też się będą pojawiać. Ale one już mają inną konsystencję od tych lipcowych. Są zdecydowanie rzadsze. I pachną inaczej.

Gdy gąska za Gąskami tęskni

Dziś na szczęście nie ma mgły. Jest nawet dość pogodnie. Idziemy na plażę. Zewsząd na nią tutaj blisko. Zamieszkane przez pięciuset ludzi Gąski to wciąż kameralna miejscowość. Nawet teraz, gdy mamy końcówkę sezonu.

Po huraganie nie ma już śladu. Fala się cofnęła. Odsłaniając jednocześnie szeroki pas piaszczystej plaży. To tym lepiej, gdyż na tym odcinku wybrzeża nie widać typowych wydm, które mogłyby stanowić naturalną zaporę dla wody. Zamiast charakterystycznych piaszczystych kopców jest tu jedynie wąski przesmyk zarośli i krzewów. Od razu po jego przekroczeniu naszym oczom ukazuje się rajski widok na rodzime morze.

Na plaży pusto. Latem było znacznie więcej ludzi. Choć i tak gdy porównamy tę liczbę z turystami z pobliskiego Kołobrzegu czy nieco dalszych Łeby, Ustki czy Władysławowa, wyjdzie nam, że gąską plażę odwiedza latem ledwo garstka osób. Szum wody. Szum wiatru. Zimne wrześniowe powietrze. Przejmujące, ale i mrożące wspomnienia zarazem. Wszak widok, jaki przed nami, naprawdę hipnotyzuje. I na swój sposób macha na pożegnanie.

Spoglądam nad siebie. Na przyozdobionym kilkoma chmurami niebie widać charakterystyczny klucz lecących ptaków. Gdy są bliżej, słuchać ich odgłosy. Te same odgłosy, które słyszały ptaki z Solnych Bagien. Z zainteresowaniem zwracam wzrok w niebo. Odnoszę wrażenie, że tym gęsiom naprawdę żal odlatywać. Gdzie będą traktowane tak dobrze jak tutaj? Gdzie indziej nazwą na ich cześć maleńką miejscowość jak tę z pięknego polskiego wybrzeża? ■

eprasa.pl 4003efe9b0

Jurij Szczerbak

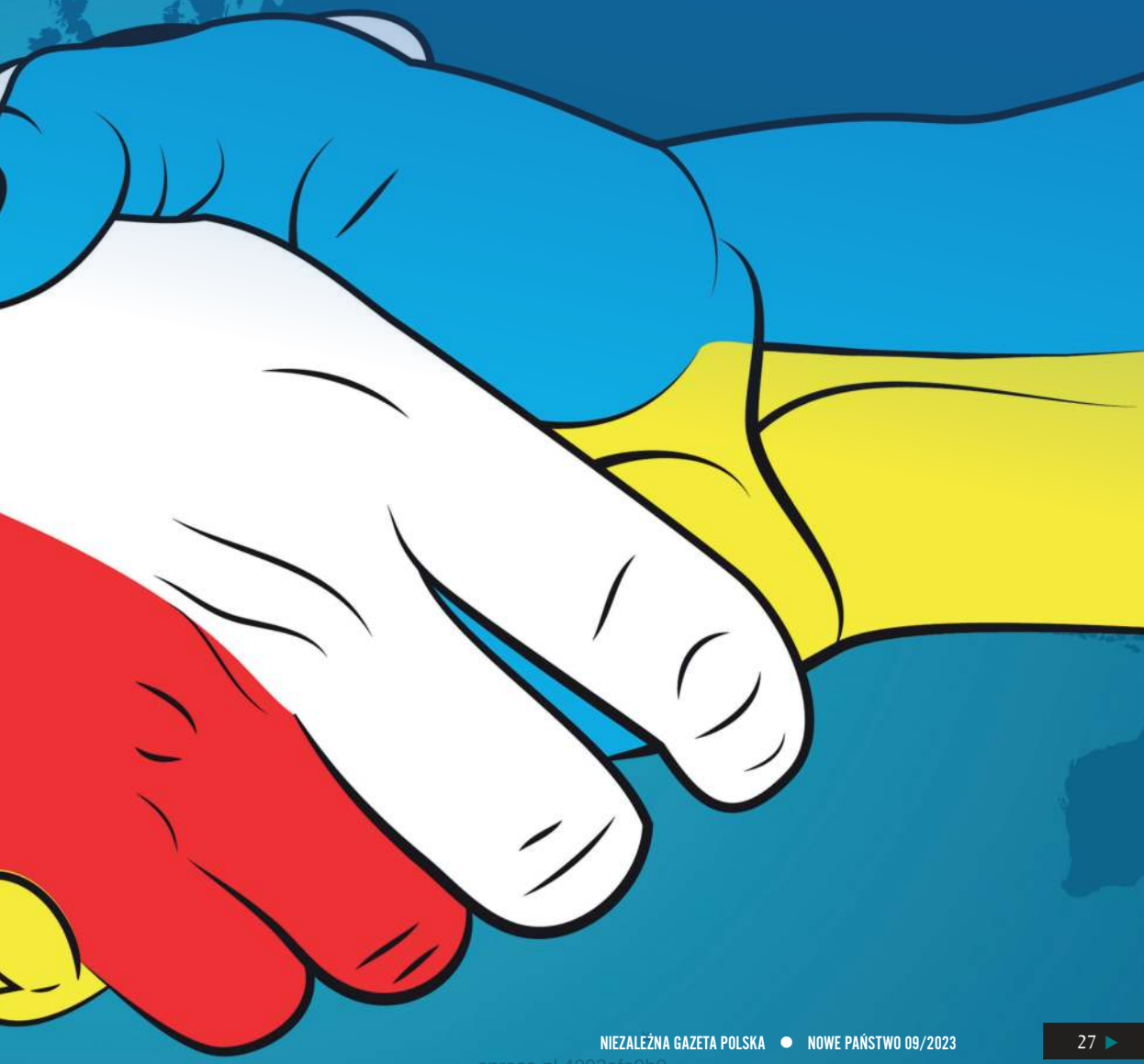
Rzeczpospolita naszych marzeń



eprasa.pl 4003efe9b0

Wielką zbrodnią przed przyszłymi pokoleniami Ukraińców i Polaków będzie to, jak zmarnujemy szansę podarowaną nam przez los – fakt prawdziwego pojednania dwóch narodów w godzinę śmiertelnego niebezpieczeństwa – wściekłego ataku moskiewskiego imperializmu na Ukrainę. Jeżeli putinowi i jego agenturze w Ukrainie i Polsce uda się sprowokować nowe ukraińsko-polskie konflikty, rozjątrzyć stare historyczne rany, zagasić, zhańbić czysty wybuch uczuć narodowych lat 2022–2023 – to będzie najgorsza historyczna porażka Ukraińców i Polaków od czasów 1939 roku.

fot. ADOBE STOCK



eprasa.pl 4003efe9b0

Przypadkiem w opuszczonych zakamarkach Internetu trafiłem na zapomniany, nigdzie nieomawiany jednogodzinny film dokumentalny Oleksandra Dowżenki „Wyzwolenie". Obraz wyprodukowany w 1940 roku opowiada o wydarzeniach września–października 1939 roku, gdy Armia Czerwona przystąpiła do II wojny światowej po stronie Hitlera, zagarniając wielką część terytorium ówczesnej Polski.

Tragiczny dokument epoki

„Wyzwolenie ukraińskiego i białoruskiego narodu spod ucisku polskich panów i połączenie narodów – braci w jedną rodzinę" – tak brzmiała oficjalna nazwa tej produkcji.

Dziś tego filmu nie można oglądać bez uczucia odrazy, wstydu i jednocześnie poczucia uwikłania w straszny historyczny rozłam, nakręcony w jednym celu: udowodnienia widzowi zasadności zniszczenia „sztucznego państwa polskiego", „polskiego imperializmu", reżimu „polskich panów, szlachty i właścicieli ziemskich", gnębicieli i wrogów robotników Zachodniej Ukrainy i Zachodniej Białorusi.

Film aż kipi od nienawiści – klasowej i narodowej – do polskich panów, przekonuje, że bagnety Armii Czerwonej (pojawia się tam scena marszu radzieckich jednostek bojowych, prawie identyczna jak kadry niemieckiej kroniki filmowej – żelaznego kroku SS) otwierają bramy raju dla robotników i chłopów pod gwiazdami Kremla.

Obraz wychwala Stalina, Chruszczowa, marszałka Tymoszenkę, a wszystkiemu towarzyszy melodia marszów wojskowych, przeplatana ukraińskimi pieśniami.

Ten całkowicie zakłamany, patetyczno-propagandowy film, którego prawdopodobnie wstydzili się jego twórcy i którego nie można było pokazywać widzom już w 1941 roku, po rozpoczęciu niemiecko-sowieckiej wojny, raptem zjawił się przed moimi oczyma w 2023 roku jako tragiczny dokument epoki, gdzie każdy kadr jest przez nas na nowo analizowany i czytany.

Tak bywa, kiedy uczony-egiptolog zrzuca zarumienioną, uśmiechniętą maskę mumii i odsłania jej prawdziwe, poczerniałe, martwe, beznose oblicze.

Oblicze przeszłości. I kiedy na ekranie pojawiają się kolumny przygnębionych, bezsilnych polskich jeńców wojennych, konwojowanych przez Armię Czerwoną, wiemy – wielu z nich czeka rozstrzelanie w Katyniu, obozy w Workucie, a tych, którym się poszczęści – Armia Andersa czy Berlinga ...

Autorzy filmu nieskromnie pokazują nam setki czołgów sowieckich, które zwycięsko poruszają się po drogach, miasteczkach i polach „ginącej" Rzeczypospolitej – a my wspominamy te 14 000 czołgów z czerwonymi gwiazdami, zniszczonych razem z załogami pod Dubnem i Kijowem przez niemiecki Wermacht.

Patrząc na masowe demonstracje Ukraińców Galicji, niby to szczęśliwych z powodu przywitania braci ze Wschodu, myślimy o represjach, które natychmiast dotknęły tę ziemię, o deportacji Polaków i Ukraińców na Północ, o rozstrzelaniach więźniów politycznych przez NKWD we Lwowie w więzieniu na Łąckiego i w Brygidkach w 1941 roku.

Huculi i Hucułki w keptarach (serdakach), co tak radośnie tańczą przed kamerami radzieckich propagandystów w 1939 roku, w latach 1944–1950 przeistoczyli się w groźną partyzancką siłę antykomunistyczną, pokazali moskiewskim okupantom potęgę oporu narodowego.

Apoteoza filmu „Wyzwolenie" – scena w Kremlu, gdzie Rada Najwyższa ZSRR przyjmuje delegację Ukrainy Zachodniej. Przed nami – bandycka zgraja przywódców Czerwonego Imperium – biuro polityczne na czele z głównym tyranem stalinem.

Wśród gromkich owacji i lizusowskich okrzyków, nie powiedział on ani słowa nowo przybyłym sługom, a polecił zrobić to jednemu z głównych katów kraju – prokuratorowi A. Wyszyńskiemu.

Przed bramami robotniczo-chłopskiego raju Ukraińców i Białorusinów, którzy naiwnie uwierzyli w wyzwolenie, zabójca powitał ich z siekierą skąpaną we krwi.

Tak zaczynał się szlak na Golgotę II wojny światowej dla Polaków i Ukraińców, których wspólnie niszczyły Niemcy i sowiecka rosja, zjednoczeni w swym pragnieniu zasiania niezgody i nienawiści między narodami.

Zadżumiona strefa raszyzmu

Od tego czasu minęło ponad osiemdziesiąt lat. Nie ma wśród żywych żadnego z bohaterów tego filmu. Kilka pokoleń ludzi odeszło w niebyt i świat zmienił się nie do poznania.

Nie zmieniła się tylko rosja, która prowadzi krwawą wojnę przeciw Ukrainie i grozi Polsce bronią atomową.

Maniak z bunkra, putin, wygłasza szaloną przemowę na temat polskiej historii w stylu filmu „Wyzwolenie". Stwierdza on, że Stalin... podarował Polsce zachodnie (kiedyś niemieckie) ziemie, nie wspominając o zamaszystym podpisie wodza na tajemniczym protokole paktu Mołotowa–Ribbentro-

eprasa.pl 4003efe9b0

pa i na katyńskim wyroku śmierci dla 20 tys. polskich żołnierzy, których jedyną winą była miłość do swojej Ojczyzny, której bronili.

Krwawy złoczyńca putin, który uważa się za nowego stalina, jednakowo nienawidzi Ukraińców i Polaków, i przygotowuje prowokacje, by złamać lub rozchwiać nasz sojusz.

W tym celu gotów jest spuścić z łańcucha swego sługę Łukaszenkę.

Wymyślono bajkę o przygotowywaniu przejęcia przez Polskę ziem Ukrainy Zachodniej i pojawiły się pogróżki – „nie dopuścić do rozbioru Ukrainy"!

Złoczyńcy Ordy moskiewskiej, którzy tną Ukrainę i chcą podzielić ją na trzy–cztery części, udają, że dbają o jedność ukraińskich ziem!

Przechodząc przez krytyczną fazę wojny wyzwoleńczej narodu ukraińskiego przeciwko rosyjskim grabieżcom, twardo wierząc w nasze strategiczne zwycięstwo nad odwiecznym wrogiem, patrioci Ukrainy i Polski już dziś powinni myśleć o wspólnej przyszłości w warunkach pokoju i zagwarantowanego bezpieczeństwa.

Bo historyczne doświadczenie uczy nas, że rosja była, jest i – nie zważając na nieuniknioną porażkę – zostanie w przyszłości zadżumioną strefą raszyzmu, źródłem zmutowanych agentów imperialnego nękania, czarnosecinnej mentalności, agresywnej wiary we własną wielkość i mesjanistyczne przeznaczenie.

Taki kraj musi być odgrodzony od normalnego świata demokratycznej cywilizacji kwarantannową granicą, najważniejszym ogniwem której powinny być Ukraina, Polska i Litwa, które kiedyś tworzyły jedno państwo – pierwszą Rzeczpospolitą (1569–1795), znaną jeszcze jako Rzeczpospolita Obojga Narodów (czyli polskiego i litewskiego) i która, niestety, nie stała się Rzeczpospolitą Trzech Narodów (polskiego, litewskiego i ukraińskiego). Ten, kogo interesuje, czemu ten wielce perspektywiczny projekt nie doszedł do skutku, niech podejdzie do pomnika Bogdana Chmielnickiego w centrum Kijowa i zastanowi się nad kaprysami historii.

▶ Łamiąc zadawnione stereotypy wrogości

Przebywając tymczasowo w Polsce w godzinie wojennej grozy, mogłem na własne oczy zobaczyć, odczuć, ocenić niesamowitą skalę polskiego współczucia i polskiej pomocy Ukrainie.

Spotkałem w Poznaniu hrabiego z dawnego polskiego rodu, w którym przeplatają się arystokratyczne linie Potockich, Zaremb, Czartoryskich: ten człowiek przygotowywał się do objęcia kierownictwa nad amerykańskim projektem odbudowy Ukrainy. W Katowicach widziałem, jak zakonnice opiekują się ukraińskimi dziećmi, a koło Rzeszowa obserwowałem, jak lądują na lotnisku ciężkie samoloty transportowe USA z bronią dla Sił Zbrojnych Ukrainy. Ukrainki-uchodźczynie w Kazimierzu Dolnym opowiadały mi, jak w Lublinie, gdzie stały zdezorientowane rano po wielogodzinnym przekraczaniu granicy i nie wiedziały, co robić, podeszła nieznajoma polska kobieta i załatwiła im pracę i mieszkanie...

Łamiąc wszystkie zadawnione stereotypy wrogości, oddając do archiwum zakrwawione karty historii, nasze narody przez półtora roku wojny dowiodły swej mądrości i dojrzałości, swego pragnienia, by zbudować wspólną przyszłość.

Uważnie obserwowałem dyskusję, która toczyła się w Polsce, co do przyszłości ukraińsko-polsko-litewskiego sojuszu, który powstał w trakcie rosyjskiej agresji.

Utworzyć jedno państwo? Federację? Konfederację? Czy zbudować potężny wojskowo-polityczny sojusz krajów Międzymorza – swoiste centralno-wschodnioeuropejskie NATO, które stanie się niezawodną barierą przeciw nowym zapędom rosji?

KRWAWY ZŁOCZYŃCA PUTIN, KTÓRY UWAŻA SIĘ ZA NOWEGO STALINA, JEDNAKOWO NIENAWIDZI UKRAIŃCÓW I POLAKÓW, I PRZYGOTOWUJE PROWOKACJE, BY ZŁAMAĆ LUB ROZCHWIAĆ NASZ SOJUSZ. W TYM CELU GOTÓW JEST SPUŚCIĆ Z ŁAŃCUCHA SWEGO SŁUGĘ ŁUKASZENKĘ.

▶ „Trzeba nazwać przyszłość już dzisiaj"

Jednym z godnych uwagi dokumentów dyskusji stał się dla mnie artykuł mojego dobrego przyjaciela Jana Pawlickiego, poety, filozofa, krytyka sztuki, badacza i propagatora twórczości swego dziadka – wybitnego artysty Adama Stalony-Dobrzańskiego.

eprasa.pl 4003efe9b0

Artykuł, wydany niedawno w cotygodniowym czasopiśmie „Gazeta Polska", ma tytuł „Rzeczpospolita, głupcze!" i nawołuje do określenia celu, który stawia przed nami historia.

I od razu ten cel formułuje: odbudowa Rzeczpospolitej Wielu Narodów. Autor uważa, że powrót do idei wielonarodowego i wielowyznaniowego państwa staje się jedynym wyjściem z dzisiejszej trudnej sytuacji.

„Wciśnięci pomiędzy dwoma krańcowo krwawymi i szalonymi narodami, powołującymi co rusz swoich Bismarcków, Hitlerów, Stalinów i Putinów, musimy wykorzystać ów moment i na oczach całego świata przywrócić istniejące niegdyś na tej szerokości geograficznej Stany Zjednoczone Europy" – pisze pan Pawlicki.

Uważa on, że niewielkie państwa, istniejące między tymi dwoma molochami, wcześniej czy później zostaną znów wchłonięte i zniewolone przez rosję i Niemcy.

Autor uważa, że w celu odbudowy Stanów Zjednoczony Europy znaczenie ma nie tylko katastroficzna sytuacja Moskwy, lecz także GŁĘBOKIE SPOŁECZNE ZMIANY w Polsce.

Dla mnie bardzo ważna jest myśl pana Jana o tym, że w czasie istnienia Polski Rzeczpospolitej Ludowej Polacy stali się w swej większości narodem robotniczo-chłopskim z wysoką świadomością narodową, który pozbył się wielkopańskiej pychy wobec swoich wschodnich sąsiadów. Z takim poglądem nie spotykałem się u innych polskich autorów.

„Ta bliskość chłopskich i robotniczych doświadczeń biedy i zagrożenia otwarła w polskim narodzie serca wobec tragedii ukraińskich matek i dzieci uciekających przed koszmarem wojny" – pisze autor.

Podkreślając męstwo oporu ukraińskiego przeciw rosyjskiej agresji, Jan Pawlicki zaznacza: „To, co było polskim koszmarem (wspominając tragedię Wołynia), staje się dziś fundamentem naszej bezpiecznej przyszłości".

„Polska szlachecka rozpoczęła szaleńczą wojnę wobec własnej, bitnej, kozackiej armii, a za taką głupotę płaci się krwią przez całe stulecia. Ale dziś Polska robotniczo-chłopska podaje swą pomocną dłoń potomkom tych samych bitnych kozaków, budząc ich równie wielowiekową wdzięczność i przyjaźń" – konstatuje Pawlicki.

Autor marzy o potężnym zjednoczonym państwie (Rzeczpospolitej, czyli republice), które pamięta swoją ponad 600-letnią historię, narodzoną na polach Grunwaldu, o rozmiarach niewiele mniejszych niż rozmiary UE, z granicami od Szczecina do Jałty, od Wilna do Odessy.

W wyobraźni pana Jana ta potężna nowa Rzeczpospolita – Międzymorze – Zjednoczone Stany Europy – to państwo wolnych, równych narodów, gdzie nie będzie ciemiężenia. To kraj niesamowitych bogactw naturalnych, cenny sojusznik USA w skali globalnej, partner Chin i krajów afrykańskich.

„Trzeba nazwać przyszłość już dzisiaj" – nawołuje autor – „trzeba już teraz tworzyć jej zręby i zacząć wypełniać ją treścią. Mamy krótki czas na decyzję i równie krótki na realizację tego dziejowego celu.

Dzisiaj – albo nigdy".

Czy zbudujemy Rzeczpospolitą naszych marzeń?

Można różnie odnosić się do poetycko-politycznych wizji pana Jana Pawlickiego, do jego iluzji i marzeń, ale nie można odmówić mu aktualności i słuszności poruszonych przez niego kwestii.

Wielką zbrodnią przed przyszłymi pokoleniami Ukraińców i Polaków będzie to, jak zmarnujemy szansę, podarowaną nam przez los – fakt prawdziwego pojednania dwóch narodów w godzinę śmiertelnego niebezpieczeństwa – wściekłego ataku moskiewskiego imperializmu na Ukrainę.

Jeżeli putinowi i jego agenturze w Ukrainie i Polsce uda się sprowokować nowe ukraińsko-polskie konflikty, rozjątrzyć stare historyczne rany, zagasić, zhańbić czysty wybuch uczuć narodowych lat 2022–2023 – to będzie najgorsza historyczna porażka Ukraińców i Polaków od czasów 1939 roku.

Tak więc budujmy Rzeczpospolitą naszych marzeń: zacznijmy nie od stworzenia jedynego państwa ze stolicą we Lwowie (!), które zburzy się natychmiast pod ciosami sprzeczek nacjonalistycznych i chorobliwych ambicji polityków, tak samo pewnych siebie i upartych, jak w 1648 roku, a od systematycznych kroków, jak to robili swego czasu de Gaulle i Adenauer w 1963 roku.

Przyłączenie Ukrainy do NATO i UE znacznie ułatwi tę integrację, otworzy granice, będzie sprzyjać wspólnemu biznesowi.

Tylko po połączeniu krajów Skandynawii, krajów bałtyckich, Centralnej i Wschodniej Europy w jedną polityczną, gospodarczą i wojskową przestrzeń, która włada bronią atomową, będziemy mogli zbudować niezawodną zaporę na drodze moskiewsko-azjatyckiej ekspansji.

I wtedy rzeczywistością stanie się Rzeczpospolita naszych marzeń. ■

Niektóre słowa – w zamierzeniu Autora – pisane są małą literą. Śródtytuły pochodzą od redakcji „NP".

eprasa.pl 4003efe9b0

Małgorzata Matuszak

Czym jest... intuicja

W kulturze zachodniej dominuje racjonalny tryb dochodzenia do wniosków, formułowania sądów oraz dowodzenia przekonań, jednak nie jest on jedyną formą poznania. Współczesna filozofia stara się rehabilitować inne jego formy, czasem upatrując w nich bardziej skutecznej metody dotarcia do prawdy niż samo myślenie racjonalne.

Podział rodzajów myślenia na teoretyczne i praktyczne ma wiele wspólnego z rzeczywistym procesem myślenia, który wprawdzie bazuje na racjonalnej argumentacji, ale nie sposób zaprzeczyć, że wszystkie większe odkrycia naukowe i artystyczne zawdzięczają swoje powstanie nie tylko rozumowi, lecz także głębszym pokładom naszego umysłu, które można nazwać myśleniem intuicyjnym. To dzięki intuicji odkrywczej właśnie w nauce i sztuce, na gruncie intuicyjnych przeświadczeń, dokonujemy nowych odkryć, tworzymy nowe hipotezy naukowe bądź przełamujemy aktualną konwencję artystyczną, inicjując nowe paradygmaty w sztuce.

Myślenie intuicyjne, można je nazwać intuicją życiową lub praktyczną, towarzyszy nam również często w życiu codziennym. Wielokrotnie zastępuje nam ono, ograniczoną przecież zawsze, wiedzę o przyszłości i naszej sytuacji w świecie oraz postępowaniu innych ludzi, których częstokroć rozumiemy właśnie intuicyjnie.

Nie do końca wiemy, w jaki sposób myślenie intuicyjne się odbywa. Prawdopodobnie polega ono na tym, że w nagłym przebłysku geniuszu dokonujemy na poły tylko świadomie wywołanego odkrycia i formułujemy na jego podstawie swoje przeświadczenia i sądy. Intuicja oznacza po łacinie wejrzenie („intuitio") i mówi to wiele o naturze intuicji. Nie jest ona bowiem myśleniem za pomocą pojęć, lecz bezpośrednim oglądem. Myślenia intuicyjnego nie da się dowieść, gdyż jest ono przeświadczeniem niepopartym dowodami, ale narzucającym się nam, jakby z zewnątrz, z taką siłą, że jesteśmy przekonani o jego słuszności. Bazuje ono na przesłankach, które wymykają się pojmowaniu, ale mimo że nie wiemy, jak dowieść naszego intuicyjnego przekonania, często towarzyszy mu większe poczucie pewności niż racjonalnemu dowodzeniu, które przeważnie można zakwestionować.

Intuicja z reguły przychodzi niespodziewanie i towarzyszy jej pewność, której nie rozumiemy i nie umiemy dowieść. I tak na przykład w dialogach platońskich Sokrates mówi często o daimonionie, który mu doradza i ostrzega przed złym postępowaniem. Można go nazwać intuicją moralną. Ma ona postać wskazówki, która powstaje w nas w sytuacji niejasnej i wątpliwej moralnie i zabrania postępowania w określony sposób. Choć nie do końca wiemy, skąd bierze się w nas przekonanie, że nie powinniśmy postępować w określony sposób, to jednak wiemy, że to, co intuicja nam podpowiada, jest właściwą odpowiedzią na pytanie, czego robić nie powinniśmy. Wiemy, że tkwi w nas Boski pierwiastek, który ostrzega przed złem.

Intuicyjne myślenie, choć nie wynika z rozumowego dowodzenia, często zdumiewa nas swoją skutecznością i poprawnością. Nie wiemy, skąd coś wiemy i dlaczego wiemy, a jednak wiemy. To nas uczy, że są w nas umiejętności poznania i wiedza, której nie zawsze jesteśmy świadomi i która przychodzi do nas jakby z zewnątrz, jak „anamneza" – jak platońskie przypomnienie ze świata, który zapomnieliśmy, ale on do nas wraca w najmniej oczekiwanych momentach.

Warto jednak za każdym razem konfrontować nasze intuicje z myśleniem racjonalnym, podejmowanie bowiem decyzji tylko pod wpływem intuicji, szczególnie tych sprzecznych ze zdrowym rozsądkiem, mogłoby być nawet niebezpieczne. Myślenie intuicyjne jest cennym dodatkiem do naszych umiejętności racjonalnego myślenia i postępowania, ale go nie zastąpi. I mimo że niewątpliwie bezpośrednie intuicyjne wglądy są ważne, powinny być one poparte myśleniem racjonalnym i dowodzeniem logicznym, abyśmy nie poddali się ślepo ich sile, ale brali je pod uwagę z ograniczonym zaufaniem. Nie mamy bowiem żadnej pewności, że nasze przeczucia są słuszne i że nie zbłądzimy w życiu, kierując się tylko własną intuicją. ■

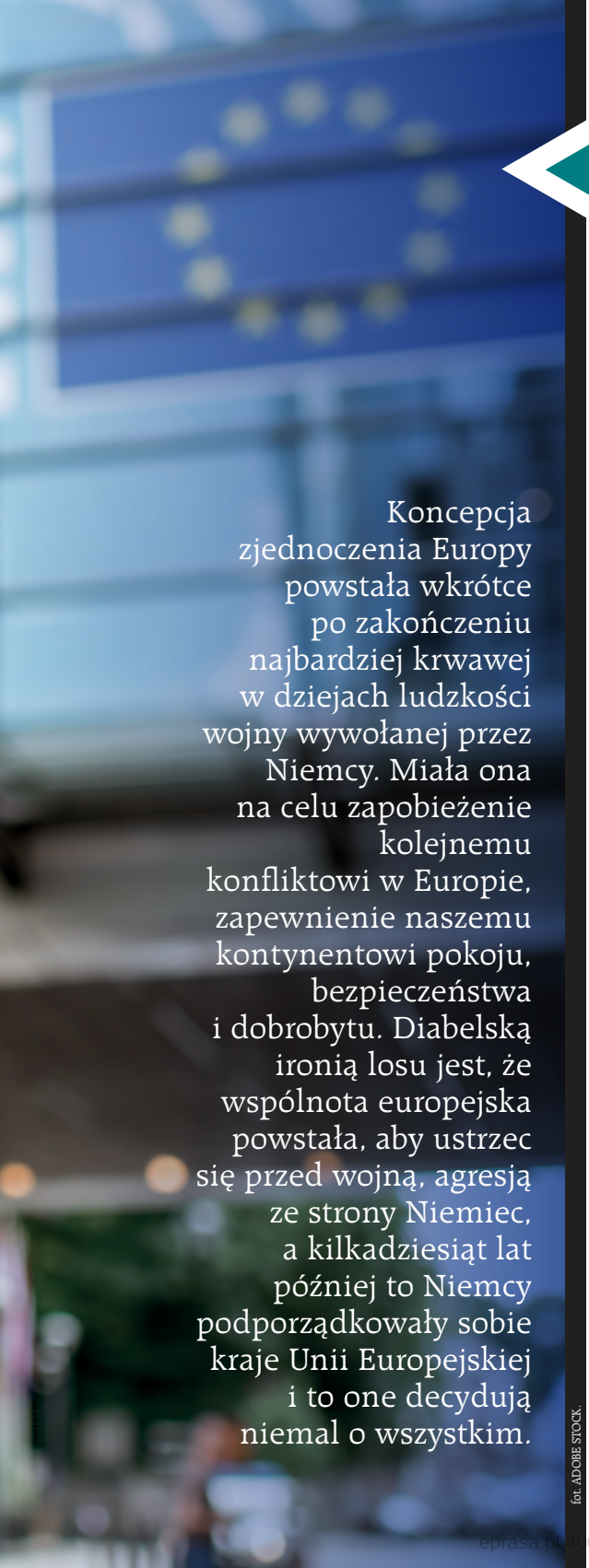
eprasa.pl 4003efe9b0

Dariusz Jarosiński



Unia Europejska wrogiem Europy

eprasa.pl/400afe9b0



Koncepcja zjednoczenia Europy powstała wkrótce po zakończeniu najbardziej krwawej w dziejach ludzkości wojny wywołanej przez Niemcy. Miała ona na celu zapobieżenie kolejnemu konfliktowi w Europie, zapewnienie naszemu kontynentowi pokoju, bezpieczeństwa i dobrobytu. Diabelską ironią losu jest, że wspólnota europejska powstała, aby ustrzec się przed wojną, agresją ze strony Niemiec, a kilkadziesiąt lat później to Niemcy podporządkowały sobie kraje Unii Europejskiej i to one decydują niemal o wszystkim.

fot. ADOBE STOCK

Wstąpienie do Unii Europejskiej, rozumianej jako „Europa Ojczyzn", było kiedyś marzeniem wielu Polaków. Polacy cenią Unię za wspólny rynek, swobodę przepływu usług, kapitału, jednak obecnie przynależność do tej organizacji staje się coraz większym problemem, a nawet zagrożeniem dla naszej suwerenności. Unia A.D. 2004 oraz UE A.D. 2023 to dwa różne byty.

Polityczne obłędy eurokratów

Niemieccy politycy z dużą determinacją, nie zważając na koszty i konsekwencje, budują superpaństwo europejskie wykorzystując do tego wspólnotę europejską. Na naszych oczach Unia staje się nową utopią marksistowską, totalitarnym tworem, ingerującym w każdą dziedzinę życia człowieka.

Możemy zapomnieć o wizji „Europy Ojczyzn" Roberta Schumana, francuskiego polityka, katolika. Powstające państwo europejskie jest projektem rewolucyjnym, realizującym projekty inżynierii społecznej i gospodarczej w celu bezpowrotnej przemiany oblicza Europy. Ojcem ideowym nowej Unii Europejskiej stał się komunista włoski Altiero Spinelli, postulujący likwidację państw narodowych i własności prywatnej, który w swoim „Manifeście na rzecz Europy wolnej i zjednoczonej" pisał, że „kwestia, która musi być rozwiązana jako pierwsza, bo bez niej wszelki postęp w innych dziedzinach będzie jedynie pozorny, to zniesienie podziału Europy na suwerenne państwa narodowe".

Kiedyś naśmiewaliśmy się z absurdów usankcjonowanych przez eurokratów, że marchewka to owoc, a ślimak jest rybą. To wszystko nic nie znaczy wobec obecnych niebezpiecznych pomysłów lewicowo-liberalnego kierownictwa Unii, które narzuca szantażem obłędną politykę klimatyczną, gospodarczą, migracyjną, finansową, obyczajową. Elity Unii forsują zieloną rewolucję mimo niebotycznych kosztów i iluzorycznych, niepotwierdzonych w sposób naukowy, pozytywnych efektów. W grudniu 2020 roku Unia Europejska przyjęła radykalny plan redukcji emisji dwutlenku węgla – Fit for 55. Chodzi w nim o to, że do 2030 roku mamy zredukować emisję CO_2 o 55 proc. Dwutlenkowi węgla przypisano niepotwierdzoną w sposób naukowy rolę „gazu cieplarnianego", mającego decydujący wpływ na ocieplenie klimatu. Z powodu szalonego planu Fit for 55 toczy się walka z przemysłem, rolnictwem, transportem, a także budownictwem.

Profesor Piotr Wolański, światowej sławy fizyk, astrofizyk, twierdzi, iż „kraje wysoko rozwinięte propagują tezę, że aktywność człowieka ma zasadniczy wpływ na zmiany klimatyczne, aby wymusić kupowanie ich ekologicznych technologii przez kraje rozwijające się. Jednym z takich działań jest wprowadzanie limi-

eprasa.pl/403efe9b0

tu emisji dwutlenku węgla do atmosfery. Trzeba zaznaczyć, że nawet zupełne zaprzestanie emisji CO_2 do atmosfery generowanego przez działalność człowieka nie wpłynie na zmiany klimatu na Ziemi!". Profesor Wolański uważa, że największy wpływ na zmianę klimatu ma aktywność słońca, czyli czynnik niezależny od człowieka. Niektóre pisma naukowe zachodnioeuropejskie nie przyjmują artykułów kwestionujących jakiekolwiek aspekty globalnego ocieplenia.

Przypisywanie dwutlenkowi węgla wpływu na klimat Ziemi jest wielkim oszustwem. W ciągu ostatnich lat doszło do wyłudzenia miliardów euro na zapobieżenie rzekomej katastrofie. Unia Europejska „powodowana troską o klimat" nakłada limity i opłaty emisyjne na gospodarki państw UE – są one najbardziej dotkliwe dla państw postkomunistycznych, które miały mniej czasu na unowocześnienie swojego przemysłu. W ocenie polskiego rządu i ekspertów, szacunkowy koszt polskiej transformacji energetycznej, zmierzającej do osiągnięcia tzw. neutralności klimatycznej, to 240 mld euro do 2030 roku, a w perspektywie roku 2050 – prawie 500 mld euro. Oznaczałoby to tak naprawdę bankructwo naszego państwa.

„Nowy impuls" Unii Europejskiej

Koncepcja zjednoczenia Europy powstała wkrótce po zakończeniu najbardziej krwawej w dziejach ludzkości wojny wywołanej przez Niemcy. Miała ona na celu zapobieżenie kolejnemu konfliktowi w Europie, zapewnienie naszemu kontynentowi pokoju, bezpieczeństwa i dobrobytu. Diabelską ironią losu jest, że wspólnota europejska powstała, aby ustrzec się przed wojną, agresją ze strony Niemiec, a kilkadziesiąt lat później to Niemcy podporządkowały sobie kraje Unii Europejskiej i to one decydują niemal o wszystkim.

W 1957 roku powołana została w Rzymie do życia Europejska Wspólnota Węgla i Stali. W jej struktury została włączona również Republika Federalna Niemiec. Ojcami założycielami ówczesnej Wspólnoty Europejskiej byli mężowie stanu, politycy konserwatywni, działacze chrześcijańskiej demokracji. W swoich założeniach organizacja ta miała opierać się na starym fundamencie chrześcijańskich wartości. Warto wspomnieć, że również flaga Unii Europejskiej powstała z inspiracji chrześcijańskiej. Na fladze przedstawiony jest okrąg złożony z dwunastu złotych gwiazd pięcioramiennych na lazurowym tle. Inspiracją dla autora koncepcji flagi, Arsène Heitza, był wizerunek Matki Boskiej, która według jednej z interpretacji jest przedstawiona w Apokalipsie św. Jana na lazurowym tle, a jej głowę okala 12 gwiazd – tyle, ile jest miesięcy w roku, godzin na tarczy zegara, znaków zodiaku. Zmierza ku końcowi proces beatyfikacyjny Roberta Schumana, jednego z założycieli, ojców ideowych Europejskiej Wspólnoty Węgla i Stali, zalążka Unii Europejskiej. Jak widać, zajmując się polityką, można też dojść do świętości.

Polska przystąpiła do Unii Europejskiej w roku 2004, kiedy to wszystkie państwa do niej należące miały takie same prawa i obowiązki. Jednak od wprowadzenia w życie traktatu lizbońskiego nastąpiły spore zmiany, m.in. zmienił się system głosowania, który sprawił, że państwami dominującymi stały się Niemcy i Francja. Traktat lizboński wszedł w życie w grudniu 2009 roku, nadał UE jednolitą strukturę i osobowość prawną. Wielka Brytania nie zgadzała się na niemiecko-francuski dyktat i 23 czerwca 2016 roku obywatele Wielkiej Brytanii opowiedzieli się w referendum za opuszczeniem Unii Europejskiej.

Wkrótce po ogłoszeniu wyniku referendum w Wielkiej Brytanii o brexicie, Niemcy przystąpiły do bardziej zdecydowanej walki o władzę w Europie. Pozbyły się z UE swego najbardziej groźnego przeciwnika, więc mogły teraz skuteczniej zacząć realizować swój plan opanowania Europy. 23 sierpnia 2016 roku Angela Merkel, ówczesna kanclerz Niemiec, oraz dwaj socjaliści – prezydent Francji Francois Hollande i premier Włoch Matteo Renzi, spotkali się na wyspie Ventotene na Morzu Tyrreńskim przy grobie Altiero Spinellego, włoskiego komunisty i współautora „Manifestu na rzecz Europy wolnej i zjednoczonej". To na tej wyspie powstał ów „Manifest". Przywódcy Niemiec, Francji i Włoch złożyli kwiaty w kolorach unijnych na grobie Spinellego. Kanclerz Niemiec oznajmiła wówczas, iż owa wizyta „wyraźnie pokazała, że wiemy, skąd wzięła się Unia Europejska". W ten sposób odrzucona została idea „Europy Ojczyzn", a ojcem ideowym Unii Europejskiej został marksista Spinelli. Jego „Manifest" stał się dokumentem nadającym „nowy impuls" Unii.

Nowy wspaniały świat europejski

Altiero Spinelli już jako siedemnastolatek wstąpił w 1924 roku do Włoskiej Partii Komunistycznej, z której został wyrzucony za odchylenia trockistowskie. Więziony przez faszystowskie władze Benito Mussoliniego za działalność opozycyjną, zgłębiał ideologię Karola Marksa. W 1941 roku w czasie internowania na wysepce Ventotene napisał wspólnie z dwoma innymi towarzyszami „Manifest na rzecz Europy wolnej i zjednoczonej", zwany powszechnie manifestem z Ventotene, w którym opisał przyszłą Europę jako utopijny twór bez granic i ze wspólną armią. Spinelli uważał, że państwa narodowe są największym zagrożeniem dla pokoju na świecie.

Oto kilka najważniejszych tez programowych z „Manifestu" włoskiego trockisty. Spróbujmy coś z tego bełkotu zrozumieć. Warunek sine qua non powodzenia projektowanej rewolucji europejskiej: „Kwestia, która musi być rozwiązana jako pierwsza, bo bez niej wszelki

eprasa.pl 4003efe9b0

postęp w innych dziedzinach będzie jedynie pozorny, to zniesienie podziału Europy na suwerenne państwa narodowe". „Aby odpowiedzieć na nasze potrzeby, europejska rewolucja musi być socjalistyczna [...]". Europejskie siły zbrojne miałyby bronić zdobyczy rewolucji, Spinelli nie ma wątpliwości, że jego rewolucja przebije dotychczasowe, zapewne chodzi o francuską i bolszewicką. Jeden totalitaryzm miałby zastąpić drugi – klasyczne leczenie dżumy cholerą: „Już teraz należy kłaść fundamenty ruchu będącego w stanie zmobilizować wszystkie siły do stworzenia nowego organizmu, który będzie największą kreacją, całkowicie nową w dziejach Europy; w celu ustanowienia stabilnego państwa federalnego z europejskimi siłami zbrojnymi zamiast armii narodowych; złamania autonomii ekonomicznej będącej szkieletem reżimów totalitarnych".

Eurokratom, liderom przyszłego państwa europejskiego, Spinelli stawia ambitne zadania, muszą to być zatem ludzie ideowi, gotowi „na wszystko": „Rewolucyjna partia nie może stanowić różnorodnego zbiorowiska ludzi o rozmaitych przekonaniach, którzy połączeni są tylko doraźnym, tymczasowym sprzeciwem wobec czegoś, którzy po osiągnięciu pożądanego celu gotowi są rozejść się każdy w swoją stronę. [...] Rewolucyjna partia ma świadomość, że dopiero wtedy rozpoczyna prawdziwą pracę. [...] Ale spośród stopniowo rosnącej grupy sympatyków do ruchu należy rekrutować tylko tych, którzy uznali i przyjęli europejską rewolucję za główny cel swojego życia. Dzień po dniu, z dyscypliną, działania powinny być prowadzone; dyskretnie zapewnione powinno im być stałe i efektywne bezpieczeństwo, nawet w sytuacjach najgroźniejszych konfliktów prawnych. Tak stworzy się solidna sieć pracowników, która nadaje spójność bardziej kruchej warstwie sympatyków".

Założycielami Grupy im. Altiero Spinellego w Parlamencie Europejskim w 2010 roku byli m.in. Daniel Cohn-Bendit, Joshka Fisher i Guy Verhofstadt – politycy, którzy „uznali i przyjęli europejską rewolucję za cel swego życia", doświadczeni rewolucjoniści z roku 1968. Z Polski w skład Grupy weszły wówczas trzy osoby: Danuta Hübner i Róża Gräfin von Thun und Hohenstein (deputowane z listy PO) oraz były dyplomata i ekspert ds. UE, Paweł Świeboda.

„Prawdziwa demokracja" zaistnieje zdaniem włoskiego komunisty dzięki dyktaturze partii rewolucyjnej. Już dzisiaj mamy przedsmak „nowego porządku": „Wizję i bezpieczeństwo tego, co musi być zrobione, ruch czerpie nie z wcześniejszego uświęcania, wciąż nieistniejącej woli ludu, ale ze świadomości reprezentowania najgłębszych potrzeb współczesnego społeczeństwa. W ten sposób formułuje wstępne przepisy nowego porządku. Na początek dyscyplinę w społeczeństwie adresowaną do nieuformowanych mas. Dzięki dyktaturze partii rewolucyjnej tworzy się nowe państwo, a wraz z nim nowa prawdziwa demokracja". Co będzie z własnością prywatną w „prawdziwej demokracji"? „Prywatna własność ma być likwidowana, ograniczana, korygowana albo rozszerzana w zależności od sytuacji, nie zaś dogmatycznie, dla zasady. Wskazówka ta jest naturalnym elementem kształtowania europejskiego życia gospodarczego, wolnego od koszmarów militaryzmu lub krajowej biurokracji".

1 marca 2017 roku Komisja Europejska przygotowała dokument pt. „Biała księga w sprawie przyszłości Europy", w którym przedstawiła plany dotyczące przyszłości Europy. W „Białej księdze" nie znajdziemy już nazwisk Roberta Schumana, Alcide de Gasperiego, Jeana Moneta i Konrada Adenauera, to nie oni, konserwatyści, chadecy, są ideowymi ojcami UE, a mało znany trockista Altiero Spinelli. Największy piętnastopiętrowy gmach Parlamentu Europejskiego nosi jego imię.

▶ Zjednoczona Europa pod przywództwem Berlina

W maju 2016 roku angielski polityk konserwatywny, Boris Johnson, w rozmowie z „The Telegraph" w ostrych słowach skrytykował działania Unii Europejskiej i porównał je do działań Adolfa Hitlera. Boris Johnson ocenił, że celem biurokratów z Unii Europejskiej jest stworzenie „potężnego superpaństwa" w Europie. Dodał, że podobny cel postawił sobie Adolf Hitler i chociaż realizował go innymi metodami, to efektem finalnym miało być zjednoczenie państw europejskich pod jedną władzą.

Zdaniem Johnsona, podczas próby integrowania Europy, Bruksela doprowadziła do wzrostu napięć i konfliktów między państwami członkowskimi oraz pozwoliła Niemcom przejąć kontrolę nad włoską gospodarką i zniszczyć grecką. W opinii angielskiego polityka poprzednie 2000 lat historii Europy przeplatały okresy, w których próbowano zjednoczyć Europę po upadku Imperium Rzymskiego. – Napoleon, Hitler i wielu innych próbowało, ale zawsze kończyło się to tragicznie – ostrzegał.

Boris Johnson miał całkowitą rację, przywołując nazwisko wodza III Rzeszy jako pomysłodawcę zjednoczonej Europy. Hitler chciał zjednoczyć Stary Kontynent na wzór Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej pod „socjalistycznym przywództwem narodu niemieckiego", stolicą nowej Europy miał stać się oczywiście Berlin. Joseph Goebbels w 1940 roku stwierdził: „Jestem przekonany, że za pięćdziesiąt lat ludzie nie będą już myśleć w kategoriach ojczyzn". W 1943 roku powstał dokument pt. „Podstawowe elementy planu dla nowej Europy", w którym znalazły się następujące postulaty: utworzenie wspólnoty celnej, zniesienie granic wewnętrznych, wprowadzenie

eprasa.pl 4003efe9b0

zasad równości społecznej i ujednoliconych warunków pracy, wspólna polityka ubezpieczeń socjalnych i zdrowotnych, wspólne planowanie gospodarcze, wspólna polityka rolna, utworzenie europejskiej unii walutowej zarządzanej przez centralny bank Rzeszy. Gdybyśmy nie znali źródła przytoczonych postulatów, to z całą pewnością byśmy wskazali na Unię Europejską, bo przecież tamte pomysły hitlerowców zostały twórczo zaadaptowane przez Komisję Europejską. Europejska rodzina miała składać się z narodów, które Niemcy uznawali za wartościowe rasowo.

W niemieckich planach Polska miała być pozbawiona realnego przemysłu i samodzielności, miała stanowić jedynie rezerwuar taniej niewolniczej siły roboczej. W 1943 roku Adolf Hitler zalegalizował po raz pierwszy na ziemiach polskich aborcję, a nieuleczalnie chorzy byli poddawani eutanazji. Postępowe idee narodowego socjalisty Adolfa Hitlera są obecnie realizowane: w czerwcu 2021 roku Parlament Europejski przyjął rezolucję, według której dostęp do aborcji jest prawem człowieka, zaś kraje Beneluksu zalegalizowały eutanazję.

▶ Upadek cywilizacji łacińskiej

Unia Europejska stała się największym wrogiem Europy i cywilizacji łacińskiej; cywilizacji, która opiera się trzech filarach: klasycznej filozofii greckiej, tradycji prawa rzymskiego oraz religii chrześcijańskiej. Europejczykami są dzisiaj nie ci, którzy bezkrytycznie popierają lewacką Unię, lecz ci, którzy bronią chrześcijańskich wartości. Tych pierwszych można nazywać unijczykami – podobnie jak sowietami nazywano funkcjonariuszy partyjnych Związku Sowieckiego.

Kierownictwo Unii całkowicie wykluczyło religijność ze świata polityki i z życia publicznego. Profesor Wojciech Roszkowski w eseju „Po co nam historia?" („Wszystko co najważniejsze" nr 55) zauważa, że „Po wyparciu Boga, a nawet prawa naturalnego w powstałej próżni pojawia się masa pogańskich idoli". „Ideologią »multikulturalizmu« i »walką z wykluczeniami« niszczy się tradycję religijną i narodową". Ernst-Wolfgang Böckenförde, niemiecki profesor prawa konstytucyjnego, stwierdził, że moralności społecznej nie da się zbudować na „neutralności światopoglądowej", gdyż „liberalne, zsekularyzowane państwo ma podstawę w czymś, czego samo nie może zagwarantować".

Profesor Leszek Kołakowski, którego trudno posądzać o nadgorliwość religijną, ale który zdawał sobie sprawę ze znaczenia religii w życiu społecznym, nie miał wątpliwości, że religijność jest częścią ludzkiej natury. W rozważaniach o źródłach prawa pisał: „Jeśli przyjmiemy, że wiara chrześcijańska się całkowicie ulotni, nawet jako nieokreślona wiara w prawo naturalne, będzie to wystarczający powód, by przepowiadać upadek cywilizacji łacińskiej". Już w 1965 roku w głośnym eseju „Jezus Chrystus – Prorok i Reformator", który był sensacją zarówno w marksistowskich, jak i katolickich środowiskach intelektualnych, Kołakowski jasno stwierdzał: „[...] osoba i nauki Jezusa Chrystusa nie mogą zostać usunięte z naszej kultury ani unieważnione, jeśli kultura ta ma istnieć i tworzyć się nadal". Innymi słowy, przed chrześcijaństwem nie da się uciec, jeśli chcemy zrozumieć samych siebie. Żadna inna doktryna w dziejach nie była tak fundamentalna dla budowy gmachu cywilizacji, w której wszyscy żyjemy. Celem unijnego systemu totalitarnego jest zniszczenie religii, rozmycie tożsamości kulturowej.

Tak zwane chrześcijańsko-demokratyczne partie polityczne funkcjonujące na zachodzie Europy, choćby w Niemczech CDU czy CSU, są już jedynie z nazwy chrześcijańskie. Ugrupowania sytuujące się formalnie po prawej stronie niewiele różnią się dziś od swoich konkurentów, w zamian za władzę wyrzekają się swojej tożsamości. Prawica dała się skolonizować lewicy.

Zdaniem profesora Roszkowskiego: „Innym ciosem w cywilizację zachodnią jest uznanie »postprawdy«, czyli sytuacji, w której sama kategoria prawdy stała się czymś nieistotnym, bezwartościowym, pozbawionym znaczenia w komunikacji między ludźmi, i to nie tylko w polityce. Zamiast prawdy uprawnione stają się osobiste przekonania i emocje, co rujnuje wymiar sprawiedliwości i obrót gospodarczy. Z zanikiem stosowania pojęcia prawdy wiąże się zanik pojęcia dobra i zła".

O upadku kultury zachodniej świadczy wywindowanie na szczyt ludzkich potrzeb seksu, traktowanego jako przyjemność bez zobowiązań. Joseph D. Unwin (1895–1936), antropolog, jeden z najwybitniejszych brytyjskich uczonych, profesor na Uniwersytetach Oxford oraz Cambridge, opublikował w 1934 roku w pracy „Regulacje seksualne a zachowania kulturowe" wyniki swoich kilkudziesięciu lat badań na temat płci i seksu na tle przemian społecznych zachodzących w rozwiniętych krajach kapitalistycznych. Profesor Unwin podjął próbę weryfikacji twierdzenia Sigmunda Freuda, że cywilizacja jest produktem ubocznym stłumionej seksualności. Po zbadaniu osiemdziesięciu społeczeństw, we wszystkich potwierdziła się reguła, że im większa była wstrzemięźliwość danego społeczeństwa, tym bardziej się ono rozwijało i poprawiał się standard jego życia. Gdy jednak zaczęło dochodzić do seksualnych dewiacji społecznych, społeczeństwa upadały. Badania prof. Unwina dowiodły też, że akceptacja homoseksualizmu jest ostatnim krokiem przed upadkiem danej cywilizacji. Warto dodać, iż prof. Unwin nie był wierzącym chrześcijaninem, lecz był rzetelnym, uczciwym badaczem, opisał fakty, nie dokonując moralnych osądów.

Kiedyś Józef Stalin nazywał wszystkich swoich wrogów politycznych faszystami, dzisiaj faszystami,

eprasa.pl 4003efe9b0

a w najlepszym razie populistami, są wszyscy mający inne zdanie niż eurokraci – konserwatyści, tradycjonaliści, katolicy, przeciwnicy małżeństw homoseksualnych, demoralizowania dzieci. Poprawność polityczna uniemożliwia spór i jakąkolwiek publiczną debatę.

▶ Patologia goni patologię

Brukselscy eurokraci próbują zmienić tradycyjne sposoby funkcjonowania naszego społeczeństwa, narzucić nam, pod groźbą rozmaitych kar, marksistowską ideologię. Chcą decydować o tym, jak ma wyglądać nasze sądownictwo, skąd mamy czerpać energię, jak mamy wychowywać dzieci, kto może w Polsce rządzić etc. Gotowi są użyć każdego pretekstu, aby uderzyć w nasz kraj, który nie chce się zrzec resztek suwerenności i tożsamości. Bruksela dąży do rozmontowania polskiego państwa. Zaakceptuje tylko taką Polskę, która odrzuci chrześcijaństwo, odetnie się od spuścizny własnej kultury narodowej, rozmyje swoją tożsamość narodową poprzez przyjęcie milionów imigrantów i pozostanie niekonkurencyjna wobec gospodarek Zachodu. O ile w zachodniej Europie wygrał już lewicowo-liberalny nihilizm, o tyle w takich krajach jak Polska, Węgry czy Słowacja ciągle dużo znaczą patriotyzm, rodzina, religia.

Polska stanowi obecnie największą przeszkodę w budowie europejskiego superpaństwa, dlatego nastąpiło uderzenie w legalizm naszego państwa. Według eurokratów, w Polsce nielegalny jest Trybunał Konstytucyjny, Sąd Najwyższy, a konstytucja RP jest podrzędnym prawem wobec prawa unijnego. Zdaniem prof. Ryszarda Legutki, europosła Prawa i Sprawiedliwości, w UE przestały obowiązywać jakiekolwiek zasady: „traktaty, prawo i zasady, na których powinno funkcjonować dobre państwo, już właściwie w UE nie obowiązują". „Prawo UE nie obejmuje sądownictwa, a jednak TSUE (Trybunał Sprawiedliwości UE) zawłaszczył sobie nową kompetencję. To kpiny z prawa". TSUE nie jest ciałem demokratycznym, działa na zasadzie kooptacji i mechanizmu uznaniowego. Sądownictwo UE jest dokładnie takie samo, jak mówił towarzysz Włodzimierz Lenin – ma służyć tępieniu wrogów rewolucji, a nie sprawiedliwości.

Według prof. Legutki, Parlament Europejski nie ma zbyt wiele wspólnego z demokracją. „Europarlament ma znikomą legitymację demokratyczną. Podstawowa zasada parlamentu głosi, że wybrani reprezentanci mogą być przez wyborców rozliczani, np. wycofaniem dla nich poparcia w kolejnych wyborach. W Parlamencie Europejskim takiej możliwości nie ma. O polskich sprawach decydują europosłowie z Niemiec, Portugalii, Hiszpanii i innych krajów, którzy przed polskim elektoratem nie ponoszą żadnej odpowiedzialności. Robią więc, co chcą, i dają upust swoim politycznym i ideologicznym namiętnościom. To kolejna patologia, którą obserwujemy w UE".

Niemcy mówią otwarcie, że przy pomocy swoich decyzji w UE chcą wpłynąć na zmianę rządu w Polsce. Są w tej sprawie sojusznikiem antypolskiej totalnej opozycji, która nie reprezentuje w UE interesów państwa polskiego, interesów Polaków. Niemiec Manfred Weber, szef grupy Europejskiej Partii Ludowej w Europarlamencie, do której należą Platforma Obywatelska i Polskie Stronnictwo Ludowe, powiedział w wywiadzie dla „Frankfurter Allgemeine Zeitung": „Budujemy zaporę ogniową przeciwko PiS. Jesteśmy jedyną siłą, która może zastąpić PiS w Polsce i poprowadzić kraj z powrotem do Europy". Jest to jeden z wielu przykładów niemieckiej buty.

Do kuriozalnej sytuacji doszło podczas głosowania antypolskiej rezolucji w Parlamencie Europejskim, dotyczącej rzekomego łamania praworządności nad Wisłą. Prócz totalnej opozycji, która nieustannie popiera wszelkie akcje unijnych instytucji wymierzone w rząd Zjednoczonej Prawicy, swój głos w tej sprawie oddali także Eva Kaili i Marc Tarabella. Jak wiadomo, Kaili i Tarabella są głównymi oskarżonymi w głośnej aferze korupcyjnej, tzw. Katargate, choć najwyraźniej nie przeszkadza to im z troską pochylać się nad stanem praworządności w Polsce.

Mimo kłód rzucanych pod nogi przez eurokratów i urodzonych w Polsce totalnych opozycjonistów, Polska w dalszym ciągu bardzo dobrze się rozwija. Niemcy patrzą na nasz kraj z zazdrością, bo przeżywają trudny czas. Skończył się okres gospodarczej prosperity opartej na tanich surowcach sprowadzanych z Rosji. Drugą siłą polityczną stała się antyunijna partia Alternatywa dla Niemiec (AfD). Na partyjnym zjeździe w Magdeburgu w sierpniu bieżącego roku w projekcie programu pojawił się następujący zapis: „Uważamy UE za niereformowalną i uznajemy za projekt, który zakończył się porażką. [...] Dlatego dążymy do utworzenia »związku narodów europejskich«, nowej europejskiej wspólnoty gospodarczej i interesów, w której gwarantowana jest suwerenność krajów członkowskich".

Portal „Politico" uważa, że nad Niemcami zbiera się burza, zbliża się katastrofa gospodarcza. „Trujący koktajl piramidy biurokracji, brak personelu, droga energia. Niemieckie społeczeństwo starzeje się. Zagraniczni inwestorzy uciekają". Dodać należy, że w fatalnej sytuacji znajduje się strefa euro, której ratowanie spoczywa na barkach polityków z Berlina. Niemcom wymyka się kontrola nad Europą Środkową, Niemcy stracili wpływ na kraje bałtyckie, które jeszcze do wybuchu wojny rosyjsko-ukraińskiej były bardzo posłuszne Berlinowi. Miejmy nadzieję, że za jakiś czas kraje Europy Środkowo-Wschodniej staną się drugim płucem Europy, o czym mówił papież święty Jan Paweł II.

W zbliżających się wyborach zdecydujemy nie tylko o przyszłości Polski, lecz także Europy. ■

eprasa.pl 4003efe9b0



Ewa Polak-Pałkiewicz



Najdziwniejszy na świecie kraj

„Uważaj, bo miejsce, na którym stoisz, jest ziemią świętą…" – tego rodzaju cytaty spotyka się często w literaturze. A jednak jest tylko jedno miejsce na naszej planecie, które nie tylko z nazwy jest Ziemią Świętą dla chrześcijan i do którego wyjazd nie jest zwykłym wypadem turystycznym. Prawie zawsze jest Pielgrzymką.

eprasa.pl 4003efe9b0

Ziemia, po której chodził kiedyś Chrystus, ma rudobrązowy kolor, jest delikatna i sypka. Taką odnajdujemy zamkniętą w maleńkich szklanych kapsułkach umieszczonych w setkach tysięcy wytwarzanych tu różańców. Samo dotknięcie czy ucałowanie jej dla chrześcijan jest przeżyciem nieporównywalnym z niczym.

Mówi się, że w dolinie Jordanu warstwa humusu ma inne cechy, jest ciemna, dość ciężka, zalega grubą powłoką i dlatego wszystko tu wzrasta, kwitnie i owocuje jak w najlepszej szklarni. Ale poza doliną Jordanu ziemia państwa Izrael – i Autonomii Palestyńskiej w jego obrębie – jest koloru piasku i nie różni się od równie piaskowych skał i kamienistych wzgórz.

Pośród setek przyrodniczo-geologicznych odkryć, jakich można tu dokonać, jest i to, że dwa wielkie zbiorniki wodne – Jezioro Galilejskie i Morze Martwe – leżą wzdłuż głębokiego rowu tektonicznego, zwanego syro-afrykańskim, który wyznacza największą depresję na kuli ziemskiej. Dlatego gdy jesteśmy na środku Jeziora Galilejskiego, prawie zawsze wieje tu silny wiatr i fale się podnoszą. Tak jak wtedy, gdy Piotr wzywał pomocy Chrystusa i wołał do Niego: „Toniemy!", a Chrystus nakazał mu iść do Siebie po falach.

Jadąc czy wędrując od masywu góry Hermon i Wzgórz Golan na południe, wzdłuż Jordanu, nieustannie schodzi się w dół. Aż do Jerycha, leżącego 270 metrów poniżej poziomu morza. Chrzest Pana Jezusa w Jordanie miał zatem miejsce w obszarze najniżej położonym na Ziemi. Stamtąd, zmierzając w kierunku Jerozolimy, Chrystus musiał wznieść się aż 3 tysiące metrów do świętego miasta. Droga Zbawiciela z Galilei do Jerozolimy w Judei była wspinaczką.

▶ Czy zawsze jest tak miło i przyjacielsko?

Przewodnik naszej pielgrzymki do Ziemi Świętej, młody ksiądz, doktor biblistyki, wędrował w tym roku w maju po tym szlaku. Pieszo, z namiotem, w kilkuosobowej grupie przyjaciół, z Jerycha w kierunku źródeł Jordanu i Góry Hermon, granicznego masywu, za którym rozciąga się już Syria. Szli mało uczęszczanymi szlakami. Gdy gdzieś pod koniec trasy nasz przewodnik odprawiał mszę polową na jednym ze skalnych grzbietów, w czytaniach biblijnych znalazł się fragment, w którym Bóg obiecuje Mojżeszowi i jego ludowi mięso na pustyni – i wypełnia tę obietnicę; wieczorem tego dnia przyleciały bowiem przepiórki i „pokryły obóz" Izraelitów. Tego akurat popołudnia wędrowcom skończyła się woda i jedzenie, a mieli przed sobą jeszcze dzień drogi po pustkowiu – i to wieczorem w piątek, gdy zaczynał się szabat. Tu, w Galilei, gdzie dominuje ludność żydowska, wszystko było rzecz jasna pozamykane. Szli jednak dalej. Z jakiegoś wzgórza dostrzegli w dolinie pustą o tej porze szosę, a na jej poboczu samochód. Gdy zeszli, spotkali przy nim kobietę, przyjechała tu z Jerozolimy. Zapytali o wodę. Wyciągnęła z bagażnika całą zgrzewkę wody mineralnej i ofiarowała im, pytając, czy nie są głodni. Byli. Do ich plecaków powędrowały luksusowe wiktuały w szczelnych opakowaniach, w tym... pieczone przepiórki! Okazało się, że jej rodzina pochodzi z Polski, że mają wspólnych znajomych. Pusta szosa o zachodzie słońca u stóp masywu Hermonu, skąd biją źródła Jordanu, okazała się miejscem spotkania, jakie może mieć miejsce tylko między Polakami i Żydami.

Czy zawsze jest tak miło i przyjacielsko? Wszyscy, którzy znają Izrael, podkreślają, że w tym niewielkim kraju emocje związane zarówno z religią, jak i z posiadaniem ziemi sięgają zenitu. Dla Żydów własność nienależąca do nich w obrębie ich państwa, wynikająca na przykład z eksterytorialności miejsc świętych dla chrześcijan, jest nieustannym wyzwaniem i celem różnorodnych zabiegów, które mają na celu odzyskanie tych miejsc. Jak to wygląda w praktyce? Oto obserwowane jest nie tylko zachowanie, lecz także wygląd katolickich pielgrzymów. Dyskretnie robione są zdjęcia. W porze upałów, w najsłynniejszych bazylikach i ich otoczeniu bez trudu można zobaczyć ludzi rozneglizowanych do granic możliwości. Potem te fotografie z triumfem przedkładane są administratorom sakralnych obiektów. „To nie są wcale dla was miejsca święte!" – słyszą przedstawiciele Kościoła. Pod tym hasłem ukrywa się niedwuznacznie chęć zmiany statusu tych najważniejszych dla chrześcijan miejsc. Trudno jest bronić się wobec wymowy tych zdjęć. Tym bardziej, że w Izraelu zarówno religijni Żydzi, jak muzułmanie przestrzegają tego, co nazywa się godnym strojem, bez względu na okoliczności. W ich miejscach świętych (w przypadku Żydów przy Ścianie Płaczu) ten strój bez przesady można nazwać najbardziej uroczystym z możliwych; Żydzi zbliżając się do tego miejsca – osobno mężczyźni i kobiety – nie idą, a kroczą. Wygląd zaś niektórych grup z Europy musi budzić konsternację.

▶ W krainie drogocennych olejków i uzdrawiających ziół

A jednocześnie w tym kraju paradoksów wyczuwa się życzliwe nastawienie do pielgrzymów ze strony zwykłych jego mieszkańców, Żydów i Arabów. Wśród Palestyńczyków jest znaczna grupa chrześcijan. Rzecz jasna, w dużym stopniu żyją oni z turystów. Ale gościnność, otwartość, uczynność

FOT. ATEF SAFADI / PAP/EPA/ATEF SAFADI

eprasa.pl 4003efe9b0

odczuwa się tu na każdym kroku i zdają się one być tu cechami obydwu nacji (pomijając ekstremistów politycznych).

Przy jednej z mniej uczęszczanych ulic Jerozolimy, którą wspinaliśmy się na Wzgórze Świątynne w upalne południe, napotkaliśmy rodzaj wodopoju dla przechodniów. Z kranu w murze posesji, przy którym kołysał się wesoło gościnny gliniany kubek, płynęła krystaliczna, cudownie orzeźwiająca woda. Tabliczka umieszczona na murze informowała, że ten oto wspaniały zdrój został zainstalowany przez mieszkańca tej ulicy (tu padało żydowskie imię i nazwisko) dla upamiętnienia jego ojca (przytoczono jego imię), który miał tu zwyczaj bezinteresownie użyczać swojej bardzo dobrej („koszernej") wody (której źródło musiało znajdować się w jego ogrodzie), każdemu, kto tylko jej potrzebował.

Także izraelscy muzułmanie nie mają w oczach tej buty, jaką niekiedy spotyka się w innych krajach Bliskiego Wschodu. Mieliśmy wrażenie, że traktują nas wyjątkowo kurtuazyjnie; starają się w ceremonialnych gestach, pozdrowieniach, ale także w zwykłej uprzejmości i uczynności podkreślić swoje przyjazne nastawienie. Posługują się mieszaniną angielskiego, arabskiego i polskiego, ale do wszystkich kobiet z naszej pielgrzymki zwracali się: „Madame".

W hotelu w Betlejem, muzułmańska pokojówka Raja zasłynęła wśród nas artystycznym kunsztem, z jakim składała nasze rzeczy porozrzucane zwykle w pośpiechu przed porannym wyjściem na całodniową wyprawę. Trudno byłoby naśladować te zgrabne rulony ubrań i ręczników, które zastawaliśmy w pokojach, gdy wracaliśmy późnym wieczorem, misterne konstrukcje podręcznych drobiazgów poustawiane w najodpowiedniejszych miejscach. Różańce zostawione na blatach nocnych stolików, ułożone były zawsze w kształcie serca. Cała złość na osobę, która „bezceremonialnie grzebała w naszych rzeczach", zamiast zająć się tylko podłogą i łazienką, jak to określił ktoś z pretensją, pierzchała wobec dowodów tej niespotykanej inwencji drobnej kobiety w szarym hidżabie na głowie.

▶ Stojąc na Górze Oliwnej

„Po latach ksiądz Wiggnet (bardzo zdolny człowiek z dawnej grupy anglokatolików), powiedział mi, kiedy staliśmy na Górze Oliwnej, patrząc na Getsemani i Pole Garncarza: »W każdym razie dla każdego powinno być oczywiste, że nauka o upadku pierwszych ludzi jest jedynym optymistycznym poglądem na nasze życie«" – wspomina G.K. Chesterton w „Autobiografii". „Faktycznie, jest to dla mnie oczywiste, ale wtedy pomyślałem, że dla wielkiej części dawnego świata sceptycznych sekt i klik, do których kiedyś sam należałem, byłby to paradoks bardziej niezrozumiały niż paradoksy Oskara Wilde`a i Bernarda Shawa".

W Ziemi Świętej tę paradoksalność naszego ziemskiego życia – oraz własną niestałość, słabość, znikomość, a wręcz małość, a zarazem dobroć i szlachetność spotykanych obok ludzi – mocniej się odczuwa. Może przyczynia się do tego także to nieprawdopodobne zagęszczenie ludzkich siedzib w miastach i wioskach – które przypominają z daleka gniazda os przyczepione do rozgrzanych skał. I skrajne utrudzenie, znużenie ciężarami życia, które widzi się – lub niejako przez skórę się wyczuwa – u tak wielu ludzi, ale którego starają się w żaden sposób nie manifestować, zachowując się z wielką godnością.

Ojciec właściciela jednego z hoteli, w którym zamieszkaliśmy, jest starszym panem po poważnych operacjach. Siedzi na wózku inwalidzkim, starannie ogolony, w szerokiej pasiastej piżamie, wykrochmalonej i odprasowanej, przypominającej kombinezon, uszytej specjalnie, by zamaskować brak kończyn. Widujemy go często przed głównym wejściem do hotelu, gdzie może popatrzeć na ruchliwą ulicę, albo w obszernym holu, gdzie także przewija się mnóstwo ludzi. Wygłasza głośno długie monologi albo rozmawia z cierpliwie czuwającym przy nim i wsłuchującym się w każde jego słowo synem. W społeczności arabskiej jest nie do pomyślenia, by głowa rodu na stare lata, nawet przy niedołęstwie i niesprawności, pozostawała gdzieś w izolacji i ukryciu.

Nasz przewodnik ksiądz jest dobrze znany w tutejszej grupie arabskich chrześcijan. Handlarze dewocjonaliami, pamiątkami, owocami i wyrobami ze skóry wielbłądziej ze straganów na uliczkach Nazaretu i Betlejem pozdrawiają go, wykrzykując głośno po polsku. Stara się nam pokazać miejsca, gdzie handel prowadzą chrześcijanie. Zna też wszystkich chyba ludzi upośledzonych, którzy trudnią się drobną uliczną sprzedażą przy wejściach do największych obiektów sakralnych i zabytków („O, ten niewidomy stoi w tym miejscu od piętnastu lat..."). Dyskretnie daje znać, że jeśli chcemy coś kupować, to u nich.

Nasz arabski kierowca, mieszkaniec Góry Oliwnej, która jest dość luksusową dzielnicą Jerozolimy, ma wszystkie cechy watażki. Jak wszyscy arabscy kierowcy jest typem rajdowca i przejazd wąskimi stromymi serpentynami podmiejskiej szosy w godzinach szczytu zajmuje mu tyle samo czasu, co mknięcie autostradą. Wszelka asceza jest mu obca i nawet w czasie pracy sprawia sobie co chwila drobne przyjemności. Toteż zwykle spóźnia się i musimy czekać na niego na parkingach. Zjawia się lekko zziajany, ale uśmiechnięty, odprężony, z lodem na patyku, kawą w kubku czy innym hot-dogiem. Gadatliwy, rozpolitykowany,

eprasa.pl 4003efe9b0

nie ma żadnych oporów, by poprosić izraelską strażniczkę z posterunku granicznego – prawie zawsze jest to młodociana piękność z grubym warkoczem przerzuconym przez ramię, w mundurze, ciężkich butach wojskowych i z karabinem na piersiach – o coca-colę, bo mu się akurat skończyła. Choć między Izraelem a Autonomią Palestyńską wznosi się groźny, potężny, kilkusetkilometrowy mur, izraelskie strażniczki, tak samo jak arabskie, lubią go i potrafią mu dogadzać. Jego pozycja w środowisku zawodowym pozwala mu dysponować kilkoma autokarami naraz, żongluje nimi tak sprawnie, że jedziemy różnymi autobuami w ciągu dnia. Zakazuje nam jedzenia podczas drogi, żeby jakieś resztki nie zanieczyściły wozu. Nie zwraca przy tym uwagi na takie głupstwa jak to, że autokar, który odstąpił akurat po drodze koledze, zawierał nasze rzeczy. Wieczorem podjeżdża jednak lojalnie „starym" autokarem; rzeczy są na miejscu. Nasz przewodnik prosi niekiedy dyskretnie, gdy stosunki z kierowcą stają się napięte, byśmy się pomodlili, bo „znów ma z nim pod górkę". Czynimy to i konstatujemy wkrótce, że wraca dobra atmosfera.

Ten typ człowieka beztroskiego i towarzyskiego dobrze sobie radzi w podminowanej atmosferze przy granicy Autonomii Palestyńskiej, ale jest dość wyjątkowy wśród tutejszych Arabów. Spośród do niedawna jeszcze stuprocentowo chrześcijańskiej społeczności Betlejem, około 50-tysięcznej, dziś już tylko połowa to chrześcijanie. Warunki życia dla Palestyńczyków, w tym arabskich chrześcijan, są z roku na rok coraz bardziej uciążliwe, emigrują więc masowo.

Kim byli „pastuszkowie"?

Gdy widzi się na własne oczy, że miejscem urodzenia Chrystusa była skalna grota, a właściwie ciąg grot pod Betlejem, niskich, ciasnych, trudno dostępnych, musi pojawić się także pytanie, kim byli owi „pastuszkowie", którzy przybyli jako pierwsi oddać hołdu Bogu-Człowiekowi. Sami przecież mieszkający w podobnych warunkach na co dzień. Ich „szałasy" to właśnie te groty. Byli ludźmi wyjętymi spod Prawa. Ponieważ trudnili się zajęciem, jakie uniemożliwiało im wypełnienie przepisów religijnych, znajdowali się w zasadzie poza społecznością państwa religijnego. Można ich było skazać bez sądu, zabić. Brudni, zarośnięci, łączyli się w grupy przypominające bandy kryminalistów, by w razie zagrożenia móc się bronić. I takim właśnie „pastuszkom", których wyidealizowany obraz pojawia się w naszych kolędach, objawił się Bóg jako pierwszym.

Dotknięcie zimnego kamienia w Grocie Narodzenia, w Bazylice Narodzenia w Betlejem, gdzie według tradycji Maryja ułożyła nowo narodzonego Jezusa – dziś jest to centrum tego miasta – uzmysławia zamysł Stwórcy, który wykracza poza wszelką ludzką wyobraźnię.

„W rzeczywistości", pisał Chesterton o gwałtownych dyskusjach i starciach ideowych końca XIX i początku XX wieku, w których sam uczestniczył, „spory te sprowadzają się do religii, jak zresztą – w co wierzę – wszystkie spory. Na początku sam nie wiedziałem, jaka nas dzieli religijna różnica ani tym bardziej, jaka religia. Różnica jest taka, że shawianie [chodzi o zwolenników idei Bernarda Shawa, ateisty, ewolucjonisty, wyznawcy eugeniki i miłośnika Stalina – przyp. E.P.P.] wierzą w ewolucję, tak jak dawni imperialiści wierzyli w ekspansję. Wierzą w coś wielkiego, rosnącego i rozszerzającego się jak drzewo. Ja natomiast wierzę w kwiat i owoc, a kwiat jest często bardzo mały. Owoc jest ostateczny i w tym sensie ograniczony; posiada formę, a więc i granice. Został w nim odciśnięty obraz, który jest ukoronowaniem i spełnieniem celu; średniowieczni mistycy używali metafory *fruitio*[1]. W odniesieniu do człowieka oznacza to, że stał się on świętszy niż jakikolwiek nadczłowiek czy nadmałpa i że to właśnie jego ograniczenia zostały uświęcone, gdyż kiedyś w ukrytej w skałach grocie Bóg stał się bardzo mały".

Golgota, miejsce śmierci Zbawiciela było wówczas jerozolimskim wysypiskiem śmieci. Krzyż Chrystusa został wbity w otwór wykuty w białej skale. W Bazylice Grobu Pańskiego w Jerozolimie, która stoi na tym właśnie miejscu, można zobaczyć pękniętą skałę znajdującą się bezpośrednio pod krzyżem Pana Jezusa. W momencie śmierci Chrystusa, gdy ziemia się zatrzęsła, ci, którzy zostali pod krzyżem, ujrzeli w tej skale ludzką czaszkę. Przedstawiana jest ona na wielu wizerunkach Ukrzyżowania i na wielu krucyfiksach. Tradycja mówi, że to czaszka pierwszego człowieka, Adama. Pierwszego także w ludzkich dziejach, który wyszedł ze Zmartwychwstałym z Otchłani.

Polak–Żyd – kapłan katolicki

„»Wiem bowiem, że Odkupiciel mój żyje, a w Dzień Ostateczny powstanę z ziemi« /Księga

[1] Łacińskie słowo *fruitio* (spokrewnione z *fruges* – „owoce ziemi") oznacza „używanie, korzystanie rozkoszowanie się". Takie również znaczenie miało w średniowieczu użyte tu przez Chestertona angielskie słowo fruition, które w XIX wieku, wskutek skojarzenia z angielskim słowem fruit (owoc), zaczęło oznaczać „urzeczywistnienie, ziszczenie się, realizację" [przypis tłumacza książki Chestertona, Macieja Redy].

eprasa.pl 4003efe9b0

Joba 19.25/. Błogosławionej pamięci najdroższych Rodziców Mariem i Mendla Griner, Sióstr Szandli i Sury oraz wszystkich Żydów zamordowanych na tym cmentarzu w listopadzie 1942 roku przez hitlerowskich gwałcicieli Przykazań Bożych pomnik ten poświęcają wdzięczni Bogu za ocalenie. ks. Grzegorz Pawłowski (Jakub Hersz Griner) – Polska, Chaim Griner – Izrael". To treść inskrypcji na pomniku na cmentarzu żydowskim w Izbicy.

Ostatniego dnia pielgrzymki jesteśmy w Jaffie, niegdyś starym portowym mieście, dziś dzielnicy Tel Awiwu. Szukamy domu Szymona grabarza, w którym zatrzymał się św. Piotr i skąd otrzymał wezwanie, by ruszać na cały świat i szerzyć chrześcijaństwo... Jest! Mały, niziutki, wciśnięty w nadbrzeżne zaułki, zamieszkały dziś przez rodzinę ormiańską.

Na bulwarze otoczonym palmami, skąd widać morze, stajemy przed pastelową fasadą neobarokowego kościoła z końca XIX wieku. To kościół pod wezwaniem św. Piotra. Tutaj, począwszy od roku 1970, odprawiane były msze w języku polskim – ale także hebrajskim. Tutaj w niedzielę i święta ściągali Polacy z całego Izraela, a w tamtych czasach byli to głównie emigranci zarobkowi, ale i mężczyźni, i kobiety z małżeństw polsko-żydowskich, którzy chcieli zachować wiarę. To tutaj pierwsze swoje kroki kierowali pielgrzymi z Polski, z Peerelu, którzy wtedy przyjeżdżali do Ziemi Świętej autobusami marki Jelcz – przez Bałkany, Turcję, z kiełbasą i bigosem w słoikach, bez pieniędzy, bez rezerwacji noclegów. Jechali, jak stali. W Jaffie, nad Morzem Śródziemnym, wyciągał do nich rękę kapłan katolicki i Żyd w jednej osobie, duszpasterz Polonii ks. Grzegorz Pawłowski.

„Pochodzę z bardzo religijnej rodziny żydowskiej. Miałem bardzo porządnych rodziców, nazywali się Mariem i Mendel Griner. Miałem brata, który się nazywał Chaim, on był najstarszy, potem były dwie siostry, Szajndla i Sura. Ja byłem najmłodszy. Z dzieciństwa wiele nie pamiętam..." – opowiadał pod koniec życia w relacji spisanej przez historyków, by utrwalić jego ocalenie i życie.

Mieszkał w Jaffie w maleńkim mieszkanku w bloku, przed obrazem Pana Jezusa zawsze paliła się tam czerwona lampka. „W swoim mieszkaniu na okrągło przyjmował Polaków, którzy przyjeżdżali do Izraela, nie mieli pracy ani miejsca, gdzie mogliby się zatrzymać. Był przyjacielem wszystkich ludzi, połączył dwie ojczyzny i dwie wiary" – mówią księża z jego dawnej diecezji, lubelskiej.

Dawał przeżyć rodakom. Karmił, załatwiał nocleg, często finansował dalszą podróż do miejsc świętych, leczył co bardziej poturbowanych warunkami podróży. W Jaffie i w okolicach miał zaprzyjaźnione rodziny, które ich przyjmowały. Był pogodny, twardy w pokonywaniu przeszkód i niezawodny w wyciąganiu ludzi z najróżniejszych tarapatów. Słynna jest historia młodego rolnika, który przyjechał do Izraela zarobić na traktor i w Tel Awiwie, gdzie atmosfera była bardzo swojska i zabawowa, popadł w pijaństwo. Ksiądz ściągnął do Jaffy jego matkę, wspólnie wyciągnęli nieszczęśnika z nałogu, odesłali do kraju. Matka została tu jeszcze na pół roku i dzięki znajomościom ks. Grzegorza zarobiła nie tylko na traktor, lecz także na snopowiązałkę i kombajn.

▶ Chodząc po falach

Był uratowanym z getta w Zamościu żydowskim dzieckiem. Ojca zabili Niemcy jeszcze w Zamościu, matka wraz z dwiema córkami zginęła w czasie likwidacji getta w Izbicy. On sam, jako jedenastoletni chłopiec, zdołał wtedy uciec i przeżył wojnę dzięki opiece gospodarzy z okolicznych wiosek, pracując jako pastuch krów. Jego starszy brat Chaim ocalał, zabierając się z Zamościa z sowieckim wojskiem. Jakub trafiał nieustannie na dobrych ludzi. Gdy błąkał się po przedmieściach Zamościa, już po wymordowaniu Żydów przez Niemców, zaczepił go jakiś chłopak i zapytał, czy chce metrykę chrztu. „A skąd masz?" – zapytał odruchowo. „Co cię to obchodzi!". „Tak, chcę!". Dzięki niej ocalał. Jeszcze pod koniec wojny znalazł się w domu dziecka prowadzonym przez siostry w Tomaszowie Lubelskim, poszedł do szkoły. Kiedy zbliżał się czas Pierwszej Komunii Świętej, wyznał księdzu katechecie z płaczem, że nie jest ochrzczony i poprosił o chrzest. Nawet siostry nie domyślały się, że jest osieroconym dzieckiem żydowskim. Przyjął na chrzcie imię Grzegorz. W dniu, w którym przyjął pierwszy raz Komunię świętą, wiedział już, że zostanie księdzem.

To pragnienie, wraz z ciężkim poczuciem winy wobec najbliższych, których porzucił przed ich śmiercią, towarzyszyło mu przez całą młodość. „Jeśli nam się wydaje, że sprawę możemy odłożyć i przenieść na dalszy plan, a teraz mamy do zrobienia rzeczy ważniejsze niż Bóg – głęboko się mylimy i niszczymy właśnie to, co uznaliśmy za mniejsze od Boga. [...] To Jego obecność bądź nieobecność jest absolutnie decydująca dla wszystkiego w życiu" (ks. J. Szymik).

Był jedynym uczniem w szkole w Lublinie, który publicznie przeciwstawił się „najeżdżaniu na papieża Piusa XII", jak to sam określił, na szkolnych wiecach. Za aktywny sprzeciw wobec propagandy

eprasa.pl 4003efe9b0

komunistycznej został usunięty ze szkoły. Ale w kuratorium, podczas awantury, która wtedy wybuchła, znalazła się jakimś cudem siostra Klara Staszczak, benedyktynka misjonarka, przełożona klasztoru w Puławach. W czasie wojny opiekunka sierot na Podolu i konspiratorka, łączniczka w 27. Dywizji Wołyńskiej AK. Bez wahania zdecydowała się zabrać chłopca do domu dla sierot, który prowadziła z siostrami. Zaczął chodzić do liceum im. księcia Adama Czartoryskiego w Puławach. Wspominał, że ta niezwykła zakonnica, prawy i odważny człowiek, stała się dla niego matką. „Zostałem otoczony taką miłością i troską, jakiej nigdy nie doświadczyłem. [...] choć moja rodzona mama nie żyje, Pan Bóg dał mi nową w postaci siostry Klary". Gdy zwierzył się siostrze, że chciałby wstąpić do seminarium, pomogła mu we wszystkim. „Trzeba było mieć specjalną wyprawkę, a ja, chłopak z domu dziecka, nie miałem nic. Siostry wszystko mi przygotowały. Do nich wracałem na wakacje i święta, ich dom stał się moim domem rodzinnym. To one przygotowały mi prymicje, kiedy zostałem księdzem i nieustannie się za mnie modliły. Im zawdzięczam to, kim dziś jestem" – mówił po latach.

Wyznał rektorowi seminarium, że jest Żydem. „Linia Kościoła [jest taka], że każdy może być księdzem, ale wicerektor Józef Drzazga, który został potem biskupem, bał się, że się dowiedzą, że jestem Żydem i będę miał trudności na parafii. Brał mnie na rozmowy. Ja z kolei miałem swoją ambicję narodową i powiedziałem: »Wcale się nie wstydzę, że jestem Żydem. Ani ojca się nie wstydzę, ani matki, ani narodu. O co tu chodzi właściwie?«" – wspominał w relacji o swoim ocaleniu i życiu.

A jednak trudności nie było lub okazały się do pokonania. Ksiądz Grzegorz rozpoczął dwunastoletnią posługę w kilku kolejnych parafiach diecezji lubelskiej. Podjął studia biblijne. Jednak fakt, że opuścił matkę i siostry przed ich śmiercią, nie dawał mu spokoju. Nie potrafił przekreślić swojej żydowskiej przeszłości. W 1966 roku napisał o swojej historii i wysłał tekst do „Tygodnika Powszechnego". Wtedy nieoczekiwanie odnalazł go brat Chaim, który mieszkał w Haifie. Wyjeżdżając do Izraela na spotkanie z bratem, uzyskał zgodę władz kościelnych na odprawianie Mszy świętej u św. Piotra w Jaffie. Od tego czasu stał się człowiekiem-instytucją dla polskich katolików w Izraelu.

Napisał tu po hebrajsku podręcznik do religii „Poznaj Mesjasza", zaaprobowany przez władze kościelne. Uczył dzieci z małżeństw mieszanych. Chłopiec, którego uczył religii w domu (matka była Żydówką uratowaną w czasie wojny, ojciec Polakiem) i przygotował do Pierwszej Komunii, wyjechał potem z rodzicami do Ameryki i tam został księdzem.

Brat i dalsza rodzina, ortodoksyjni żydzi, nie potrafili się jednak pogodzić z tym, że został księdzem. Relacje rodzinne zostały zerwane. Choć wybór ks. Grzegorza był dla jedynego żyjącego członka jego rodziny tragedią, on sam nabrał do sprawy dystansu. Gdy ktoś z krewnych pytał z wyrzutem, „dlaczego im to zrobił?", odpowiadał: „A co, miałem się ożenić z gojką?".

Nasz przewodnik, który w Jaffie opowiedział nam jego historię, miał szczęście poznać księdza Grzegorza, który zmarł w wieku dziewięćdziesięciu lat, w 2021 roku. Był na jego pogrzebie. Mszę pogrzebową w katedrze odprawiał biskup lubelski. Ciało księdza, na jego prośbę, dzięki życzliwości zaprzyjaźnionego rabina, spoczywa na cmentarzu żydowskim w Izbicy. Na płycie grobowej ksiądz Grzegorz kazał wyryć słowa: „Opuściłem najbliższych w czasie zagłady, ratując swoje życie, oddałem je Bogu i ludziom – i powróciłem na miejsce ich męczeńskiej śmierci".

W jednym ze wspomnień o nim dziennikarz, który odwiedził go w Jaffie w latach 90. pisał: „Ujmuje nas swoją prostotą i dobrocią. Z jego kazania w kościele św. Piotra zapamiętałem zdania: »Pierwszym papieżem był Żyd, obecnym Papieżem jest Polak... Zmuszono mnie, bym się zrzekł polskiego obywatelstwa... Wcale nie jest tak, że Polacy mnie odrzucili – to Bóg tak chciał... Żydzi wiele Polsce zawdzięczają – dwie są ojczyzny, ale wspólny los...«". Na zakończenie mszy odprawionej w intencji dziennikarza i jego rodziny ksiądz Grzegorz zaintonował „Boże, coś Polskę".

Być może był tym człowiekiem, który nie uląkł się, gdy Chrystus, którego wybrał jako osierocone dziecko, nakazał mu do Siebie iść po falach.

Trzeba było pojechać do Ziemi Świętej, przejść kilka kilometrów wzdłuż rwącego potoku Jordanu do Cezarei Filipowej, wspiąć się prawie pionowo wzwyż na Górę Tabor, spędzić godzinę na Pustyni Judzkiej, na której pościł Jezus, pokonać wąską skalną ścieżkę na Górę Kuszenia, zanurzyć się w wodach Jordanu, zobaczyć, jak ogromna odległość dzieli Nazaret od przedmieść Jerozolimy – odległość, która nie przerażała czternastoletniej brzemiennej Maryi, gdy zmierzała do swej krewnej Elżbiety... Stanąć na koniec przed wrotami zamkniętego kościoła św. Piotra w Jaffie, tuż nad morzem, żeby móc później poznać historię żydowskiego chłopca, który chciał być księdzem, bo pokochał Jezusa, w którym rozpoznał urodzonego w kraju jego przodków Mesjasza. ■

eprasa.pl 4003efe9b0

Piotr Lisiewicz



Piłkarz i strzelec ze Starobielska

„Kochana Mamo i Jadziu. Otrzymałem Wasze kartki z Krakowa pisane 11 i 19 stycznia. Bardzo się cieszę, że mamusia jest zdrowa i dobrze wygląda. Ja jestem zupełnie zdrów i trzymam się dobrze" – pisał ze Starobielska do najbliższych Franciszek Brożek. Bramkarz Wisły, uczestnik jej słynnych meczów ze szkockim Aberdeen, polski olimpijczyk w strzelectwie, był także pułkownikiem Wojska Polskiego, odznaczonym Virtuti Militari za wojnę polsko-bolszewicką. „Zawsze na czele powierzonego oddziału przykładem bohaterskim porywający, kochany przez żołnierzy i szanowany przez dowódców" – pisali o nim przełożeni. Brożek, ofiara katyńskiego ludobójstwa, został zamordowany przez funkcjonariuszy NKWD w Charkowie.



FOT. SPORTOWCYDLANIEPODLEGLEJ.PL, HISTORIAWISLY.PL

eprasa.pl 4003efe9b0



Sportowcy dla Niepodległej. Katyń" to kolejna książka ze znakomitej serii publikacji Aleksandry Wójcik i Magdaleny Stokłosy. W zbrodni katyńskiej zginęło kilkuset polskich sportowców, bardzo często będących też żołnierzami i oficerami Wojska Polskiego, którzy zatrzymali rosyjską inwazję na Europę w czasie wojny polsko-bolszewickiej.

„Co znamienne, władze PRL bardzo chętnie publikowały informacje o sportowcach zamęczonych i zabitych przez hitlerowców. Z kolei zbrodnie popełnione przez oprawców ze Związku Sowieckiego – ukrywano" – pisał o tym Kurier Wileński.

Początek krakowskiej „świętej wojny"

„Jest 20 września 1908 r., za chwilę na boisko przy Błoniach wejdą dwie najlepsze krakowskie drużyny: Wisła i Cracovia. To pierwsze w historii udokumentowane derby miasta. Mimo fatalnej pogody frekwencja dopisała, kibice zjawili się tłumnie. W bramce Białej Gwiazdy stoi zaledwie 18-letni Franciszek Brożek, utalentowany zawodnik, który dał się już poznać od najlepszej strony. Marznie do szpiku kości, więc gdy tylko piłka ląduje na połowie przeciwnika, opuszcza swoje stanowisko – biega wzdłuż bramki i podskakuje, by rozgrzać mięśnie. Mecz jest szybki, piłka przenosi się z jednego końca murawy na drugi. Tempo [...] podobne wichrowi" – piszą autorki „Sportowców dla Niepodległej".

„W barwach Królowej Polskich Rzek zapragnęli także grać chłopcy z II Gimnazjum im. św. Jacka. Wśród nich był Franciszek Zachariasz Brożek. Szybko przebił się do pierwszego składu wiślaków, grając na pozycji bramkarza" – czytamy na portalu Historia Wisły o początkach kariery bramkarza Wisły.

Po latach sensację wśród kibiców Wisły budzić będzie odnalezienie najstarszego zdjęcia z krakowskich derbów, pochodzącego właśnie z tego meczu. Czyli najstarszego dowodu trwania w Krakowie „świętej wojny", jak określana jest rywalizacja Cracovii i Wisły. Moje serce w tej wojnie jest po stronie przyjaciół mojego Lecha Poznań z Cracovii, ale dziś przychodzi mi opowiedzieć o wiślackich korzeniach tej historii.

O odnalezieniu historycznego zdjęcia tak pisał blog portalu Historia Wisły 17 listopada 2018 roku: „Udało się odnaleźć najstarsze zdjęcie z derbów Krakowa. Tuż przed ostatnimi derbami Krakowa opublikowaliśmy post, w którym bardzo dokładnie przyglądnęliśmy się zdjęciu zrobionemu w trakcie meczu Wisła–Cracovia w 1909 roku. Zdjęcie to zostało wydrukowane w gazecie »Nowości Ilustrowane« i przedstawiało jedną z sytuacji pod bramką Wisły. Gazeta zamieściła opis, z którego wynikało, że wydrukowano też drugie zdjęcie, przedstawiające obie drużyny. Niestety, ten fragment ktoś postanowił zachować dla siebie na wyłączność i w zbiorach Biblioteki Jagiellońskiej jest tylko uszkodzony egzemplarz gazety, z którego pół strony zostało wyrwane".

Mimo to fotografię udało się odnaleźć i autorzy piszą: „Fotografia ta została wykonana 18 kwietnia 1909 roku, tuż przed godziną 16, i przedstawia obie drużyny. Możemy rozpoznać wszystkich zawodników Wisły – dzięki czemu poznaliśmy też skład, w jakim Wisła zagrała (ówczesne relacje prasowe nie podały go). Wiślacy mają na sobie czerwone koszulki z dwiema niebieskimi gwiazdami (więcej o tym w jednym z wcześniejszych postów). Leży Franciszek Brożek, siedzą Włodzimierz Polaczek i Jan Weyssenhoff, klęczą Antoni Poznański, Franciszek Pustelnik i Jan Górski. Stoją Ludwik Stolarski, Jan Cudek, Bruno Luska, Witold Rutkowski i Wilhelm Cepurski".

W artykule na ten temat na stronie TVP czytamy: „Warto zauważyć, że w bramce Wisły stanął... Brożek. 18-letni wówczas Franciszek Brożek, późniejszy reprezentant Polski na igrzyskach olimpijskich w Paryżu (1924) w strzelectwie sportowym. Wielki patriota, podpułkownik piechoty, zamordowany przez NKWD w 1940 roku w Charkowie". Te trzy kropki to oczywiście nawiązanie do czasów niedawnych, gdy w Wiśle gwiazdami byli Paweł i Piotr Brożkowie.

Rękawice gumowe więcej szkodziły, niż pomagały

Franciszek Brożek urodził się w Krakowie 23 sierpnia 1890 roku, jako syn Jana, urzędnika pocztowego, i Józefy ze Stasików. Skończył Gimnazjum im. św. Jacka. „Już w szkole połknął sportowego bakcyla. W 1906 r. przy Błoniach powstała Wisła Kraków, a przynależność do towarzystwa sportowego wiązała się wtedy z niemałym prestiżem. W barwach Białej Gwiazdy pragnęło grać wielu chłopców. Wśród nich – rzecz jasna – Franek. W 1907 r. wstąpił do klubu, w którym został bramkarzem. Nieprzeciętny talent sprawił, że szybko przebił się do pierwszego składu wiślaków. Był jednym z najlepszych zawodników, występował w reprezentacji Krakowa" – piszą autorki „Sportowców dla Niepodległej".

Brożek miał zagrać w wielu krakowskich derbach, w barwach Wisły rozegrał 68 meczów. Czytamy o tym: „Rozegrał z Wisłą wiele meczów, które przeszły do sportowej historii. Do takich spotkań należały derby – zarówno pierwsze, jak i kolejne. Choć brakowało trybun, kilka tysięcy kibiców tłoczyło się za sznurami, pragnąc zobaczyć widowisko". „Zawodzą zawsze wszelkie horoskopy. Decyduje coś więcej, aniżeli umiejętności. Decyduje – kto lepiej przetrzyma próbę nerwów" – pisał o nich „Przegląd Sportowy". W owych czasach bramkarze używali rękawic z gumy, z czego niebawem zrezygnowano, bo „więcej szkodziły, niż przynosiły pożytku grze bramkarza".

eprasa.pl 4003efe9b0

Podpatrzyć triki Aberdeen

W 1911 roku krakowski klub rozegrał słynny pierwszy w historii mecz z drużyną z Wysp Brytyjskich – szkockim Aberdeen. „Z niecierpliwością i zaciekawieniem czekano pod Wawelem na przyjazd gości, wiślacy mieli nadzieję podpatrzyć pewne triki i technikę piłkarską cudzoziemców. W meczu z Anglikami na bramce stanął Brożek. To, co się działo na boisku, przerosło wszelkie oczekiwania. Goście rozgromili krakowską drużynę. W dwóch meczach rozegranych przy Błoniach Wisła przegrała 1:9 i 1:8. Choć wynik zdawałby się temu przeczyć, jedynym jasnym punktem pierwszego spotkania był... występ Brożka" – piszą Wójcik i Stokłosa.

„Przegląd Sportowy" pisał: „Zaraz w pierwszym ataku zdobyli Anglicy ze spokojem bramkę, mimo wysiłków doskonałego bramkarza Wisły p. Brożka. W trakcie drugiego meczu myślano już, że Wisła poniesie kompletną porażkę i nie zdobędzie nawet honorowego gola. A jednak grę Wisły – z małemi tylko wyjątkami – nazwać śmiało można świetną. Broniła się chwilami wspaniale, zwłaszcza bramkarz Wisły uzyskał w pierwszej części meczu powszechne uznanie".

Zaś dziennik „Nowiny" pisał: „Wisła, której bramkarz grał bardzo dobrze, poparty przytem zupełnie zasłużonem szczęściem, miała w p. Cepurskim obronę, równie doskonałą, jak w dniu poprzednim z dodatkiem drugiego backa, który po sobotniej nieobecności znowu zajął swe stanowisko. Środkowy pomocnik również grał bardzo dobrze, lewy natomiast, czysto z powodu przetrenowania czy jakiej dolegliwości, stale nie wraca do dawnej gry. Napad przechodzi do kilku ataków, gra jednak słabiej niż może".

Ale mecz miał znaczenie nie tylko sportowe. Portal Historia Wisły pisze: „W kwestii politycznej, sprowadzenie Aberdeen było elementem kampanii na rzecz autonomii polskiego piłkarstwa. Wisła w 1910 roku wystąpiła z Austriackiego Związku Piłki Nożnej (Verband) i postulowała utworzenie Polskiego Związku, niezależnego od zaborców, potencjalnie zrzeszającego piłkarskie kluby zaborów austriackiego, rosyjskiego i niemieckiego bez względu na granice polityczne".

Prasowa relacja głosiła: „Sprowadzeniu szkockiej drużyny zawodowych footballistów Aberdeen F.C. do Krakowa towarzyszyły niemałe trudności, albowiem »Verband« niemiecki telegraficznie żądał od angielskiej Associacyi, aby Szkotom zakazała urządzenia tournée na kontynent do S.K. »Slavii« w Pradze i do T.S. »Wisła« w Krakowie. Jednakże usiłowania »Verbandu« rozbiły się o stanowczy opór angielskiej Associacyi, która pozostając już od dłuższego czasu w przyjaznych stosunkach z czeskim związkiem footballowym (cesky Svaz) i K.S. »Slavią« w Pradze, zezwoliła na przyjazd Aderdeen F.C. do Austrii".

Ważnym akcentem było oddanie hołdu przez piłkarzy Aberdeen Adamowi Mickiewiczowi: „Angielscy goście z klubu Aberdeen F.C., rozgrywający partye footbalowe z krakowską drużyną »Wisła« złożyli wieńce z żywych kwiatów o wstęgach biało-niebieskich na pomniku Mickiewicza; na szarfach widnieje napis: »Form Aberdeen To The Polnish Poet«. Złożyli również wieniec na kamieniu Kościuszki w Rynku".

„W 1907 r. wstąpił do klubu, w którym został bramkarzem. Nieprzeciętny talent sprawił, że szybko przebił się do pierwszego składu Wiślaków. Był jednym z najlepszych zawodników, występował w reprezentacji Krakowa"

Virtuti Militari za wojnę z bolszewikami

Ale równolegle Brożek realizował inne pasje i obowiązki. Po szkole Franciszek rozpoczął studia na Wydziale Prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego. „Mógł wybrać karierę sędziego, adwokata albo prokuratora, lecz przerwał naukę po czterech semestrach. 1 sierpnia 1914 r. został wcielony do armii austriackiej. Walczył w I wojnie światowej – na frontach rosyjskim i włoskim. W lutym 1918 r. otrzymał awans na porucznika" – piszą Wójcik i Stokłosa.

A potem przyszła pora na udział już nie w obcej, a wreszcie w polskiej wojnie. W październiku 1918 roku Brożek wstąpił Polskiej Organizacji Wojskowej, a w styczniu 1919 roku na ochotnika do Wojska Polskiego. Walczył na froncie ukraińskim, a następnie w wojnie polsko-bolszewickiej. „Wiele razy na polu walki wykazywał się męstwem i odwagą. W potyczce pod Gródkiem Jagiellońskim zimą 1919 roku został ranny. W maju 1920 roku w starciu pod Stodoliszczami dostał się do sowieckiej niewoli. Na szczęście wy-

eprasa.pl 4003efe9b0

szedł z niej cało" – piszą autorki „Sportowców dla Niepodległej".

Za zasługi na polu walki Brożek otrzymał Krzyż Virtuti Militari. „Zawsze na czele powierzonego oddziału przykładem bohaterskim porywający, kochany przez żołnierzy i szanowany przez dowódców – był wzorem oficera frontowego" – pisali o nim przełożeni.

Wojsko, biblioteka i pomoce szkolne

Gdy szczęśliwie wrócił z niewoli, postanowił na stałe związać się z armią. „Piął się po szczeblach wojskowej kariery. Już w stopniu kapitana trafił do 13. Pułku Piechoty w Pułtusku. Kurs w Centralnej Szkole Strzelniczej w Toruniu ukończył z oceną bardzo dobrą. W 1927 r. awansował na majora. Do końca 1930 r. dowodził batalionem w 18. Pułku Piechoty w Skierniewicach" – czytamy.

Na portalu Pułtusk.pl odnajdujemy relacje na temat pobytu Brożka w tym mieście: „Obecność garnizonu wpłynęła ożywczo na życie w mieście. Relacje wojskowych z pułtuszczanami były bardzo dobre, pułk aktywnie uczestniczył w życiu społecznym". Pułk pełnił nie tylko militarną rolę. „Nie można zapominać o opiece, jaką pułk roztoczył nad pułtuskimi szkołami. Ze składek żołnierskich i oficerskich regularnie kupowano dla dzieci pomoce szkolne, ubrania, żywność oraz upominki w okresie świątecznym. Wojskowi brali też aktywny udział w życiu szkolnym swych podopiecznych" – czytamy. Ogromną rolę odegrała tu orkiestra: „Orkiestra pułkowa służyła oprawą muzyczną dla uroczystości miejskich i religijnych, brała udział w przedstawieniach teatralnych, a w sezonie letnim, w każdy czwartek, dawała koncerty plenerowe. W latach 30-tych pułk dysponował projektorem, który służył do wyświetlania materiałów szkoleniowych, ale wykorzystywano go także do organizowania seansów filmowych dla żołnierzy oraz cywilnych mieszkańców miasta. W kasynie oficerskim spotykała się pułtuska inteligencja. Z biblioteki pułkowej chętnie korzystali pułtuszczanie".

Strzelectwo, czyli patriotyzm

Jak było z zaangażowaniem Brożka w sport strzelecki? Uprawianie wielu dyscyplin sportowych jednocześnie było wówczas wśród sportowców bardzo częste. Wójcik i Stokłosa piszą o Brożku w tym kontekście: „Strzelectwo odkrył w wojsku i zaczął uprawiać zawodniczo na początku lat 20. W armii był zaliczany do czołowych zawodników. Jako oficer 13. Pułku Piechoty w maju 1924 r. wystartował w I Narodowych Zawodach Strzeleckich we Lwowie. Jeszcze na długo przed imprezą krajowy Związek Strzelecki nawoływał na łamach prasy do jak najliczniejszego udziału: Choćby zawodnicy nasi ulegli technice i wyszkoleniu innych strzelców, obecnością swoją muszą świadczyć, że są na tym posterunku nie od dzisiaj, że jeśli tylko dana im jest możność otrzymania broni – stają gromadnie".

Uprawianie sportu strzeleckiego wiązało się wówczas bardzo ściśle z patriotyzmem. Pismo „Stadjon" oceniało: „Doskonale zdawano sobie sprawę, jak istotni dla obronności kraju są sprawni, wytrenowani snajperzy. Zawody zaś pozwalały zobaczyć, na jakim poziomie stoi polskie strzelectwo. Z okazji mistrzostw Lwów przybrał uroczystą szatę na powitanie Zawodników z całej Polski, którzy przez swój liczny współudział zaznaczyli dobitnie, że sport strzelecki racjonalnie się krzewi nie tylko w szeregach naszej armii, lecz i w łonie towarzystw dla przysposobienia wojskowego". W konkursie uczestniczyło 174 strzelców, w tym 89 wojskowych. Znakomite wyniki, które osiągnął Brożek, pozwoliły mu na start w igrzyskach olimpijskich z 1924 roku.

W 1939 roku podpułkownik Brożek walczył w wojnie obronnej i trafił do sowieckiej niewoli. Jego nazwisko widnieje na listach jeńców Starobielska pod numerem 153.

Broń wojenna, a nie olimpijska

Igrzyska w Paryżu były okazją, by zaprezentować Polskę jako państwo niepodległe. Silne, a nie sezonowe. Przed wyjazdem do Paryża sportowcy spotkali się z prezydentem Polski, o czym donosiły wszystkie gazety. Jak czytamy, prezydent Wojciechowski interesował się żywo stanem strzelectwa w Polsce i przy pożegnaniu życzył swym gościom powodzenia na zawodach.

Ale „Przegląd Sportowy" nie wróżył strzelcom wielkich sukcesów, bo wciąż byli jednak bardziej żołnierzami niż sportowcami: „Przedolimpijskim sprawdzianem dla naszych strzelców miały być mistrzostwa Polski. Niestety zawodnicy biorący w nich udział wykazali się brakiem rutyny i obycia z dużymi impreza-

eprasa.pl 4003efe9b0

mi, a nawet – jak twierdzili dziennikarze – brakiem zrozumienia dla strzelectwa jako sportu. Nadziei nie rokuje przeto wielkich, pomimo że talenty niektórych zawodników są niewątpliwie pierwszorzędne, a kraj nasz, zwłaszcza jego obszary kresowe i przykarpackie, powinienby dostarczyć światu ludzi o zdecydowanej ręce i bystrym oku strzeleckim".

Były też kłopoty finansowe, bo opłacenie takiego wyjazdu sporo kosztowało. Jak pisał „Stadjon": „12 czerwca nasza drużyna strzelecka wyruszyła do Paryża. Szczupła stosunkowo liczebność drużyny: 7-iu zawodników do strzelania do tarcz i 6-iu do strzelania myśliwskiego – podyktowana została nikłym stanem funduszów".

Ale na finansach nie kończył się problem. Rywale dysponowali też nieporównanie lepszą bronią. „Strzelali z precyzyjnych pistoletów tarczowych, w których języczek (cyngiel) spadał przy 25 gramach obciążenia. U automatycznych, wojskowych pistoletów naszej drużyny języczek spada, ale przy obciążeniu dwu... kilogramów. Toteż znawcy wyrazili naszym strzelcom za wyniki swe uznanie i ten moment podkreślano w fachowych pismach francuskich" – pisał „Sport".

Z kolei czasopismo „Strzelec" wskazywało na przyczyny braku sukcesu: „Broń, którą przywieźli ze sobą na igrzyska polscy strzelcy, kompletnie nie nadawała się do strzelania sportowego. Nie spełniała najnowszych wymogów, była nieprecyzyjna, toporna i mocno przechodzona. Sprawdziłaby się może na polu walki, ale nie na profesjonalnej strzelnicy, gdzie o sukcesie decydują mikrometry. Nie mieliśmy najmniejszych szans na sukces. A mimo to ambicji nam nie brakowało: Nie było takiej kategorii strzelania, do której nie rwaliby się nasi strzelcy".

Świetlice strzeleckie w całej Polsce

Podczas zawodów Brożek wystartował w konkursie strzelania z karabinu w pozycji leżącej do tarcz z odległości 400 m, 600 m i 800 m. Razem z nim w drużynie znaleźli się: Marian Borzemski, Bolesław Gościewicz, Stanisław Kowalczewski i Władysław Świątek. Polska zdobyła 477 punktów i zajęła 15. miejsce ekip. „Nie był to występ, który moglibyśmy zaliczyć do udanych. Ale rezultaty nie mogły być inne – przy tak słabym sprzęcie nasi strzelcy nie mieli szansy wykazać się swoimi umiejętnościami. Stanisław Polakiewicz, na żywo przyglądający się zmaganiom Polaków na igrzyskach, tak oto wspominał konkurs strzelecki: To byli świetni zawodnicy, mieli jednak mało nowoczesną broń i przede wszystkim beznadziejną amunicję. Gdzie nam było do Amerykanów" – piszą autorki „Sportowców dla Niepodległej".

Ale występ polskich strzelców na igrzyskach spełnił też patriotyczny cel. „Powstało wiele stowarzyszeń, organizowano konkursy w strzelaniu z broni małokalibrowej, by rozpropagować dyscyplinę również na wsiach i w miasteczkach. W Polsce działały coraz liczniejsze świetlice strzeleckie. W 1933 r. Brożek brał udział w uroczystym otwarciu świetlicy na Krowodrzy w Krakowie, przy ul. Mazowieckiej" – czytamy.

Jestem zdrów i trzymam się dobrze

Brożek swoją karierę strzelecką rozwijał równolegle z wojskową. W 1936 roku, już jako podpułkownik, rozpoczął służbę w Korpusie Ochrony Pogranicza w Iwieńcu. Jego znaczenie było specyficzne, wcześniejsze meldunki opisywały je barwnie: „Na odcinku batalionu zatrzymano 7 osób, które usiłowały przejść nielegalnie granicę, a były to m.in.: Natalia Palikahowa (stała mieszkanka Moskwy, która rzekomo szła do męża mieszkającego w Wilnie), Stanisława Wand-Wołoszewska, Konstanty Olszewicz, Bolesław Borysiewicz, Maria Walaszkiewa oraz dwóch przemytników. Wszystkich przekazano Policji Państwowej... 6 stycznia 1925 aresztowano Józefa Downara mieszkańca wsi Kuczkuny. Zarzut jaki mu postawiono to współdziałanie w przemycie za granicę i przeprowadzanie podejrzanych osób". W 1937 roku, po przeprowadzonej reorganizacji KOP, w skład batalionu weszły dwie kompanie i pięć strażnic. Kompania „Dubowy" weszła w skład batalionu KOP „Krasne", jako 1. kompania „Dubrowa", natomiast kompania „Szarzywszczyzna" weszła w skład batalionu KOP „Stołpce", jako 5. kompania „Stasiewszczyzna".

W 1939 roku podpułkownik Brożek walczył w wojnie obronnej i trafił do sowieckiej niewoli. Jego nazwisko widnieje na listach jeńców Starobielska pod numerem 153. 8 marca pisał z obozu do mamy i siostry: „Kochana Mamo i Jadziu. Otrzymałem Wasze kartki z Krakowa pisane 11 i 19 stycznia. Bardzo się cieszę, że mamusia jest zdrowa i dobrze wygląda. Ja jestem zupełnie zdrów i trzymam się dobrze. Bardzo się cieszę, że Jadziulka jest w Krakowie, niech tylko uważa na siebie, ażebym ją zastał zdrową, jak powrócę. Jeżeliby Jadzi nie było już w Krakowie, jak przyjdzie moja kartka, to proszę napisać do Warszawy i podać jej treść. Tęsknię do Was moi Kochani i tak strasznie chciałbym Was zobaczyć. Jaśce przesyłam ucałowania i proszę, ażeby pisała jak najczęściej. Całuję Mamusię i Jadziulkę. Wasz Franek". Podpułkownik Franciszek Brożek został rozstrzelany w gmachu NKWD w Charkowie wiosną 1940 roku.

Od 2006 roku w Krakowie organizowany jest Memoriał Olimpijski im. płk. Franciszka Brożka w strzelectwie sportowym. W 2007 roku Brożek za sprawą ministra obrony Aleksandra Szczygło został pośmiertnie awansowany do stopnia pułkownika. ■

eprasa.pl 4003efe9b0

Agnieszka Kowalczyk

DZIECI PAWIAKA – potomkowie „białych orłów”

„Najokrutniejszy czas na Pawiaku to okres od 2 października 1939 do 21 sierpnia 1944 roku. W jego murach więziono wówczas blisko sto tysięcy osób, z czego 37 tysięcy zamordowano, a pozostałą część wywieziono w 95 transportach do obozów koncentracyjnych, pracy i zagłady, między innymi do Auschwitz-Birkenau, na Majdanek, do Treblinki czy Ravensbrück [...]. Niewielu odzyskało wolność” – pisze Sylwia Winnik – autorka książki „Dzieci z Pawiaka” (2020), stanowiącej wyjątkowy zbiór historii tych, którzy w swym dzieciństwie przeszli przez piekło tego miejsca bądź przyszli w nim na świat.



fot. PAP

We wstępie do szkiców „Dzieci z Pawiaka" czytamy, że „można było tu trafić za działanie w konspiracji, nieprzestrzeganie licznych zakazów gestapo, podejrzenie o przeciwstawienie się ideologii III Rzeszy, po łapance na ulicy, aresztowaniu w pracy czy w domu".

Kto znalazł się za bramami Pawiaka, tego nie mogło ominąć przesłuchanie w siedzibie gestapo przy alei Szucha 25, gdzie w podziemiach mieścił się osławiony areszt śledczy, a właściwie gestapowska katownia z całym arsenałem najwymyślniejszych tortur – więźniów bito kolbami karabinów, wyrywano im żywcem paznokcie, szczuto psami, okładano pejczem, łamano kości, duszono uszkodzoną maską gazową. Nie oszczędzano dzieci i ciężarnych kobiet.

W lipcu 1944 roku rozpoczęła się likwidacja Pawiaka – około 1400 mężczyzn wysłano do Gross Rosen, 400 kobiet do Ravensbrück, 200 osób wypuszczono na wolność. 13 sierpnia niemal wszystkich pozostałych rozstrzelano w ruinach getta. Tydzień później gestapowcy wysadzili Pawiak w powietrze. Zostały po nim tylko ruiny i jeden wiąz – „żywy pomnik ku czci pomordowanych ofiar".

▶ Julian Kulski. Z rodu „białych orłów"

Zanim Pawiak stał się największym więzieniem śledczym w Generalnym Gubernatorstwie i „poczekalnią na śmierć" dla tysięcy Polaków, w I połowie XIX wieku stanowił najnowocześniejsze więzienie w Europie. Inicjatorem jego budowy był hrabia Fryderyk Skarbek, zaniepokojony nieludzkimi warunkami w stołecznych zakładach karnych. Decyzję o wzniesieniu gmachu podjęto w 1829 roku, a jego projekt opracował wybitny XIX-wieczny architekt Henryk Marconi. Na Pawiaku osadzani byli zarówno więźniowie kryminalni, jak i polityczni, w tym powstańcy styczniowi.

Gdy wybuchła II wojna światowa, prezydentem Warszawy był Stefan Starzyński – doskonały gospodarz miasta, który w chwili najwyższej próby nie opuścił tonącego okrętu. Jego najbliższym współpracownikiem pozostawał Julian Spitosław Kulski – w czasie Wielkiej Wojny żołnierz Legionów Polskich, a w Niepodległej, od 1935 roku, wiceprezydent Warszawy. W momencie zagrożenia wojną razem ze Starzyńskim opracowywali plany stworzenia armii podziemnej i przygotowywali się do obrony stolicy. Gdy prezydent został zamordowany przez gestapo, urzędowanie w ratuszu, za przyzwoleniem polskich władz konspiracyjnych, objął Julian Kulski. Podczas ostatniego spotkania Starzyński nakazał mu, „aby opiekował się mieszkańcami Warszawy i był gotów do walki o miasto".

O wszystkim tym opowiada jego syn-imiennik – Julian Eugeniusz Kulski. We wrześniu 1939 roku miał

prasa.pl/403efe9b0

10 lat i już wtedy rwał się do walki z Niemcami. „Całą przyszłość budowałem na wizji swego udziału w wojnie, ponieważ tak jak ojciec chciałem bohatersko walczyć". Był zrozpaczony, gdy ze względu na zbyt młody wiek rodzic zabronił mu wstąpienia do konspiracji. W akcie buntu i desperacji uciekł wtedy do lasu i, jak wspomina, ujrzał nad sobą sylwetkę „najprawdziwszego, majestatycznego białego orła". To „symbol mojej ojczyzny – przyznał. – Mój symbol. Znak rodzinnej spuścizny, której sednem była walka o wolność". Po chwili orzeł zniknął, a jego miejsce zajęły przeraźliwie ryczące samoloty z czarnymi swastykami. Leciały wprost na Warszawę.

Tych, którzy walczyli o wolną Polskę, a potem jej bronili – nazywa „białymi orłami". Sam chciał być jednym z nich, zwłaszcza po kapitulacji Warszawy, kiedy zobaczył „porozrzucane ludzkie ciała, końską padlinę szkielety, spalonych domów", a do tego upokarzającą dla Polaków paradę zwycięstwa Hitlera – porażający „marsz niemieckich żołnierzy-robotów": „Szli jak zamroczeni. Równo, miarowo [...]. Hitler stał dumnie, na baczność. Zadowolony ze śmiercionośnej machiny, jaką uruchomił w mojej Warszawie".

Ojciec był dumny, gdy Julek wyznał mu, że chce iść do lasu i wstąpić do partyzantki. Miesiąc później skontaktował syna z Ludwikiem Bergerem „Goliatem", człowiekiem podziemia, który stał się dla niego opiekunem i autorytetem, a do tego serdecznym przyjacielem. Stworzył na Żoliborzu kompanię Szarych Szeregów, która dała początek zgrupowaniu „Baszta" ZWZ-AK. Za jego to sprawą dwunastoletni Julek przyjęty do ZWZ, stał się w lipcu 1941 roku jednym z „żołnierzy Wolności".

Brzemiennym w skutkach wydarzeniem stał się dla Juliana ślub działacza podziemia, oficera oddziału „Osa"-„Kosa 30" Mieczysława Uniejewskiego „Marynarza". Tego dnia, 5 czerwca 1943 roku, gestapowcy wkroczyli do kościoła pw. św. Aleksandra i aresztowali uczestników uroczystości, spośród których większość związana była z ruchem oporu. Niedługo potem Julian, zamieszkały w domu swego dowódcy Bergera, został ujęty i osadzony na Pawiaku. „Wjazd przez bramę Pawiaka był złowrogi. Czekali na nas esesmani z wielkimi wilczurami, które wściekle ujadały i szczerzyły zęby. A z tego, czego się później dowiedziałem, karmione były ludzkim mięsem. Bałem się ich wtedy nawet bardziej niż ludzkich oprawców. Za kolejną bramą zaczęła się gehenna".

Wciśnięty do pękającej w szwach, zawszonej i śmierdzącej celi, ogolony „na zero", w najwyższym napięciu oczekiwał wezwania na przesłuchanie. W końcu przewieziono go na Szucha. Przerażony krzykami torturowanych, widokiem krwi na podłodze, losem skatowanych, sam uderzony pałką w głowę, szedł trzęsąc się na drugie piętro. Tam pokazano mu zdjęcia osób, które miał zidentyfikować, pytano o organizacje podziemne, wreszcie o Ludwika Bergera i siostrę jego narzeczonej Olę Sokal. On zaś milczał zawzięcie, nikogo nie zdradził. Powróciwszy na Pawiak, dowiedział się, że jest na liście do Auschwitz-Birkenau. Nieoczekiwanie jednak został zwolniony z więzienia. Była to, jak sądził, decyzja przemyślana przez gestapo, które obserwowało go przez wiele dni, chcąc dotrzeć za jego pośrednictwem do Ludwika.

„Dla dobra sprawy – mówił – musiałem opuścić »Basztę« i wtedy naprawdę poczułem, że Niemców nienawidzę. Za to, że jest wojna, [...], za to, co zobaczyłem na Szucha i na Pawiaku. Za Olę Sokal, za nieznajomą kobietę, która siedziała obok mnie w »tramwajach«. Obcięli jej pierś. Krew leciała strugą na podłogę. [...] I za dziesiątki twarzy nie do poznania, bestialsko skatowanych. Za trzy rozstrzelane młode dziewczyny z mercedesa. [...] Za katolików, Żydów, Polaków. Za moją Warszawę".

Podczas tajnego szkolenia dla łączników, które prowadził, działając na nowo w podziemiu, dowiedział się, że na ulicy Śmiałej Niemcy zamordowali mężczyznę. Był nim... Ludwik Berger. Kiedy dotarł na miejsce, dostrzegł tylko krew zabitego, strzępy jego rozdartego ciała i kawałek mózgu leżący na ziemi. Na ten widok stanął na baczność przed szczątkami swego dowódcy. Przejmując jego pseudonim „Goliat", niebawem przystąpił do oddziałów dywersyjno-bojowych, w których działał aż do klęski Powstania Warszawskiego. Po kapitulacji Warszawy trafił do obozu w Pruszkowie, a stamtąd do stalagu XI-A, gdzie walczył o życie chory na gruźlicę. Gdy w maju 1945 roku do obozu dotarli Amerykanie, wpadł na pomysł, by wydostać się wraz z nimi z niewoli. Okazało się, że jeden z nich miał polskie korzenie i zgodził się ukryć go w odjeżdżającej ciężarówce. Dzięki temu znalazł się w Londynie i poprosił o azyl. Najpierw ukończył prestiżową szkołę irlandzką Portora Royal School, a potem studiował architekturę w Oksfordzie i Yale. Demony wojny ciągle jednak do niego wracały. Aby się od nich uwolnić, spisał swoje przeżycia w książce „Umierając, żyjemy". Ukształtowany duchowo przez walkę konspiracyjną, pobyt na Pawiaku i udział w Powstaniu Warszawskim, mógł powiedzieć, że i on dochował wierności białemu orłowi: „Dziedzictwo orła białego to przecież nie tylko mój symbol, lecz każdego Polaka. Na pytanie, czy się z nim utożsamiamy, każdy z nas musi sobie sam odpowiedzieć".

▶ Urodzona na Pawiaku

Ojciec Lilii Jagodzińskiej-Hamann, która przyszła na świat 8 czerwca 1944 roku na Pawiaku, był w czasie

eprasa.pl 4003efe9b0

II wojny światowej człowiekiem AK-owskiego podziemia. Absolwent Szkoły Podchorążych Wojsk Łączności w Rembertowie przed wojną pracował jako introligator. W 1929 roku ożenił się z Emilią Denską, a cztery lata później został ojcem Hanny. Wojna diametralnie zmieniła życie rodziny Jagodzińskich. Józef od razu zaangażował się w podziemny ruch niepodległościowy, będąc porucznikiem 7. Pułku AK. W misternie zorganizowanej siatce konspiracyjnej, jako zatrudniony w urzędzie pracy, wydawał Polakom fałszywe dokumenty, ratując ich przed przymusową wywózką na roboty do Rzeszy. W jego domu spotykali się działacze akowskiego podziemia i odbywały się zaprzysiężenia nowych członków. Józef ps. „Bratek" kopiował konspiracyjne ulotki, gazety i obwieszczenia. Spod jego prasy drukarskiej wychodziły pisma wojskowe: „Naród i Wojsko", „Strażnica", „Druga Kadrowa", „Federacja". Za stronę techniczną i kolportaż zakazanych materiałów odpowiadała Emilia „Miteczka". U Jagodzińskich znajdowali ponadto schronienie Żydzi oraz ludzie „spaleni". Był to też punkt przerzutowy oraz tajny ośrodek dozbrajania oddziałów.

Tak szeroko prowadzona działalność konspiracyjna musiała w końcu zwrócić uwagę wroga. Zdradził jeden z sąsiadów. Nie trzeba było długo czekać, by do gmachu urzędu pracy wpadli po Józefa gestapowcy, blokując wszystkie wejścia. W tym samym czasie trwała rewizja domu w Piastowie. Gdy Niemcy niespodziewanie wtargnęli do środka, na stole w kuchni leżały dopiero co wydrukowane pliki zakazanych gazet. Zorientowawszy się w sytuacji, Emilia zajęła Niemców, a dziesięcioletnia Hanna pochwyciła obciążające materiały i wrzuciła do rozpalonego pieca. Już dwa dni wcześniej tchnięci złym przeczuciem Jagodzińscy ukryli w domu dziadków maszynę do pisania, sprzęt do powielania prasy i... broń. To uchroniło ich przed niechybnym wyrokiem śmierci.

Nazajutrz Emilia została schwytana przez gestapo na ulicy, kiedy usiłowała dostać się do męża uwięzionego w Pruszkowie. Wyprowadzany z celi do więźniarki Józef ujrzał w jej wnętrzu przerażoną twarz żony! Jechali wprost na Pawiak. Za kratami tego strasznego więzienia Emilia nie czuła się całkiem opuszczona, bo od trzech miesięcy nosiła pod sercem nowe życie – dziewczynkę Lilii, która gdy dorośnie, powie o swej matce: „Byłam z nią. Każdego dnia w celi na Pawiaku, w jej smutkach, w strachu, i w alei Szucha, gdy brali ją na przesłuchanie".

Tymczasem Józef trafił na ósmy oddział i przeszedłszy łaźnię, parówkę, wyparzanie ubrań, dotarł do mrocznej celi zwanej „piekarnią". Miał poczucie, że trwa w cieniu nieuchronnie nadciągającej śmierci, bo na aresztowanych czekał albo transport do obozu zagłady, albo egzekucja. 22 marca 1944 roku przesłuchiwany na Szucha Jagodziński został oskarżony o przynależność do organizacji konspiracyjnej. Konsekwentnie zaprzeczał wszelkim stawianym mu zarzutom. W końcu zniecierpliwiony gestapowiec wyciągnął naładowany rewolwer-bębenkowiec, a gdy i to nie poskutkowało, zdjął z haka batog. Oprawcy zerwali z Józefa jesionkę i wśród zadawanych pytań smagali go do utraty przytomności. Po tym, jak się ocknął, dokonała się w nim jakaś niewytłumaczalna przemiana – słabość i strach zniknęły, tak iż na kolejnym przesłuchaniu pozostawał niewzruszony.

Wokół szalała śmierć: „Ludzi na pawiackim placu, Gęsiówce lub w getcie rozstrzeliwano masowo [...]. 20 marca – około 300 osób. 15 kwietnia – około 600 osób, 17 kwietnia, aż 450 mężczyzn [...]. 22 maja, 1200 osób. Kolejne dni – 1500 osób" – wyliczał. Do uwięzionych docierały odgłosy wystrzałów, a przez okienka wdzierał się mdły zapach ciał palonych w getcie. Dla Józefa Pawiak był jak lejek w maszynie do mielenia mięsa – „w krater tego lejka gestapowcy wrzucają coraz to nowe ofiary, a po przejściu przez tę maszynę wychodzi bezkształtna masa, którą [...] palą na stosach".

23 maja 1944 roku Jagodziński został wysłany do obozu koncentracyjnego w Stutthofie. Wieść o losie męża dotarła do udręczonej Emilii dzięki przekazanemu jej grypsowi. Ona sama zaś, 8 czerwca, poczuła bóle porodowe. Miała jednak wiele szczęścia, bo w piekle, w którym się znalazła, mogła liczyć na lekarzy – Annę Czuperską, Krystynę Ossowską i Felicjana Lotha. „Urodziłam się cała pomarszczona, w zamartwicy – wyznała po latach córka Jagodzińskich Lilii – kobiety, które pomagały mamie, wkrótce ochrzciły mnie z wody". Po przeniesieniu do celi matek z dziećmi Emilia otrzymała wsparcie ze strony Patronatu, czyli Towarzystwa Opieki nad Więźniami, które dostarczało jej mleko w proszku i marchewkę dla niemowlęcia. Śmierć jednak czaiła się wszędzie. Zdarzało się, że na spacerniaku strażnicy wyrywali dzieci z rąk matek, a ich główki rozbijali o ścianę. Jeden z nich stanął kiedyś z dużym kamieniem nad małą Lilli, choć ciosu ostatecznie nie zadał.

Emilia znalazła się na liście kobiet przeznaczonych do Ravensbrück. Dzięki jednakże chaosowi, jaki zapanował przed ewakuacją Pawiaka, i dzięki staraniom Patronatu, została po wielu miesiącach zwolniona wraz z dzieckiem do domu. Tymczasem Józef znosił ciężki los więźnia Stutthofu, Pölitz i Mścięcina, dokąd został przeniesiony w listopadzie 1944 roku. Wszędzie dawały mu się we znaki: praca ponad siły, przemoc, choroby i głód. Przeszedł zapalenie płuc i nerek, dokuczała mu opuchlizna nóg. Wyglądał jak żywy trup, gdy obozowy lekarz przed wymarszem z Pölitz do Mścięcina zaproponował mu, że go zastrzeli. Odmówił kategorycznie. Do domu powrócił ostatkiem sił.

eprasa.pl 4003efe9b0

Gdy ujrzał po raz pierwszy swoją córkę urodzoną na Pawiaku, nie mógł oderwać od niej oczu. Dotarł nawet do lekarzy Felicjana Lotha i Krystyny Ossowskiej, dzięki którym Lilii przyszła na świat, prosząc, by zostali jej rodzicami chrzestnymi. Może właśnie dlatego i ona sama wybrała w przyszłości medycynę. W 1968 roku uzyskała dyplom lekarski, następnie doktorat, wreszcie została ordynatorem w Wojskowym Szpitalu Zakaźnym w Warszawie. Wypracowując własną filozofię życiową, doszła do wniosku, że „do prawdziwego spełnienia dochodzi się często w bólu i rozterkach, ale sprawiają one więcej satysfakcji i gwarantują prawdziwą szczerą więź z ludźmi i światem".

▶ Longina Niedziałek. Pawiak za Kutscherę

Tragedię rodziny Niedziałków poprzedziło wydarzenie, które wstrząsnęło życiem okupowanej stolicy, gdzie od października 1943 do lutego 1944 roku rozstrzelano blisko 5 tys. ludzi. Sprawcą masowych egzekucji był kat Warszawy – Franz Kutschera. Przez długi czas nikt nie znał jego nazwiska i nie wiedział, kto stoi za zbrodniczą działalnością wymierzoną w ludność cywilną. Jego prawdziwą tożsamość odkrył dopiero szef komórki wywiadu AK Aleksander Kunicki „Rayski". Polskie podziemie wydało na niemieckiego oprawcę wyrok śmierci. Przeprowadzenie akcji powierzono oddziałowi „Agat". Operacja rozpoczęła się 1 lutego 1944 roku. Dom Kutschery przy alei Róż obserwowała Maria Stypułkowska-Chojecka „Kama". Gdy tylko esesman wsiadł do limuzyny, dała o tym znać pozostałym konspiratorom – ściągnęła płaszcz, zawiesiła go na prawej ręce i przeszła na drugą stronę alei Ujazdowskich. Informacja o zbliżającym się oplu dotarła do dowódcy akcji Bronisława Pietraszewicza „Lota", a ten wysłał sygnał Michałowi Issajewiczowi „Misiowi", który ruszył samochodem adler w stronę nadjeżdżającego Kutschery i skutecznie zablokował jego auto.

„Po dynamicznej akcji trwającej 1 minutę i 40 sekund Kutschera został zabity. Jako pierwszy strzał oddał dowódca akcji »Lot«, a następnie [Zdzisław Poradzki] »Kruszyna« i »Miś«, gdy dostrzegli, że Kutschera nadal żyje. Śmierć ponieśli Kazimierz Sott ps. »Sokół«, kierowca mercedesa 170 V, oraz Zbigniew Gęsicki ps. »Juno«. Otoczeni przez Niemców na moście Kierbedzia w czasie odprowadzania samochodu do garażu, skoczyli do Wisły. Niemcy oddali serię strzałów w nurt wody, zabijając Polaków. Ciężko ranni Pietraszewicz »Lot« i [Marian] Senger »Cichy« zmarli kilka dni po akcji w praskim Szpitalu Przemienia Pańskiego".

Nazajutrz w okolicy Alei Ujazdowskich Niemcy dokonali straszliwej zemsty w odwecie za śmierć Kutschery, urządzając pokazową egzekucję, w wyniku której rozstrzelali stu niewinnych mieszkańców Warszawy. Uczestniczący w akcji Kazimierz Sott „Sokół", który zginął w Wiśle, był kuzynem Józefa i Antoniny Niedziałków. W związku z tym, że Niemcy aresztowali wszystkich powiązanych z grupą zamachowców, w lutym 1944 roku wtargnęli do domu Niedziałków. W tę dramatyczną zimową noc zabrali Antonię i Józefa, ich dwunastoletnią córkę Longinę, starszą Janinę oraz syna Józefa. Drugi z synów Henryk przebywał już wtedy w obozie koncentracyjnym Auschwitz-Birkenau. „Wyszliśmy w pidżamach – zapamiętała Longina. – Był mróz. Miałam gołe ręce i odkryte stopy [...]. To oni rządzili, pędzili nas, jak bydło, musieliśmy robić to, co chcieli".

Zanim Niedziałkowie znaleźli się na Pawiaku, trafili na Szucha. Longina panicznie bała się, że wszystkich ich zabiją, choć przesłuchano tylko Antoninę i Jasię. Opowiadały później, że widziały, jak korytarzami płynęły strugi ludzkiej krwi. Antoninę wraz z córkami zamknięto w jednej celi. Współwięźniarki powierzyły Longinie zadanie przenoszenia grypsów zwiniętych w ruloniki, które imitowały papierosy. Dziewczyna, nie wiedząc, że przekazuje zakonspirowane informacje, narażała się na śmiertelne niebezpieczeństwo. Pewnej nocy wstrząsnął nią rozpaczliwy płacz leżącej obok współtowarzyszki niedoli. Była to ujęta przez Niemców rosyjska pilot latająca nad Warszawą, której Longina przypominała siostrę. Bardzo bała się, że zostanie zabita. Zabrano ją jeszcze tej samej nocy. Longina poznała jeszcze wiele kobiet, z którymi dzieliła to przeklęte miejsce i z których większość wywieziono do obozów koncentracyjnych bądź rozstrzelano.

Kiedy usłyszała, że wychodzi na wolność, nie potrafiła rozstać się z matką i siostrą. Janina wpadła w histeryczny płacz, przekonana, że zginie tu wraz z matką. Longina nie miała dokąd wracać, jej dom został spalony. Zaopiekowała się nią najstarsza siostra Jadwiga z Biskupic Starych, pomagając w zdobywaniu wykształcenia. Aby ukończyć gimnazjum, Longina podjęła pracę opiekunki w domu dziecka w Konstancinie. Jak się potem okazało, jej matkę i siostrę wywieziono z Pawiaka do Ravensbrück, a ojca i brata do Gross Rosen. Rodzice nie przeżyli obozów, rodzeństwo ocalało. Po wojnie los uśmiechnął się do Longiny – w 1950 roku wyszła za mąż, urodziła dwóch synów, doczekała się wnuków i prawnuków. Często wracała pamięcią do beztroskiego dzieciństwa, rodzinnego gospodarstwa we Wrociszewie, dobroci i serdeczności najbliższych, lecz wszystko to przesłaniał czarny obraz Pawiaka, rozłąki z rodziną i nawracająca myśl o wojnie, która pochłonęła to, co najdroższe.

▶ Marek Dunin-Wąsowicz. Wojna, Pawiak i Stutthof

Do domu Marka Dunina-Wąsowicza gestapowcy wtargnęli nocą 13 kwietnia 1944 roku i od razu za-

eprasa.pl 4003efe9b0

częli katować jego starszego brata Krzysztofa. On sam wraz z matką Janiną i ojcem Władysławem został wpędzony do samochodu. I tak we trójkę trafili na Szucha. Wkrótce dołączył do nich Krzysztof, zabrany na pierwsze piętro, gdzie w ciągu kilku dni próbowano wydobyć z niego zeznania poprzez tortury. Tymczasem Marka z rodzicami przetransportowano na Pawiak. „Jasne jest, że dumnie pracowaliśmy na tę chwilę wszyscy, od wybuchu wojny. Przed 1939 r. byłem harcerzem – mówi Marek. – Wychowany w duchu wartości patriotycznych, nie mogłem pozostać obojętny i bezczynny, wtedy, gdy moje młode ręce były gotowe do pracy".

Podczas okupacji cała rodzina Dunin-Wąsowiczów zaangażowana była w działalność konspiracyjną. Ojciec, dziennikarz współpracujący z ruchem oporu, założył wspólnie z kolegami tajną grupę wspierającą dziennikarzy, zwłaszcza żydowskiego pochodzenia. Jego żona, przed wojną honorowa kierowniczka szkoły Rodziny Wojskowej założonej przez Aleksandrę Piłsudską, pomagała mężowi w organizowaniu miejsc pracy dla poszkodowanych podczas wojny. Wspólnie zakładali m.in. sklepiki, spółdzielnie i kuchnie. Prowadzony przez Władysława antykwariat z książkami na placu Napoleona był punktem kontaktowym dla konspiratorów. Marek natomiast znalazł swoje miejsce w Szarych Szeregach. Uczył się m.in. obsługi broni i chwytów obronnych. Działał w małym sabotażu. Wreszcie trafił do sekcji młodocianych przy batalionie „Baszta". Mając 15 lat, został żołnierzem Armii Krajowej.

Aresztowanie rodziny było dla niego traumatycznym przeżyciem. Wraz z ojcem trafił na Pawiak do celi kwarantanny. Kiedyś zamykano w niej tylko jednego więźnia, a teraz – jedenastu. Codzienne bytowanie w więzieniu wypełniał strach, zwłaszcza gdy gestapowcy otwierali drzwi cel i wywoływali nazwiska – na śmierć! Na egzekucję! Jeśli egzekucja miała się odbyć na ulicach Warszawy, wówczas więźniom kneblowano usta, jeśli tego nie czyniono, mieli być rozstrzelani w ruinach getta.

Najgorsze ze wszystkiego były przesłuchania. Któregoś dnia także Marek usłyszał swoje nazwisko. Po drodze otrzymał od napotkanej lekarki tajemniczy środek w fiolce, dzięki któremu miał przetrwać czekającą go gehennę. I rzeczywiście pomogło – zażyty proszek uczynił go „nieustraszonym, zobojętniałym i pozytywnie nastawionym do wszystkiego, co się wokół działo". Sprawiło to, że w sporządzanej dla niego opinii gestapowcy zapisali: „Niebezpieczny dla otoczenia, odizolować do zakończenia wojny".

Z Pawiaka został przekazany do miejsca kaźni w Stutthofie, dokąd skierowano również jego brata Krzysztofa. 24 maja 1944 roku trafili do tego ciężkiego leśnego obozu na Pomorzu, wybudowanego przez więźniów z setek drzew wyciętych na Mierzei Wiślanej. „Kto z opalających się na plaży, chwilę przed utworzeniem obozu pomyślałby, że właśnie tam w męczarniach ginąć będą ludzie... Rozstrzelani, zabici zastrzykiem z fenolu, zagłodzeni, zagazowani w komorach. Zginęło tam około 65 tysięcy ludzi".

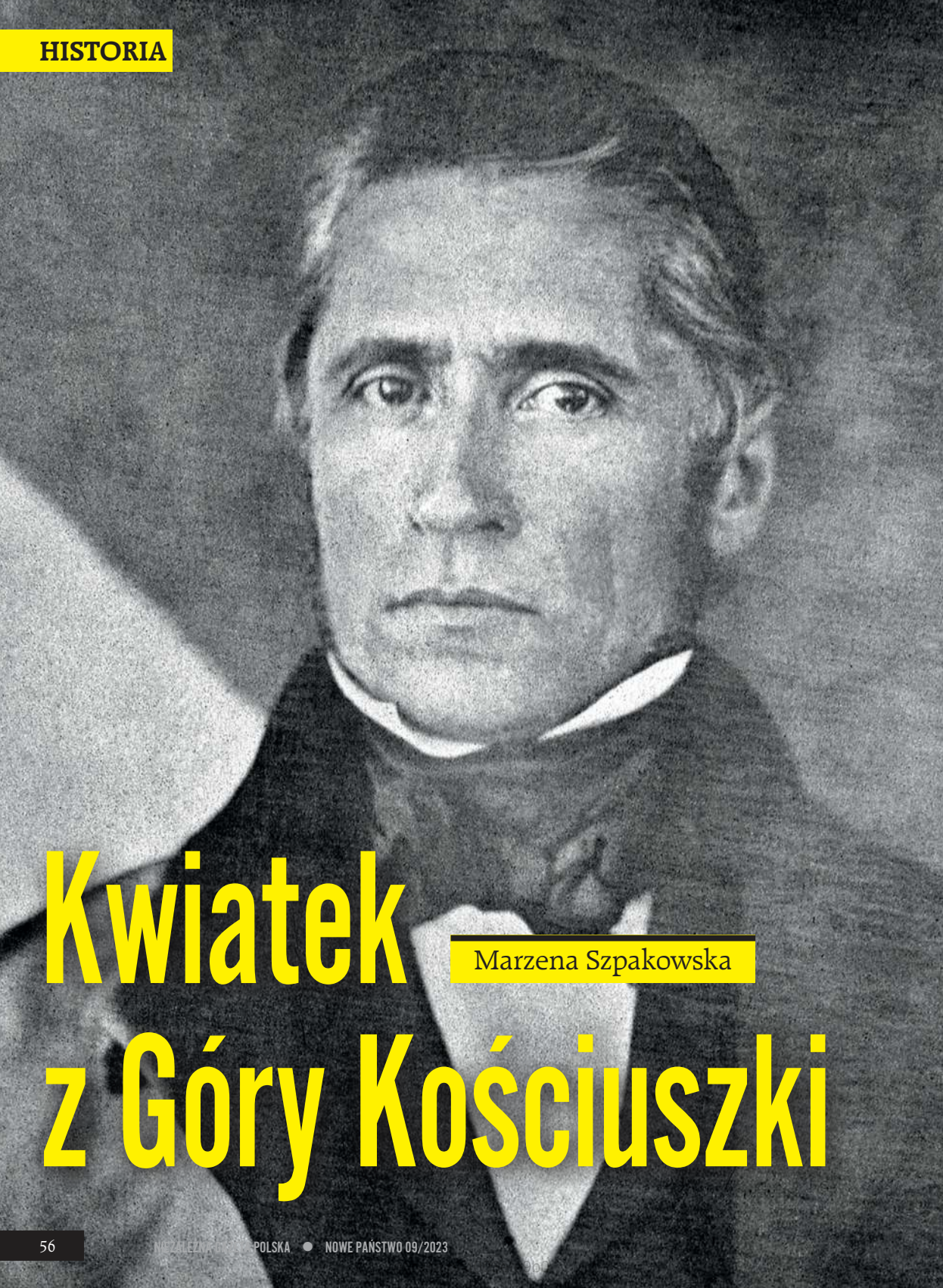
Bracia Dunin-Wąsowiczowie nie poddali się jednak okrutnej rzeczywistości. Krzysztof wspólnie z pawiakowcami, którzy się tam dostali, założył tajną organizację wojskową, dysponującą nawet bronią palną. Aby przetrwać siarczyste mrozy w cienkich pasiakach, więźniowie okładali gołe ciała gazetami. Marek został przydzielony do najcięższych robót – wycinki drzew pod rozbudowę obozu. Szybko zaczął tracić zdrowie, przeobrażając się w muzułmana. Chcąc dostać się do obozowego szpitala, postanowił upuścić na nogę drewnianą kłodę, miażdżąc nią palce. Wkrótce potem dzięki pomocy brata otrzymał lżejsze zajęcia pod dachem. W przeciwnym razie czekałby go pobyt w trupiarni, gdzie dogorywali bez chleba i wody niezdatni do pracy. „Więźniów wieszano na szubienicy, palono w krematoriach, a gdy te nie nadążały, palono przed nimi stosy ciał. Nad całym terenem obozu [...] unosił się fetor, który niezbicie świadczył, co się wewnątrz działo".

W styczniu 1945 roku Niemcy rozpoczęli ewakuację obozu. Najsłabszych załadowali do łodzi, które najprawdopodobniej zatopili w Bałtyku. Pozostali przy życiu, w tym Marek i Krzysztof, wzięli udział w marszu śmierci. Wielu spośród wyczerpanych umierało po drodze. Idących na końcu esesmani rozstrzeliwali. Marek wspomina że, gdy pewnego wieczoru schronili się przed mrozem w opuszczonym kościele, miejscowi przynieśli im gar ciepłej zupy pomidorowej. Wszystką tę zupę Niemcy wylali na śnieg.

W tak dramatycznej sytuacji obaj bracia myśleli o ucieczce i dotarłszy do obozu Hitlerjugend dla dziewcząt, umknęli w las. Pomoc znaleźli w jednym z kaszubskich domów, w którym ukrywali się przez dwa miesiące, a potem dotarli do rodziny mieszkającej w Łodzi. Stamtąd udali się do Krakowa, gdzie przebywali ich rodzice, organizujący schronisko dla uciekinierów wojennych z Warszawy. „Kiedy ojciec nas zobaczył, zaniemówił. Była wielka radość". Rozdzieleni przez wojnę, Pawiak i Stutthof znów byli razem. „Zawsze walczyłem o życie, bo warto żyć – konkluduje Marek. – Walczyłem o prawdę i dobre imię ludzi. [...] Moim obowiązkiem było mówić. I mówiłem. A moje słowa spotkały się ze zrozumieniem i szacunkiem". ■

Źródło: Sylwia Winnik, „Dzieci z Pawiaka", Kraków 2020.

eprasa.pl 4003efe9b0



Kwiatek z Góry Kościuszki

Marzena Szpakowska

„Oto masz kwiat z Góry Kościuszki. Góra ta – najwyższa na tym kontynencie – jest pierwszą górą Nowego Świata, która nosi imię Polaka. Myślę, że Ty będziesz pierwszą Polką, która będzie posiadała kwiat pochodzący z niej. Niech przypomina Ci o Wolności, Patriotyzmie i Miłości” – pisał do ukochanej Paweł Edmund Strzelecki, który przemierzając Australię, jako pierwszy Polak zdobył najwyższy szczyt tego kontynentu, nazywając go Górą Kościuszki.

Polskie ślady można znaleźć niemalże na całym świecie. W XIX i początkach XX wieku wielu naszych rodaków opuściło ojczyznę. Osiedlali się w miejscach odległych, często egzotycznych. Przyczyny emigracji bywały różne – czasem prozaicznie było to poszukiwanie lepszej pracy, zarobku, często też polityczne, czasem złamane serca albo ciekawość świata. Przez lata zapominani, a często specjalnie wykreślani z kart historii, dziś wracają do narodowej pamięci.

Rok podróżnika, odkrywcy i filantropa

Związki Polaków z Australią zawsze były żywe, wielu naszych rodaków osiadło na tym odległym kontynencie. Tamtejsza Polonia prężnie działa na rzecz zachowania dziedzictwa polskich przodków, przypomina też o rodakach zasłużonych w badaniach tego odległego, niezwykle ciekawego kontynentu. Paweł Edmund Strzelecki jest tym spośród australijskich rodaków, którego postać i zasługi odkrywają i przywracają naszej pamięci australijscy polonusi.

Pierwszy Polak w Australii Paweł Edmund Strzelecki uważany jest za jednego z najwybitniejszych polskich podróżników i geografów, jako nasz pierwszy rodak odbył w celach naukowych podróż dookoła świata. W latach 1834–1843 przemierzył poza Europą m.in. Amerykę Północną i Południową, Hawaje, Oceanię i Australię. W trakcie tych wypraw prowadził na zlecenie miejscowych władz wielotematyczne badania, m.in.: geograficzne, geologiczne, meteorologiczne, wulkanologiczne oraz etnograficzne i botaniczne.

„W 2023 roku przypada 150. rocznica śmierci Pawła Edmunda Strzeleckiego, wybitnego badacza, podróżnika, odkrywcy i filantropa, pierwszego Polaka, który okrążył indywidualnie kulę ziemską w celach naukowych. Nazwiskiem Pawła Edmunda Strzeleckiego zostało nazwanych wiele obiektów geograficznych w Australii, a on sam trwale wpisał się w jej historię” – czytamy w uchwale Sejmu z dnia 22 lipca 2022 roku, który ustanowił wielkiego podróżnika jednym z patronów roku 2023. Skąd pochodził, jaki był, co go ukształtowało? W zasadzie mało kto wie o Strzeleckim coś więcej niż to, że jako pierwszy zdobył najwyższy szczyt Australii, który nazwał Górą Kościuszki. Pomimo jego osiągnięć Paweł Edmund Strzelecki wiąż pozostaje postacią tajemniczą. Warto go przypominać bo był, obok Fryderyka Chopina i Mari Curie-Skłodowskiej, jednym z najbardziej znanych Polaków przełomu XIX i XX wieku.

Strzeleccy herbu Oksza

Paweł Edmund urodził się w rodzinie niezamożnego szlachcica Franciszka Strzeleckiego i Anny z Raczyńskich pochodzącej ze zubożałej gałęzi tego ziemiańskiego rodu. Był bliskim kuzynem znanej pisarki Narcyzy Żmichowskiej, która poświęciła mu jedną ze swoich książek – „O Pawle Ed-

fot. Wikipedia

eprasa.pl 4403efe9b0

mundzie Strzeleckim". Opisała w niej także dzieje rodziny matki Edmunda (podróżnik używał w zasadzie drugiego imienia), swojej babki i ich sześciu sióstr pozbawionych majątku przez potężnego i wpływowego kuzyna Kazimierza Raczyńskiego. Faktem jest, że rodzina Strzeleckich żyła skromnie, a on sam nigdy nie używał żadnego tytułu, choć zgodnie z rodzinną tradycją miał do niego prawo.

Przodkowie ojca Edmunda pochodzili prawdopodobnie ze wsi Strzelce Wielkie, będącej niegdyś własnością Mikołaja Wątróbki Strzeleckiego, leżącej w widłach Wisły i Sanu na Nizinie Sandomierskiej. Franciszek Strzelecki wychowany w duchu patriotycznym i wolnościowym brał udział w powstaniu kościuszkowskim. Dzieciom swoim przekazał idee narodowe, a przede wszystkim ogromny szacunek i podziw dla Tadeusza Kościuszki. Prawdopodobnie kult naczelnika, w jakim zostali wychowani młodzi Strzeleccy, spowodował, że Edmund zdobytą przez siebie najwyższą górę Australii nazwał jego imieniem. Zapewne też rodzice przekazali Edmundowi i jego rodzeństwu potrzebę wzajemnego szacunku i pomocy wszystkim, którzy znaleźli się w trudnej sytuacji. W przyszłości zaowocowało to filantropijną działalnością Edmunda i upominaniem się o prawa rdzennych mieszkańców ziem, które odwiedził. Wiadomo z jego nielicznych ocalałych listów, że w czasie swojej podróży po Australii niejednokrotnie bronił Aborygenów, swoich przewodników i towarzyszy. Zyskał za to ich szacunek i uznanie.

Wielkopolskie lata

Paweł Edmund urodził się 20 lipca 1797 roku w Głuszynie, podpoznańskiej wsi (dziś jest to dzielnica Poznania). Tam razem z rodzeństwem spędził wczesne dzieciństwo. Od zawsze interesowały go odległe lądy, marzył o dalekich podróżach, odkrywaniu świata, nieznanych ludów, zwierząt i roślin. Pochłaniał wspomnienia podróżników, uczył się języków... Był bardzo zdolnym uczniem, ale sytuacja rodziny nie dawała nadziei na rozwój podróżniczej pasji. W latach 1814–1817 Strzelecki przebywał w Krakowie, który w czasie jego pobytu należał do okupowanego już wówczas przez wojska rosyjskie Księstwa Warszawskiego, a po kongresie wiedeńskim od 1815 roku stał się, przynajmniej formalnie, niezależnym bytem zwanym Rzeczpospolitą Krakowską. Tam też odnalazł go starszy brat Piotr, który walczył w sprzymierzonej z Napoleonem armii księstwa i trafił do austriackiej niewoli, z której został zwolniony w 1817 roku. Bracia wrócili razem do Wielkopolski, do Skubarczewa, gdzie mieszkała ich siostra Izabela z mężem, Józefem Słupskim. Do Krakowa Edmund wrócił jeszcze w latach 20. XIX wieku, z tego pobytu zachował w pamięci Kopiec Kościuszki. Po powrocie w rodzinne strony, prawdopodobnie pod wpływem rodzeństwa, wstąpił do pruskiego 6. Pułku Ułanów, który opuścił po uzyskaniu stopnia oficerskiego.

Według rodzinnego przekazu rozpoczął studia geograficzne i geologiczne prawdopodobnie w Heidelbergu i Edynburgu, ale zrezygnował z nich po dwóch latach. Przez pewien czas pracował jako guwerner w domach bogatych ziemian wielkopolskich. Wtedy prawdopodobnie trafił do Objezierza, wówczas majtku Adama Turno, gdzie poznał jego córkę Aleksandrę zwaną przez bliskich Adyną. Ze wspomnień współczesnych wiadomo, że młody Strzelecki był niezwykle przystojny, elegancki i dowcipny. Nic więc dziwnego, że młodsza od niego o ponad 10 lat panna straciła dla niego głowę. Zresztą uczucie było odwzajemnione, bo Adyna po włoskich przodkach odziedziczyła niezwykłą urodę – kruczowłosa i ciemnooka, a przy tym inteligentna i oczytana oczarowało Edmunda. Niestety Adam Turno liczył, że wyda córkę za mąż za bogatego i wpływowego sąsiada Konstantego Sczanieckiego i podreperuje rodzinne finanse. Odrzucił więc oświadczyny „tego dandysa Strzeleckiego", jak go nazywał. Bardzo się pan Adam przeliczył. Edmund co prawda wyjechał, ale Adyna nigdy nie wyszła za mąż. Za to przez dziesięciolecia korespondowała z ukochanym, oboje wierzyli, że los w końcu okaże się dla nich łaskawy. Niestety tak się nie stało, spotkali się po wielu latach, ale oboje byli już innymi ludźmi, choć wzajemna sympatia przetrwała.

Uśmiech losu

Prawdopodobnie w tym czasie Edmund otrzymał należną mu część spadku po rodzicach. Miał więc fundusze na podróż po Europie. Opuścił rodzinną Wielkopolskę, co prawda ze złamanym sercem, ale z nadzieją na realizację marzeń o podróżach. Jego pierwszym celem była Europa Zachodnia. Zwiedził Austrię, Czechy, Szwajcarię, Dalmację i Włochy. To właśnie w Rzymie poznał magnata Franciszka Sapiehę. Ujęty jego energią i otwartością książę bardzo polubił Strzeleckiego i zaproponował mu stanowisko zarządcy klucza majątków Bychowiec pod Mohylewem. Edmund świetnie odnalazł się w nowej roli, a przyjaźń z księciem przetrwała aż do śmierci magnata. Sapieha dobrze mu płacił i pozostawił mu też w spadku znaczną kwotę, która pozwoliła na sfinansowanie późniejszych wypraw.

W 10 lat dookoła świata

W 1829 roku Strzelecki pożegnał swoją ukochaną Adynę i ostatecznie opuścił Polskę. Być może oboje myśleli, że gdy wróci, zdobywszy sławę i majątek, ojciec panny zgodzi się w końcu na małżeństwo. Pierwszym celem Edmunda była Francja, gdzie mieszkał w latach 1830–1831. Później przeniósł się do Anglii, gdzie mieszkał do 1834 roku, być może podjął wtedy przerwane wcześniej studia, ale nie ma potwierdzających to dokumentów. To właśnie z Anglii wyruszył w podróż, która zawiodła go aż na Antypody. Musiał już wówczas być człowiekiem majętnym, bo

eprasa.pl 4003efe9b0

finansował ją z własnych funduszy, prowadząc równocześnie różne badania geologiczne i geograficzne na zlecenie miejscowych władz. Jego pasja badawcza zaprowadziła go najpierw do Ameryki. Trasa jego podróży w latach 1834 –1838 wiodła przez Kanadę, Appalachy na Florydę, potem przez Meksyk, Kubę, Brazylię, Ekwador, Peru Urugwaj, Argentynę do Chile. Badał złoża surowców mineralnych (odkrył m.in. złoża rud miedzi nad jeziorem Ontario). Odbył wiele ciekawych wypraw w głąb lądu, głównie wzdłuż rzek Rio Grande, Parana i La Plata. Prowadził tam liczne badania, nie tylko geologiczne czy meteorologiczne, lecz także etnograficzne i archeologiczne, poznał kulturę Indian i zainteresował się ich życiem. W Ameryce odkrył swoją nową pasję – wulkanologię. Zaprowadziła go ona na Hawaje i wyspy Polinezji, gdzie zajął się badaniem tamtejszych wulkanów, jako pierwszy Europejczyk zbadał i opisał wnętrze krateru hawajskiego wulkanu Kiluea.

Przesyłam Ci kwiatek z góry Kościuszki

Australijska przygoda Strzeleckiego zaczęła się w 1839 roku, kiedy to opuścił ostatecznie Amerykę. Pierwszym etapem jego podróży była Nowa Zelandia, gdzie na zlecenie gubernatora prowadził badania geologiczne. Następnie dotarł do Sydney, stolicy Nowej Południowej Walii. Poznał gubernatora George'a Gippsa, który zlecił mu eksplorację wnętrza kraju. Przeszedł i zbadał najwyższe pasmo górskie Australii – Wielkie Góry Wododziałowe, wszedł też jako pierwszy na ich najwyższy szczyt znajdujący się w Górach Śnieżnych. Stanął na nim 12 marca 1840 roku. Nazwał go Górą Kościuszki na cześć przywódcy polskiego powstania z 1794 roku, w którym uczestniczył jego ojciec, ale też dlatego, że widok góry przypomniał mu widziany w młodości krakowski Kopiec Kościuszki. Odnalazł też złoża złota w okolicy Bathurst, ale na życzenie gubernatora nie ujawnił tego faktu. Warto zaznaczyć, że jako pierwszy odkrył je w 1823 roku James McBrien, któremu również nakazano zachowanie tego odkrycia w tajemnicy. Odkrył i opisał także rozległe tereny nazwane Gippsland na cześć wspomnianego już gubernatora Nowej Południowej Walii, dziś jest to główny region hodowli owiec, i dolinę Latrobe, gdzie znajdują się wielkie złoża węgla brunatnego, ropy naftowej i złota. W wyniku tych wypraw sporządził pierwszą dokładną mapę geologiczną Nowej Południowej Walii i Tasmanii. Przez cały ten czas pamiętał o swojej ukochanej Adynie – nie tylko regularnie do niej pisywał, zdając relację ze swoich podróży. Jeden z odkrytych przez siebie australijskich szczytów nazwał Mount Adine, ale nazwa się nie przyjęła i nie wiadomo dokładnie, o którą górę chodziło. Adynie także jako pierwszej w liście z Launcheston w Ziemi van Diemena wysłanym 1 sierpnia 1840 roku opisał zdobycie Góry Kościuszki i wysłał jej niezwykły prezent – papierowobiałe kwiatki, nieco podobne do stokrotek, zebrane na szczycie: „Oto masz kwiat z Góry Kościuszki. Góra ta – najwyższa na tym kontynencie – jest pierwszą górą Nowego Świata, która nosi imię Polaka. Myślę, że Ty będziesz pierwszą Polką, która będzie posiadała kwiat pochodzący z niej. Niech przypomina Ci o Wolności, Patriotyzmie i Miłości". Kwiatki owe, nazywane paper daisy przypominające polskie rumianki, to roślina należąca do rodziny Asteraceae, znane są jako australijskie nieśmiertelniki.

U schyłku życia

Kłopoty ze zdrowiem sprawiły, że w październiku 1843 roku powrócił do Europy i osiedlił się w Wielkiej Brytanii, przyjmując brytyjskie obywatelstwo. W 1845 roku ukazało się w Londynie pierwsze z jego dzieł – monumentalne opracowanie naukowe o Australii „Fizyczny opis Nowej Południowej Walii i Ziemi van Diemena". Przyniosło mu ogromne uznanie i Złoty Medal Royal Geographical Society. W 1853 roku został też członkiem The Royal Society of London.

Nie mogąc ze względu na zdrowie podróżować, znalazł nowe pole do działania. Został pełnomocnikiem, a potem dyrektorem wykonawczym Brytyjskiego Stowarzyszenia Pomocy, założonego przez grupę arystokratów, bankierów i filantropów, którego celem było niesienie pomocy potrzebującym w czasie wielkiego głodu w Irlandii. W przeciwieństwie do innych członków towarzystwa, skupił się na dożywianiu i niesieniu pomocy dzieciom. Zjednał sobie zarówno duchowieństwo protestanckie, jak i katolickie, które odtąd pomagać miały dzieciom niezależnie od ich wyznania. Nie szczędząc własnych pieniędzy, Strzelecki otwierał w Irlandii jadłodajnie, stołówki dla głodujących, ochronki dla sierot, propagował higienę osobistą. Szacuje się, że dzięki jego pracy udało się uratować około 200 tys. irlandzkich dzieci. Za te działania królowa Wiktoria uhonorowała go, jako jednego z pierwszych cywilów, Orderem Łaźni i tytułem Rycerza Komandora Orderu św. Michała i św. Jerzego oraz honorowym tytułem szlacheckim. Również za zasługi w ratowaniu potrzebujących został wpisany do panteonu bohaterów narodowych Irlandii.

Strzelecki zmarł w 1873 roku w Londynie na nowotwór wątroby. Nigdy się nie ożenił i nie miał dzieci, swój pokaźny majątek zapisał przyjacielowi, nieznanemu z imienia londyńskiemu bibliotekarzowi. Zobowiązał go do zniszczenia wszystkich swoich papierów. Wyraził też życzenie, aby spocząć w anonimowym grobie bez symboli religijnych. Pierwsze życzenie zostało wykonane skrupulatnie – dlatego tak niewiele wiadomo o losach rodziny i życiu prywatnym Strzeleckiego. Co do drugiego – został pochowany na cmentarzu anglikańskim w Kensal Green. W 1997 roku jego prochy sprowadzono do Polski i złożono w Krypcie Zasłużonych Wielkopolan w podziemiach kościoła św. Wojciecha w Poznaniu. ■

eprasa.pl 4003efe9b0

Piotr Lisiewicz

Istnienie Polski silnej, wolnej i demokratycznej było dla Europy skarbem, a jej upadek nieszczęściem. Gdyby europejskie mocarstwa kierowały się własnymi interesami, powinny bronić istnienia Polski, jako zapory dla rosyjskiej agresji. Niestety, przywódcy owych mocarstw prowadzili „jednodniową politykę", będąc niezdolnymi do obrony tychże interesów w dłuższej perspektywie. Gdy czytamy te słowa Tadeusza Romanowicza, powstańca styczniowego, lwowiaka, polskiego polityka i publicysty, zaczynamy myśleć o Polsce roku 2023 i jej roli w obronie Ukrainy. A także o śmiertelnym zagrożeniu zarówno dla Ukrainy, jak i dla Polski oraz długofalowo dla Europy, jakim byłoby przejęcie władzy w Polsce przez lobby rosyjsko-niemieckie. Pisze Romanowicz: „W tej zaborczej polityce caratu upadek Polski był najważniejszym krokiem naprzód". Obyśmy pamiętali o tym, by nie zostać najgłupszym pokoleniem w historii Polski, które zrzekło się niepodległości kartką wyborczą.

Tadeusz Romanowicz

Sprawa polska a sprawa wschodnia

Rozbiór Polski był wypadkiem, który w następstwach swych interesom cywilizacyjnym ludów europejskich ciężko zagraża i już im do tej pory liczne zadał klęski. Nastąpił on właśnie w chwili, kiedy Polska przyjęła system, dzisiaj w całej Europie stanowczo biorący górę – system uporządkowanej, w ład konstytucyjny ujętej wolności, kiedy daleka od krwawych socjalnych wybuchów, wchodziła jednak na drogę społecznych reform, duchem sprawiedliwości natchnionych (...). Taka Polska dawała rękojmię zupełną interesom z jednej strony wolności i postępu, z drugiej ładu społecznego – a tylko w pogodzeniu obu tych interesów tkwi ziarno prawdziwie cywilizacyjnego rozwoju.

Jeżeliby polityką mocarstw europejskich kierowały interesy ludów i jasny pogląd na cywilizacyjne ich potrzeby – dawno by już Moskwa była za Dniepr wypartą, a wolna, cywilizacyjna Polska stałaby nieprzebytym murem między caratem a krajami testamentem Piotra W. na łup mu wskazanymi. Jeżeliby i dzisiaj mocarstwa nie prowadziły jednodniowej polityki, ale miały wzrok ku dalszej nieco przyszłości zwrócony, już by po podniesieniu się kwestii wschodniej w takich rozmiarach, jakie ona dzisiaj przybrała, sprawa polska w całym swym rozległym znaczeniu stać powinna na porządku dziennym.

Azjatycki despotyzm, anarchiczny nihilizm

Rozbiór Polski był wypadkiem, który w następstwach swych interesom cywilizacyjnym ludów europejskich ciężko zagraża i już im do tej pory liczne zadał klęski. Nastąpił on właśnie w chwili, kiedy

eprasa.pl 4003efe9b0

Polska przyjęła system, dzisiaj w całej Europie stanowczo biorący górę – system uporządkowanej, w ład konstytucyjny ujętej wolności, kiedy daleka od krwawych socjalnych wybuchów, wchodziła jednak na drogę społecznych reform, duchem sprawiedliwości natchnionych. Taka Polska nie była i być nie mogła groźną dla sprawy spokojnego w duchu wolności rozwoju, bo nie przedstawiała ani żywiołu despotycznego, ani też żywiołu anarchicznego – a cokolwiek z dawnego anarchicznego u nas ducha jeszcze pozostało, byłaby wypleniła zupełnie ustawa z 3 maja i tak świetnie ku wzorowi i przykładowi Europie całej podjęta reforma edukacyjna, gdyby nie rozbiory, które i konstytucji, i reformie tej nie dały wejść w życie i rozwijać się według genialnych pomysłów ich twórców. Taka Polska dawała rękojmię zupełną interesom z jednej strony wolności i postępu, z drugiej ładu społecznego – a tylko w pogodzeniu obu tych interesów tkwi ziarno prawdziwie cywilizacyjnego rozwoju.

Zamiast tej Polski, dzieło rozbioru postawiło Moskwę, carat bowiem zagarnął największe i najważniejsze części byłej Rzeczypospolitej. Najważniejsze – powiadamy – bo się w nich mieści serce narodu, Warszawa, bo prócz tego obejmują one prawe porzecze Dniepru, którego znaczenie w politycznych i ekonomicznych stosunkach europejskiego Wschodu jest tak doniosłym, że słusznie już Maurycy Mochnacki uważał je jako klucz do kwestii wschodniej.

Otóż ta Moskwa, która w miejsce Polski weszła w systemat państw europejskich, przedstawia kierunki i żywioły wręcz przeciwne tym, jakie wyrażała i wyraża po dziś dzień Polska, przeciwne cywilizacyjnym potrzebom europejskich ludów. Ilekroć z ust Polaka padnie słowo o „barbarzyństwie" Moskwy – spotyka nas zarzut, że sąd ten o caracie jest niesprawiedliwym, bo go namiętna dyktuje nienawiść. Ależ ta część opinii publicznej zagranicą, która zdanie nasze o Moskwie stronniczym i niesprawiedliwym nazywa, nie zna Moskwy tak, jak my ją znamy i oby jej nigdy nie poznała tym samym, co my sposobem. Zagranica zna Moskwę i sądzi po tych „poddanych" cara, którzy jako podróżnicy dają się Europie poznać, przybierając wszelkie pozory cywilizacyjne. Trzeba jednak samemu być pod władztwem Moskwy, żyć pod jej prawami, a co więcej, pod jej czynownikami, trzeba poznać tę Moskwę na polu bitwy, w urzędzie, w sądzie, w szkole, w życiu ekonomicznym i towarzyskim, trzeba samemu poznać ten systemat polityczny, którego podstawą jest knut i katorga – religijny, opierający się na papiestwie cara – administracyjny i sądowy, oparty na samowoli i przekupstwie czynowników – ekonomiczny, oparty na ździerstwie – ten systemat szkolny, który przyjąwszy pozory europejskie, jest stanowczo wrogim swobodnemu rozwojowi myśli ludzkiej – trzeba to wszystko samemu znać i doświadczyć, ażeby orzec, o ile sąd nasz o barbarzyństwie Moskwy jest lub nie jest stronniczym! Ale dla tych, którzy Moskwy tak nie poznali, jak Polacy poznać ją byli zmuszeni, powinien wystarczyć ten jeden fakt – powszechnie uznany: w Moskwie interesy porządku i ładu wyrażają się azjatyckim despotyzmem – interesy postępu anarchicznym nihilizmem. Społeczeństwo, w którym między tymi dwiema strasznymi skrajnościami nie ma żadnego środkowego kierunku, które musi albo niewolniczo drżeć przed knutem, albo rozpaść się w anarchii nie uznającej i nie szanującej ni rządu żadnego, ni własności, ni rodziny, ni religii – społeczeństwo takie nie może być inaczej nazwane, tylko barbarzyńskim.

▶ Ciężka klęska dla sprawy wolności i postępu w Europie

Skruszenie więc tej tarczy ochronnej, jaką dla interesów cywilizacyjnych Europy była na wschodzie Polska, a wprowadzenie w jej miejsce państwa, którego systemem politycznym jest „despotyzm umiarkowany królobójstwem" – było ciężką klęską dla sprawy wolności i postępu w Europie. Od tego czasu wszelkie w Europie wsteczne dążenia, wrogie swobodnemu rodów rozwojowi, znajdowały w Moskwie potężne poparcie i obronę – wszelkie gwałtowne reakcje, które później z konieczności wywoływały krwawe rewolucyjne wybuchy, opierały się o gabinet Carskiego Sioła. I im bardziej państwa europejskie przyjmują systemat, tak zgodny z tym, jaki przyjmowała Polska w czasie rozbiorów, a wręcz przeciwny systemowi, na jakim opiera się Moskwa, tym bardziej panowanie caratu w Polsce staje się anomalią, z interesami cywilizacji europejskiej niezgodną. Tę anomalię utrzymywały gabinety wtedy, kiedy zdawało im się, że porządek a despotyzm to jedno i to samo – że zaś utrzymują ją dzisiaj jeszcze, kiedy opierają się nie na systemie despotycznym, lecz konstytucyjnym, jest to zaprzeczeniem własnej swej podstawy bytu, jest plamą ciążącą na konstytucyjnych państwach Europy, jest ciężkim grzechem przeciw sobie samemu. Grzech ten tym bardziej musi się pomścić, że między Polską a Moskwą, którą na jej miejscu postawiono, zachodzi druga jeszcze, zasadnicza różnica. Polska nie przedstawia kierunku zaborczego. Moskwa z natury swej, z powstania samego, z charakteru swych rządów była i być musi zaborcza. I w tej też zaborczości caratu, której na dzisiaj głównym narzędziem jest „idea" panslawistycz-

eprasa.pl 4003efe9b0

na – tkwi właściwy rdzeń kwestii wschodniej, i wielkie dla Europy niebezpieczeństwo.

System rządu, charakter narodu, jaki pod bizantyńskimi rządami carów koniecznie wyrobić się musiał, cała wreszcie dziejowa tradycja caratu, od chwili powstania jego aż do dzisiejszego kolosalnego rozrostu – to wszystko nadaje Moskwie charakter państwa zaborczego. Była nim przez cały czas swego istnienia, jest nim i dzisiaj, i pozostanie póty, póki odbudowana Polska nie stanie w poprzek dalszym zaborom, a ciężka jakaś klęska nie wstrząśnie do gruntu całym państwem i systemem jego rządowym. Jak każde państwo despotyczne, tak też i carat musi być zaborczym póty, póki mu nim być pozwolą. Gdyby dziś zatrzymał się stanowczo na tej drodze i przez dłuższy przeciąg czasu w zaborach swych ustał – straciłby system rządowy caratu całą swą rację bytu. Niewolnik począłby naprawdę rozmyślać nad ciężką swą dolą. A czymże wtedy odwrócić uwagę jego od tych dla cara tak niebezpiecznych rozmyślań? Czym zająć jego wyobraźnię? Czym narodowej dumie tak pochlebić, by car jako reprezentant narodowej wielkości i chwały pozostał zawsze przedmiotem czci i bojaźni? Jak utrzymać w niewolniku wiarę w potęgę rządu, gdy się ta potęga żadną na zewnątrz zdobyczą nie objawi? Carat złożonym jest, jak powiedział Mochnacki, z dwóch tylko pierwiastków: z siły fizycznej i z tego, co sile ruch nadaje. Gdy się tej sile nie nada odpływu na zewnątrz, zwrócić się musi na wewnątrz, przeciw temu, kto ją dotąd w ręku dzierżył.

W tej zaborczej polityce caratu upadek Polski był najważniejszym krokiem naprzód. Dając w ręce Moskwy całe prawe porzecze Dniepru, o którego znaczeniu mówiliśmy poprzednio, otworzył upadek Polski caratowi drogę do zaborów na południowym wschodzie Europy i w tym kierunku zwrócił zaborczą jego politykę. [...]

I nie jest czczym postrachem, co się w Polsce mówi o światowładczych zamysłach Moskwy. Wyobraźmy sobie jej potęgę po dokonanym zaborze Turcji, po zagarnięciu słowiańskich prowincji Austrii – wyobraźmy sobie, że obok regularnej swej armii wyprowadzić może w pole całe hordy azjatyckie, zagrzane żądzą łupów, które rozlałyby się niszczącym strumieniem na kraje dawnej kultury, a samą masą swoją stałyby się strasznymi – wyobraźmy sobie, że tej akcji lądowej towarzyszyć może akcja morska na bardzo wielką skalę – a podniesienie myśli światowładztwa przez tak spotęgowany carat nie wyda nam się płodem bujnej tylko wyobraźni podsyconej nienawiścią i bojaźnią, jak nam nieraz zarzucano. Prawda, że jest to rzeczą dość dalekiej przyszłości – ale polityka, która się z dalszą przyszłością nie liczy, staje się chyba swawolną igraszką i zamienia w system owo tak wygodne dla rządzących, ale dla państw tak niebezpieczne: après nous le dèluge!

Bez Polski nie ma wolnej Europy

Przeciw tym niebezpieczeństwom, jakie z zaborczej polityki caratu zagrażają Europie – nie masz innego środka prócz postawienia Polski, czy to zupełnie niepodległej, czy też węzłem unii osobistej związanej z Austrią. Tylko rozbiór Polski nadał wewnętrznym walkom na bałkańskim półwyspie charakter tak groźny dla interesów europejskich – tylko rozbiór Polski otworzył polityce moskiewskiej tak rozległe widoki na południowym wschodzie Europy. Tylko jej restauracja może caratowi zagrodzić drogę dalszego pochodu w tym kierunku, usunąć wszelkie niebezpieczeństwa, załatwić radykalnie wschodnią sprawę. Jeżeli u wrót bałkańskiego półwyspu nie będzie stać zaborczy carat z rządem despotycznym, lecz pokojowa Polska z systemem konstytucyjnym – jeżeli prawe Dniepru porzecze zamkniętym będzie dla Moskwy – jeżeli cały kawał brzegów Czarnego morza spod jej rąk się wymknie: wtedy ani zupełne rozpadnięcie się Turcji na kilka państewek, które nie mogłyby mieć siły ekspansywnej, gdyby nie czuły za sobą takiej jak Moskwa potęgi, ani też rozszerzenie dzisiaj istniejących księstw hołdowniczych nie przedstawia żadnego dla Europy niebezpieczeństwa. Ale bez Polski – tak jedno, jak i drugie, jak nawet i samo nadanie południowym Słowianom jakiejś szerokiej autonomii, jeżeli by było skutkiem dzisiejszych przez Moskwę podnieconych i popieranych walk, byłoby wielce niebezpiecznym, bo potęgując wpływ i znaczenie caratu, stałoby się dla niego nową stacją na drodze zaborów w Europie. Bez Polski sprawdzić się musi druga część przepowiedni Napoleona: do stu lat Europa republikańską będzie albo kozacką.

Interes zatem cywilizacji i wolności europejskiej, interes państwowy mocarstw nie dopuszcza innego kwestii wschodniej rozwiązania, jeno przez odbudowanie Polski. Nie mamy wielkiej wiary, by już dzisiaj Europa ten interes tak zrozumiała i odczuła, żeby się chciała chwycić tego jedynie dla niej zbawczego środka i przywróciła przez to prawdziwą równowagę europejską, rozbiorem Polski zniweczoną. Ale jeżeli dzisiaj tego nie zrozumie i półśrodkami zechce teraźniejsze złagodzić zawikłania – to kwestia wschodnia znowu po jakimś czasie groźniej niż dzisiaj się podniesie. I oby wtedy nie było już za późno! ■

Tekst pochodzi z broszury Tadeusza Romanowicza „Sprawa polska a sprawa wschodnia", która ukazała się we Lwowie w 1876 roku.

Śródtytuły pochodzą od redakcji „NP".

eprasa.pl 4003efe9b0

Marek Kalinowski

Cud w Newport

Powrót Joni Mitchell na festiwal w Newport był ogromnym zaskoczeniem. Piosenkarka otoczona solidnym wsparciem dużo młodszych muzyków dała tamtego dnia fantastyczny występ. Zapis ubiegłorocznego koncertu ukazał się wreszcie na płycie. Od kapitalnej zabawy przy „Big Yellow Taxi" aż po łzy wzruszeń w „Both Sides Now" – warto doświadczyć tych niezapomnianych emocji.

Choć miesiące wakacyjne zazwyczaj nie należą do szczególnie obfitych w nowe wydawnictwa, to w tym roku nikt raczej nie mógł narzekać. Lato było bardzo udane pod względem koncertowym. I to nie tylko ze względu na liczne wydarzenia i festiwale, lecz także dzięki znakomitym zapisom koncertów, które w ostatnich tygodniach miały swoją premierę. Wśród nich znalazły się dwie szczególnie ważne płyty – Boba Dylana „Shadow Kingdom" oraz Joni Mitchell „At Newport". Wspominam o tych dwóch albumach, bo pod wieloma względami wydają się podobne. Dylan i Mitchell, dwie muzyczne legendy XX wieku, w zasadzie niemal rówieśnicy, u schyłku kariery wracają do swoich pierwszych piosenek, by zmierzyć się z nimi jeszcze raz.



Joni Mitchell, AT NEWPORT – FEATURING THE JONI JAM, Rhino Records

Bob Dylan, mimo sędziwego już wieku, zachował regularność w dostarczaniu słuchaczom kolejnych płyt, jeśli nawet nie nowych nagrań, to przynajmniej archiwalnych bootlegów. Występ Joni Mitchell, który miał miejsce na Newport Festival w ubiegłym roku, był zaś ogromnym zaskoczeniem. Artystka od wielu lat zmagała się z chorobami, a wykryty w 2015 roku tętniak mózgu wyłączył ją z jakiejkolwiek działalności artystycznej. Nie tylko więc publiczność, ale nawet organizatorzy nie mogli być więc do końca pewni, czy Mitchell w ogóle pojawi się na scenie i w jakim zakresie weźmie udział w koncercie.

Udało się, otoczona solidnym wsparciem dużo młodszych muzyków – przyjaciół, którzy pomogli jej po latach choroby wrócić do muzyki, dała tego dnia fenomenalny koncert. Nie byłoby to możliwe, gdyby nie Brandi Carlile, organizatorka całego przedsięwzięcia i zarazem druga bohaterka koncertu w Newport. Duet ten nie tylko uzupełniał się znakomicie, Carlie służyła przede wszystkim pomocą zwłaszcza tam, gdzie niski, zmęczony, choć jakże niezwykły głos Mitchell nie daje już zwyczajnie rady. Słychać doskonale, że dla młodych muzyków wspólne jam session z legendą było spełnieniem marzeń. Łatwo więc wybaczyć fakt, że momentami, w porywie radości nie dają dojść do głosu mistrzyni.

Jeśli cokolwiek irytuje to fakt, że wydawca zdecydował się na „grzebanie" przy chronologii koncertu. Kolejność utworów jest pozmieniana, wycięto również kilka coverów, zostawiając jedynie, znakomite skądinąd, „Summertime" Gershwinów. Niszczy to oczywiście dynamikę koncertu, zamykając słuchaczowi drogę do pełnego uczestnictwa i dzielenia tych samych emocji, których mogła doświadczyć publiczność.

Emocje zaś sięgają zenitu – od kapitalnej zabawy rytmem „Big Yellow Taxi", chóralne „Circle Game", aż po wzruszające „Both Sides Now", w trakcie którego nie tylko Carlile nie może powstrzymać łez. W piosenkach Mitchell nie ma grama żalu, poczucia jakiejkolwiek starty. Jest za to czysta radość grania, którą piosenkarka wyraża ujmującym śmiechem i niezwykłym entuzjazmem. Łatwo się o tym przekonać w instrumentalnym fragmencie „Like Just This Train", gdy Mitchell sięga po gitarę. Emocje tego niezwykłego koncertu zostają naprawdę na długo. ■

eprasa.pl 4003efe9b0



Karl Heinz Roth, Hartmut Rübner, „Wyparte, odroczone, odrzucone. Niemiecki dług reparacyjny wobec Polski i Europy", Wydawnictwo Zysk i S-ka, Poznań 2023

Krzysztof Wołodźko



ZBRODNIARZE, POLITYCY I BIUROKRACI. PROBLEM NIEMIECKICH REPARACJI

Karl Heinz Roth i Hartmut Rübner napisali książkę przerażającą. I bez najmniejszej taryfy ulgowej dla Niemiec i Niemców. „Wyparte, odroczone, odrzucone. Niemiecki dług reparacyjny wobec Polski i Europy" czyta się ze ściśniętym gardłem. Z każdym rozdziałem narasta poczucie, że w sprawach reparacji Polska była dotąd manipulowana przez własnego kata sprzed dekad. Roth i Rübner pokazują nie tylko skalę niemieckich dewastacji w Polsce, lecz także mechanizmy manipulacji, które pomogły Berlinowi wyłgać się od naprawdę znaczących odszkodowań.

eprasa.pl 4003efe9b0

Słowo o autorach. Karl Heinz Roth (rocznik 1942) jest doktorem filozofii i medycyny, współzałożycielem Fundacji Historii Społecznej XX wieku. Roth jest autorem wielu książek i publikacji na temat historii społecznej, gospodarczej, medycznej i naukowej XX wieku oraz metodologii badań historycznych. Z kolei Hartmut Rübner (rocznik 1960) to doktor filozofii i politolog. Pracuje w redakcji „Sozial. Geschichte Online" oraz w Fundacji Historii Społecznej XX wieku. Rübner tworzy publikacje na temat historii społecznej i gospodarczej Republiki Weimarskiej, dyktatury nazistowskiej oraz historii nowych ruchów społecznych.

Niemiecka polityka historyczna i antyreparacyjna narracja

W przedmowie do polskiego wydania książki Roth pisze bez ogródek: „Uważam za niezbędne, by Niemcy ze względu na swe przerażające hipoteki historyczne pospieszyły ze świadczeniami w znacznej wysokości. Pierwszy gest mógłby polegać na przyznaniu odpowiedniej renty żyjącym dziś jeszcze ok. 35–40 tysiącom ofiar niemieckiego terroru okupacyjnego oraz przekazaniu samorządom, których to dotyczy, hojnie dotowanego funduszu, który mogłyby one przeznaczyć na – realizowany przez nie w sposób zupełnie samodzielny – kształt swoich miejsc pamięci". I choć to drugie może wydawać się mniej istotne, Roth tłumaczy swój zamysł: antyreparacyjną narrację w Niemczech zbudowano na podporządkowanej Berlinowi polityce historycznej. Stosunki polsko-niemieckie – pisze autor – należy wreszcie oprzeć na równoprawnej świadomości historycznej. Dodajmy, że to samo dotyczy właściwie polskiej polityki historycznej: w liberalno-lewicowym wydaniu jest ona w zasadzie polityką dziejowej amnezji i kompradorskiego podporządkowania. Książka Rotha i Rübnera jest pracą popularnonaukową. Napisaną z niemiecką skrupulatnością, ale na przekór tamtejszym paradygmatom ideowo-politycznym. Autorzy na wstępie przypominają, że narodowosocjalistyczne kierownictwo Niemiec wpajało Wehrmachtowi i SS wolę eksterminacji wszelkiej polskości: „Polska była pierwszym krajem, który Niemcy zamierzali unicestwić jako państwo i naród. (...) usiłowali urzeczywistnić ten zamiar od razu i ze skrajną brutalnością". Polska była dla Niemiec laboratorium władzy okupacyjnej: zarówno jeśli chodzi o szeroko rozumiane kulturowe wynarodawianie, rozbicie spójności terytorialnej, dewastację gospodarki narodowej, jak i biologiczną ruinę narodu. Niemiecki pomysł na Polskę – piszą Roth i Rübner – zakładał wymordowanie od 80 do 85 proc. wszystkich Polaków i Polek: 16–20 mln ludzi. I dodają: „Nie powinniśmy nigdy zapominać, że Niemcy – jeśli dokonać bilansu ich okupacyjnej władzy – zrealizowali jedną trzecią tego »ostatecznego celu«".

Niemiecki plan: totalne unicestwienie Polski i Polaków

Pozwolę sobie na dłuższy cytat: „W tym celu miały zostać unicestwione [polskie – red.] warstwy przywódcze, inteligencja i elity funkcyjne. Oświata i polska kultura miały zniknąć. Pozostać miała zdemoralizowana, niezdolna do oporu warstwa helotów, stojąca do dyspozycji Niemców jako uległy i apatyczny rezerwuar mobilnych robotników. Jednocześnie niemieckie granice miały zostać przesunięte na wschód, i to daleko poza terytoria, które po zakończeniu pierwszej wojny światowej Niemcy musiały oddać nowo utworzonej Rzeczypospolitej Polskiej. Aby uczynić ten proces nieodwracalnym, miała nastąpić radykalna »germanizacja ziemi«: wszyscy Polacy – nie tylko ci narodowości żydowskiej – mieli zostać wywłaszczeni i wypędzeni, aby zrobić miejsce mniejszości niemieckiej oraz dodatkowo podlegającym osiedleniu Niemcom z Rzeszy i z zagranicy. Tych niespełna dziewięć milionów ludzi miało zająć terytorium położone w środkowej Polsce, »plac rozładunkowy« i »śmietnisko«, które miałoby w przyszłości funkcjonować jako rezerwat taniej pracy mobilnej".

Niemcy, czyli Polska w ruinie

Zanim przystąpię do omawiania kwestii reparacji, warto zwrócić uwagę na jeden z ciekawszych fragmentów książki Rotha i Rübnera: eksploatacja i rujnowanie polskiej gospodarki narodowej. W potocznym rozumieniu coraz częściej sprowadza się to do niewolniczej/przymusowej pracy Polek i Polaków w Niemczech i Austrii Adolfa Hitlera. Niszczenie przemysłu i rabunkowy wywóz fabryk częściej kojarzymy z działalnością Sowietów od 1944 roku. Roth i Rübner wskazują jednak, że proces ten sięgał głębiej: chodzi o rujnowanie podstaw produkcji i maksymalizację wyciskanych z kurczącej się gospodarki narodowej dostaw z bieżącej produkcji.

Niemcy drenowali wszelkie surowce, zapasy, półfabrykaty, maszyny i urządzenia przemysłowe, które zagrabili po 1 września 1939 roku na potrzeby swojej wojennej machiny. Skala zjawiska była tak duża, że utrudniało to nawet dyslokację wojsk niemieckich – ze względu na zdecydowany spadek mocy produkcyjnych w zakresie napraw i konserwacji. Tylko w ciągu kilku pierwszych miesięcy wojny Niemcy wywieźli z Polski łupy przemysłowe o wartości 750 mln przedwojennych złotych. Szkody wojenne szacowano zaś na

eprasa.pl 4003efe9b0

500 mln złotych! To wówczas zaczęła rosnąć potęga powstałego nieco ponad dekadę wcześniej przedsiębiorstwa I.G. Farben – spółka „nabyła" polskie kopalnie węgla i jedną elektrownię. Odwdzięczyła się za to niemieckim władzom, oddając środki na budowę „potężnego kombinatu chemicznego w Oświęcimiu".

▶ Skazani na śmierć głodową

Równolegle trwało wywłaszczenie Polaków na tzw. ziemiach zaanektowanych. Niemcy okradali nas zarówno z obiektów przemysłowych, zakładów rzemieślniczych, papierów wartościowych, jak i gospodarstw rolnych: „Kiedy na początku 1942 roku fala wywłaszczeń [...] opadła, skonfiskowano ponad 897 tysięcy gospodarstw rolnych o łącznej powierzchni 8,1 miliona hektarów. Polscy rolnicy, którzy pozostali na ziemiach zaanektowanych, zostali zepchnięci na nierentowne działki, które jednak do 1944 roku również zostały w znacznej mierze skomasowane i »zgermanizowane«". Rósł też wyzysk polskich pracowników, którzy pozostali na ziemiach podbitych przez Niemcy: Polacy byli stopniowo spychani do prac wymagających najniższych kwalifikacji i najwyższego wysiłku fizycznego. Do tego doszła polityka żywieniowa i głodowa, która narastała stopniowo po 1 września 1939 roku.

W czasie najazdu Niemiec na Sowiety „eksperci od wyżywienia z niemieckiego ośrodka władzy planowali od wiosny 1941 roku skazanie na śmierć głodową kilkunastu milionów ludzi. [...] Ponieważ sytuacja żywieniowa na terytorium Rzeszy wciąż się pogarszała, spojrzenie niemieckich planistów ds. wyżywienia padało coraz częściej na okupowaną Polskę. Generalne Gubernatorstwo samo stało się już jednak »regionem głodu«". W GG najmocniej rozwinął się sektor nielegalnej produkcji i dystrybucji żywności, który rósł z roku na rok, aż osiągnął aż 40 proc. łącznych wyników gospodarczych. Ale to, co dziś kojarzymy z zabawnymi scenami z „Zakazanych piosenek", niemieccy autorzy nazywają „życiem na niby": poszukiwaniem wyjścia w obliczu tragicznego wyboru: śmierci głodowej lub deportacji do przymusowej pracy.

▶ „Zwykli Niemcy" i unicestwianie Polski

Roth i Rübner zwracają przy okazji uwagę na ważną rzecz. Nie tylko zaprzysięgli wrogowie uważali podbitą Polskę za „ziemię niczyją", z którą będzie można robić, co się zechce, po unicestwieniu niepożądanego „elementu biologiczno-kulturowego". To była wizja technokratów: ekonomistów demograficznych, agronomów, ekspertów w dziedzinie zagospodarowania przestrzennego. Architekci krajobrazu i urbaniści uważali, że Polska jest po prostu „ziemią niczyją": „nie musieli liczyć się z jej ludnością ani z jej uwarunkowaniami społeczno-gospodarczymi". Nie tylko wspierali SS fachową wiedzą – choćby w tworzeniu gett – lecz także byli „osobiście związani ze sztabami SS": „bezkonfliktowo współpracowali z nimi na konkretnych płaszczyznach planowania przestrzennego i urbanistyki, gdzie potrzebna była fachowa wiedza naukowo-techniczna".

To ważny wątek, bo w innym świetle pokazuje rozmywającą się coraz bardziej – także wskutek świadomych zabiegów niemieckich władz – odpowiedzialność ówczesnych „zwykłych Niemców" za zbrodnie na obywatelach i obywatelkach II Rzeczypospolitej. To nie jest nawet odpowiedzialność zbiorowa, ale indywidualna odpowiedzialność tych wszystkich Niemców, którzy byli beneficjentami zmian dokonujących się kosztem unicestwienia sąsiedniego państwa i narodu. Niemiecka odpowiedzialność wobec Polski nie ma zatem wyłącznie charakteru formalnej relacji między państwami, jest odpowiedzialnością jednego narodu wobec drugiego. Odpowiedzialnością coraz bardziej wypieraną – również za cichym przyzwoleniem części współczesnego polskiego społeczeństwa.

▶ Niemcy i reparacja – sztuka uników

W kolejnych rozdziałach „Wyparte, odroczone, odrzucone" Roth i Rübner omawiają politykę aliantów wobec reparacji, sytuację Polski jako kraju położonego we wschodniej części strefy reparacji, politykę zachodnioniemieckich elit władzy w sprawie reparacji do końca lat 80. XX wieku, problem reparacji w momencie zjednoczenia Niemiec i pojawienie się tzw. dobrowolnych funduszy pomocy w celu odpierania roszczeń o odszkodowania, pojawienie się nowych konfliktów o reparacje w Grecji w Polsce, pytanie o wielkość długu reparacyjnego i dotychczasowe niemieckie świadczenia reparacyjne, argumenty za umową w sprawie reparacji jako uzupełnienie niemieckiego traktatu zjednoczeniowego. Drugą, nie mniej obszerną część książki stanowi przygotowana przez Hartmuta Rübnera dokumentacja na temat stosunku Republiki Federalnej Niemiec do polskich roszczeń odszkodowawczych (1970–1990).

Przyjrzyjmy się sytuacji od czasu zjednoczenia Niemiec. W 1990 roku miała miejsce konferencja dwa plus cztery – seria spotkań przedstawicieli dwóch państw niemieckich (RFN i NRD) oraz Francji, USA, Wielkiej Brytanii i Sowietów. Niemcy manewrowali na tyle sprytnie, że właściwie udało im się wykluczyć kwestię reparacji z głównego nurtu obrad. Miało to szczególne konsekwencje dla Polski. Roth i Rübner przypominają, że kanclerz Niemiec Helmut Kohl w marcu 1990 roku jawnie przyznał, że wykorzystał kwestię uznania linii Odry jako polskiej granicy zachodniej do wymuszenia na Polsce ostatecznego zrzeczenia się reparacji oraz sze-

eprasa.pl 4003efe9b0

rokich ustępstw wobec zamieszkałej w Polsce mniejszości niemieckiej. To się nie spodobało w Warszawie. Ale dopiero ingerencja USA spowodowała wycofanie się Niemiec z oficjalnego podkreślania takiej zależności. Niemcy jednak nie zostali oficjalnie zmuszeni do uznania konieczności reparacji.

▶ „Jest za wcześnie na reparacje". „Jest za późno na reparacje"

Miało to daleko idące konsekwencje: „po zakończeniu procesu dwa plus cztery niemiecka biurokracja zajmująca się reparacjami powróciła do codziennej rutyny. W jej zasadniczej postawie nic się nie zmieniło, a zmianie uległy tylko uzasadnienia. O ile dotychczas odrzucała uniwersalne żądania odszkodowań, używając argumentu, że jest na to za wcześnie, o tyle teraz deklarowała, że jest już na to za późno. W ten sposób problem reparacji przeistoczył się w niezałatwioną sprawę, która otwierała furtkę dla minimalnych rozwiązań w celu »humanitarnego« łagodzenia »najtrudniejszych« sytuacji". Szczególnie wymownie i bulwersująco brzmią dalsze konkluzje autorów „Wyparte, odroczone, odrzucone": „Władza decyzyjna należała zaś jak dotychczas do dłużników reparacji. To oni zastrzegali sobie prawo do uzależnienia skali przyznawanych przez nich ex gratia transferów siły nabywczej od politycznego prestiżu poszczególnych wnioskodawców oraz od interesów Niemiec w polityce zagranicznej". I jeszcze: w kwestii indywidualnych roszczeń odszkodowawczych niemieccy „decydenci mieli z przyczyn mentalnościowych negatywny stosunek do wnioskodawców i realizowali rygorystyczną koncepcję minimalizacji kosztów". Roth i Rübner mówią wprost: Niemcy dzielili osoby ubiegające się o odszkodowania „na godne szacunku i mało istotne ofiary nazizmu, które poddawano szczegółowemu sortowaniu przez biegłych". Ludzie, którzy uszli z życiem niemieckiej machinie eksterminacji, po dekadach byli stawiani w sytuacji niewygodnych i niewiarygodnych petentów przez dzieci i wnuki zbrodniarzy.

Dodajmy, że ex gratia znaczy po łacinie tyle, co z życzliwości, w prawie jednak odnosi się do sytuacji spełnienia przez ubezpieczyciela świadczenia ubezpieczeniowego, kiedy nie ma on pewności co do odpowiedzialności za szkodę. Wypłata tego rodzaju dokonywana jest dla uniknięcia kosztów procesu sądowego oraz strat wizerunkowych związanych z odmową wypłaty świadczenia, a później ewentualnie przegranym procesem. To naprawdę wiele mówi o reparacyjnej strategii Berlina – szczególnie wobec krajów tak dotkniętych groźbą całkowitego unicestwienia przez Niemcy jak Polska. Tak zwane niemiecko-niemieckie świadczenia reparacyjne w wysokości 200 mld marek niemieckich, na które chętnie powoływali się Niemcy w początkach zjednoczenia, pokryły tylko drobną część reparacyjnych hipotek związanych z polityką niemieckiej grabieży i eksterminacji w czasie II wojny światowej.

▶ Niemieckie przekłamania ws. sprawie reparacji

Roth i Rübner przypominają – wbrew tezie chętnie powtarzanej nie tylko w Niemczech, lecz także przez część środowisk medialno-politycznych w Polsce – że deklaracje Polski i Sowietów z 1953 roku o zrzeczeniu się reparacji odnosiły się konkretnie tylko do NRD i nabrały mocy tylko w NRD. Niemieccy autorzy podkreślają, że dodatkowo była w tych dokumentach mowa o zrzeczeniu się odszkodowań wobec Niemiec jako całości, ale „stanowiło to jednak tylko niewiążącą z punktu widzenia prawa międzynarodowego deklarację intencji, związaną poza tym z jasno określonymi warunkami, mianowicie zawarciem traktatu pokojowego, do którego dążył Związek Radziecki w 1953/54 r., i późniejszym zjednoczeniem obu państw niemieckich. Mocarstwa zachodnie i rząd federalny stanowczo odrzuciły jednak tę inicjatywę, a tym samym zdezaktualizowała się również odnosząca się do zjednoczonych Niemiec rezygnacja z dalszych roszczeń do odszkodowania". Zdaniem Rotha i Rübnera niemiecki dług reparacyjny wobec Polski wynosi miliard euro. Dotychczas Berlin miał spłacić 157 mln euro. Przysługuje nam niemal jedna siódma wszystkich niemieckich świadczeń reparacyjnych i odszkodowawczych z czasów II wojny światowej. Niezależnie od powyższych cyfr niemieccy autorzy podkreślają, że Polska zajmuje szczególną pozycję w niemieckich długach reparacyjnych, gdyż w proporcji do liczby ludności nasz kraj ucierpiał najmocniej wskutek nazistowskiej polityki okupacyjnej. O ile jednak zdaniem Rotha i Rübnera Polska do dziś otrzymała jedną siódmą wszelkich długów reparacyjnych, o tyle najnowsze polskie ustalenia wskazują, że niemieckie odszkodowania wyniosły dotąd najwyżej 1–2 proc. należności.

Niezależnie od szczegółów wyliczeń i statystyk mamy bodaj najmocniejszą na polskim rynku wydawniczym książkę, która może otworzyć oczy niemałej części osób kształtujących polską debatę publiczną na fakty dotyczące niemieckiej polityki reparacyjnej wobec naszego kraju. Nawet jeśli temat dziś ma bieżący polityczny kontekst, powinien – w zupełnie inny niż dotąd sposób – wpływać na dyskusję o relacjach polsko-niemieckich. I nową politykę historyczną, na dobre uwolnioną od interesów naszych zachodnich sąsiadów. ■

eprasa.pl 4003efe9b0



3efe9b0



FOT. PAWEŁ SUPERNAK/PAP

Józef Pałkiewicz

KAŻDA MONOKULTURA ZABIJA

Trzeba budować jak najszersze sieci, pokazywać artystów reprezentujących różne dziedziny sztuki, ale jednocześnie takich, którzy mówią coś na przekór mainstreamowi. Tak właśnie staramy się robić i sądzę, że dzieje się to z powodzeniem. Program CSW jest dziś bardzo różnorodny – z Piotrem Bernatowiczem, dyrektorem Centrum Sztuki Współczesnej Zamek Ujazdowski, rozmawia Józef Pałkiewicz.

eprasa.pl 4003efe9b0

▶ Jest Pan szefem jednej z najważniejszych instytucji wystawienniczych prezentujących w Polsce sztukę współczesną. Wydaje się, że sztuka współczesna budziła zawsze pewien opór, była trudna do przyjęcia – także dziś wielu ludzi, którzy uczestniczą w życiu kulturalnym, łączy ją z przekazem hiperawangardowym, całkowicie oderwanym od odbiorcy, a także często polegającym na agresywnej prowokacji, przekraczaniu kolejnych granic obyczajowych. Czy takie negatywne konotacje są uzasadnione i jeśli tak, czy sztuka współczesna może być inna, czy w ogóle można oczekiwać od niej, by była inna?

Myślę, że trzeba tu rozróżnić dwa zjawiska. Pierwsze z nich to sztuka awangardowa, która rzeczywiście chce przekraczać granice, ale w dziedzinie medium – a zatem wprowadza ona nowe media, eksperymentuje z nimi. Ten proces miał miejsce już od początku XX wieku i owszem, eksperymenty formalne budziły niezrozumienie, były odbierane jako prowokacyjne, jednakże były to poszukiwania nowego języka, nie zaś próby naruszania obyczajów czy przekraczania tabu. Natomiast drugie zjawisko to sztuka, która rzeczywiście dąży do naruszania porządku społecznego, przekraczania zasad i reguł, które są przez nią traktowane jako ograniczenia wolności. Ten nurt nasilił się w latach 60. Tutaj właśnie istnieje kontekst ideologiczny zakładający, że trzeba wyzwolić – emancypować społeczeństwo z rzekomego kagańca tradycyjnych norm. Te dwa zjawiska trzeba zatem rozdzielić – historia sztuki wieku XX pokazuje jednak, że nie zawsze artyści, którzy eksperymentują, są jednocześnie burzycielami społecznych norm. Niezwykle ciekawym fenomenem jest na przykład polska sztuka niezależna lat '80 – wtedy to twórcy awangardowi obok innych twórców włączyli się w nurt sztuki o zapleczu chrześcijańskim, a swoje wystawy organizowali m.in. w kościołach. Tej sztuce właśnie poświęcona była wystawa „Nie ocenzurowano", którą prezentowaliśmy w CSW – teraz z kolei znajduje się ona w Czechach, gdzie można ją oglądać w publicznej galerii GASK w Kutnej Horze.

▶ Dziś jednak wydaje się, że większość artystów, a przynajmniej większość tych najbardziej znanych, angażuje się ideologicznie i nieustannie, do znudzenia wręcz eksploatuje tematy czerpane z agendy poprawności politycznej: walka z tzw. faszyzmem, queer, ekologizm, feminizm. Wielu z nich eksponuje także odrazę i niechęć do własnej tożsamości kulturowej, do tego, co rodzime i dawne. Okazuje się jednak, że są także inni artyści, dla których przeszłość i zakorzenienie są czymś niezwykle cennym. Ci artyści goszczą dziś w CSW, co dla Pana, jako dyrektora tej instytucji, a także kuratora jest szczególnie godne podkreślenia w ich twórczości?

Myślę, że trzeba zacząć od tego, że dziś w kulturze dominuje nurt, który nazwałbym ideologią emancypacyjną. Uznaje ona za swój cel dążenie do całkowitego wyzwolenia człowieka; chce odrzucić wszystkie możliwie ograniczenia wynikające z natury, tradycji, religii. Tutaj mieszczą się ruchy związane z gender, z radykalnym feminizmem, z różnymi koncepcjami transhumanistycznymi czy wprost antykulturowymi. Jest to szersze zjawisko, które znajduje swoje odzwierciedlenie w sztuce, i to niezależnie od tego, czy to jest sztuka awangardowa, czy nie. Na przykład dekonstrukcja pojęcia narodu, wspólnoty narodowej obecna jest w twórczości dość tradycyjnego w formie malarza Wilhelma Sasnala. Język sztuki nie jest tutaj zatem determinujący. Tym, co mnie interesuje, jest poszukiwanie postaw poza tym emancypacyjnym mainstreamem, przy czym nie zawsze muszą być one z gruntu konserwatywne czy tradycjonalistyczne. W CSW jest teraz na przykład wystawa brytyjskiej artystki Claudii Clare, która też jest artystką zaangażowaną – feministką, ale zarazem jest to artystka, która w swoich pracach poddaje krytyce pewne radykalne realizacje z nurtu ideologii emancypacyjnej, m.in. ruch transgender. Chodzi więc o to, aby nie obawiać się sztuki współczesnej, nie traktować wszystkiego, co nowe jako destrukcyjne. Obok wystawy Clare mamy także wystawę posługującego się awangardową formą chińskiego artysty Badiucao, który wskazuje na współczesne Chiny jako na państwo, w którym totalitarny ustrój wcale się nie skończył [szerzej o wystawie przeczytają Państwo w artykule Hanny Shen na stronie 74 – przyp. red.], czy wystawę Odd Nerdruma, malarza, który jest tradycjonalistą par excellence, bo pragnie przeskoczyć awangardowe zerwanie z językiem dawnej sztuki, odwołując się do wielkich mistrzów.

▶ No właśnie, czy ci twórcy, którzy w taki czy inny sposób zaznaczają swoje zakorzenienie w przeszłości czy tradycji, szczególnie na tle tak powszechnej sztuki wyalienowanej, nihilistycznej, nie są dziś prawdziwie oryginalni, fascynujący, wyróżniający się? Przywołać można tutaj na przykład Ignacego Czwartosa i jego świetną wystawę w Zachęcie nawiązującą do malarskich tradycji polskiego baroku. Czy

eprasa.pl 4003efe9b0

artystów takich jak Czwartos można nazwać dzisiejszą awangardą, czy to jest dobre pojęcie?

Może warto odejść od tych określeń: awangarda czy ariergarda. To są kalki z języka militarnego, które miały rzutować sztukę na oś postępu. Właściwie do XIX wieku było oczywiste, że artysta jest w stanie powiedzieć coś nowego nie dlatego, że odrzuca tradycję, ale dlatego, że do niej nawiązuje, że na niej się opiera. Opiera się na ramionach swoich poprzedników i dlatego sam może sięgać wyżej. Tak jest w przypadku Czwartosa – łańcuch jego poprzedników jest długi: malarze polskiego baroku, Malewicz, Wróblewski, Nowosielski, Modzelewski i wielu innych. I co najważniejsze, Czwartos nie ukrywa swoich antenatów, przeciwnie – składa im hołd, przedstawiając w swoich obrazach.

▶ Czy w podobny sposób można by spojrzeć na niedawno zmarłego Alesia Puszkina, artystę, który sięgał po różne formy, niejednokrotnie bardzo odważne i nowoczesne, ale skoncentrowany był na tym, żeby pielęgnować przeszłość i pamięć o wolnej – duchowo – Białorusi?

Myślę, że to przykład artysty zakorzenionego w myśleniu romantycznym. Romantyzm stworzył topos artysty zaangażowanego – zaangażowanego w sprawy wspólnoty narodowej i ta postawa właśnie była wyraźnie widoczna u Alesia Puszkina. Jednocześnie warto podkreślić, że Aleś posługiwał się różnymi technikami: bardzo tradycyjnym malarstwem, ale także bardzo radykalnymi nowymi formami, jak performance.

▶ Skoro jesteśmy przy Alesiu Puszkinie, który w swoim życiu i pracy nieustannie doświadczał prześladowań ze strony białoruskiej dyktatury, chciałbym zapytać o innych artystów, których można poznać u Państwa, a którzy także zmagają się z cenzurą i represjami w miejscach, gdzie mieszkają i tworzą. Są oni atakowani przez reżimy nie tylko postkomunistyczne czy otwarcie komunistyczne, lecz także – w krajach demokratycznych – przez ideologie lewicowe-liberalne. Czy CSW nie stało się pewną oazą wolności dla twórców, którzy są tłumieni z tych dwóch różnych stron?

Tak, staramy się właśnie to robić – zapraszać artystów, którzy z jednej strony przeciwstawiają się takiemu „oldschoolowemu" – twardemu totalitaryzmowi, jeszcze z czasów zimnej wojny, a z drugiej muszą zmagać się z miękkim totalitaryzm na Zachodzie, gdzie po prostu wyklucza się część osób z debaty publicznej, odmawiając im prawa do wypowiedzi i eksponowania swojej twórczości artystycznej. Oczywiście nie jest to tak siermiężne jak na Białorusi, ale jednak, można powiedzieć, skutki są podobne. I jest w tym także coś znaczącego, że oba te rodzaje totalitaryzmów posługują się podobnymi sformułowaniami. Aleś Puszkin został skazany za prezentowanie jednego ze swoich obrazów, który przedstawiał żołnierza białoruskiego podziemia walczącego po 1945 roku z Sowietami. Według narracji komunistycznej ci żołnierze byli nazistami, faszystami, podobnie zresztą w Polsce określano Żołnierzy Niezłomnych. Obecne władze białoruskie, spadkobiercy w prostej linii komunistów, uznały zatem Alesia za winnego propagowania faszyzmu. Z drugiej strony na Zachodzie tendencje prawicowe czy ogólnie mówiąc przeciwstawiające się ideologii emancypacyjnej, są także określane jako faszystowskie. Mamy więc dosyć ciekawą zbieżność, że pod zarzutem faszyzmu cenzuruje się dziś artystów i na Białorusi, i na Zachodzie.

▶ Międzynarodowy front walki z faszyzmem?

To jest pewien paradoks, ale tak właśnie jest, że ten w większości przypadków wyimaginowany faszyzm był i jest pałką do bicia i po jednej, i po drugiej stronie dawnej żelaznej kurtyny. Putin też przecież oficjalnie walczy z faszystami i nazistami.

▶ Kogo jeszcze można by przywołać oprócz Alesia Puszkina, być może właśnie ze świata zachodniego, kto w CSW znalazł pewien azyl, możliwość wypowiedzi?

Osobnym problemem w kontekście, o którym rozmawiamy, jest kwestia politycznego islamu. Na Zachodzie islam stanowi poważną siłę ograniczającą wolność artystów. Gościliśmy artystę ze Szwecji – Larsa Vilksa, który w 2007 roku został obłożony fatwą za karykaturalne przedstawienie Mahometa na jednej ze swoich prac, a więc *de facto* wydano na niego wyrok śmierci – życie Larksa zostało wtedy całkowicie zaburzone. Otrzymał policyjną ochronę, bez której nie mógł się nigdzie przemieścić, to policjanci decydowali o tym, z kim może się spotkać, z kim spędzić święta. Wszystkie galerie, a także uniwersytet, na którym wykładał historię sztuki, zerwały z nim współpracę – właśnie w obawie o bezpieczeństwo – co oznaczało dla niego po prostu brak pracy. Jego prawo do wolności było formalnie chronione, ale został w rzeczywistości zamknięty w więzieniu. Pomijam już fakt, że możliwość prezentowania własnej twórczości została mu całkiem odjęta, bo on przecież nie mógł mieć żadnej wystawy, dlatego że

eprasa.pl 4003efe9b0

zawsze istniało niebezpieczeństwo zamachu. Jedno spotkanie dyskusyjne z Larksem w 2015 roku w Kopenhadze skończyło się atakiem terrorystycznym. U nas Larks mógł wreszcie zaprezentować swoje prace – w 2021 roku na wystawie „Sztuka polityczna". Można na to wszystko spojrzeć jako na pewien niepokojący proces, który ma miejsce na Zachodzie: z jednej strony tożsamość chrześcijańska jest tam podważana, dekonstruowana, a z drugiej każda krytyka islamu jest brutalnie atakowana. W konsekwencji islam wprowadza tylnymi drzwiami prawo szariatu, które jest całkowicie sprzeczne z zachodnimi standardami kulturowymi.

▶ Przypomina się praca pod tytułem „Prorocy", którą można było zobaczyć właśnie na „Sztuce politycznej": z jednej strony wizerunek cierpiącego Chrystusa, z drugiej uśmiechnięty Mahomet obklejony nalepkami używanymi przez firmy kurierskie do przewożenia cennych i delikatnych przedmiotów: „Fragile", „Handle with care"...

Tak, to jest praca artystki ukrywającej się pod pseudonimem Matthew E. Sun – bowiem nawet prezentacja takiej pracy, stwierdzającej pewną oczywistość, pewną nieproporcjonalność w dzisiejszym stosunku do obu tych religii mogłaby mieć przykre konsekwencje dla artystki.

▶ Gdybyśmy spojrzeli teraz na polskich artystów, którzy mniej lub bardziej odwołują się do konserwatywnych wartości, czy uważa Pan, że, szczególnie przed 2015 rokiem, mierzyli się oni z problemem wykluczania, ignorowania, spychania na margines przez główne instytucje kultury?

Tak, to zdecydowanie miało miejsce. Ówczesne rządy były co prawda rządami bezideowymi, ale otwierały pole dla ideologii emancypacyjnej. Osoby kierujące wówczas instytucjami zapraszały w zasadzie tylko tych artystów, którzy w tę ideologię się wpisywali. Wytworzyła się pewna monokultura. Tak jest właśnie na Zachodzie. Warto by się tutaj odnieść do koncepcji Antonio Gramsciego, który na początku XX wieku trafnie zdiagnozował, że koncepcje rewolucyjne nie znajdą oddźwięku wśród szerokich mas społeczeństw zachodnich, póki nie zacznie działać się od góry: zmieniać instytucje społecznego autorytetu, które następnie będą narzucać zwykłym ludziom ideologię. Kultura, edukacja, uniwersytet, media – to są główne obszary kształtowania opinii publicznej i narzędzia zmiany rzeczywistości. Na Zachodzie ten proces jest wyraźnie widoczny od lat 60., w Polsce jest obecny od lat 90. Przychodzi jednak taki moment, w którym następuje rozdźwięk pomiędzy tymi instytucjami a społeczeństwem: instytucje stają się o wiele bardziej lewicowe i progresywne niż reszta społeczeństwa. No właśnie i to jest pytanie, czy kierownik instytucji kultury powinien być rozpatrywany na podstawie jego poglądów? Ale rzeczywistość jest taka, że kiedy zostałem dyrektorem CSW, to główna oś negacji mojej osoby polegała na tym, że nie zarzucano mi braku profesjonalizmu, a to, że mam niewłaściwe poglądy. Okazuje się więc, że standardem w instytucji kultury są dziś poglądy lewicowe, natomiast poglądy inne, chociażby na przykład takie, które podziela znakomita większość społeczeństwa, bo można powiedzieć, że polskie społeczeństwo jest w gruncie rzeczy w dużej mierze konserwatywne, są czymś egzotycznym. To pokazuje wyraźnie, że marsz przez instytucje w rozumieniu Gramsciego w dużym stopniu dokonał się, nawet w Polsce. Wielu moich kolegów, którzy są dziś profesorami historii sztuki, którzy interesowali się sztuką współczesną i nowoczesną, a nie podzielali poglądów mainstreamu, powoli rezygnowało ze swoich zainteresowań i wycofywało się w inne obszary. Natomiast ci, którzy kontynuowali badania i zaczęli stawiać pytania – obnażające ideologiczne zaplecze studiów nad sztuką współczesną, byli po prostu dyskryminowani. I w zasadzie nadal są dyskryminowani, bo ten proces wciąż ma miejsce: zwalnia się ich, odbiera się im zajęcia, choć są tu ludzie na bardzo wysokim poziomie intelektualnym, ze świetnym doświadczeniem pracy ze studentami. Dzisiaj ma to niestety miejsce, mimo że rządzi partia, która ponownie otwiera tę przestrzeń kultury i tworzy pewnego rodzaju parasol chroniący przed ostrymi ideologicznymi prądami. Ostatnio była głośna sprawa profesora historii sztuki z Poznania – Tadeusza Żuchowskiego, który zrezygnował z członkostwa w radzie komisji doskonałości naukowej, ponieważ nie chciał zasiadać obok osoby, która publicznie wykrzykiwała wulgaryzmy podczas tzw. strajku kobiet. Jakie były konsekwencje? Został skazany przez sąd, że swoim ustąpieniem i wygłoszonym wówczas oświadczeniem, obraził tę osobę. Jest to jakaś matnia.

▶ Gdy śledzi się wypowiedzi pojawiające się pod adresem CSW w serwisach społecznościowych oraz materiały na portalach czy w prasie, uderza to, z jak wielką wrogością jesteście Państwo traktowani. Tak było na przykład, gdy na fasadzie Zamku Ujazdowskiego został wywieszony plakat Wojciecha Korkucia nawiązujący do Smoleńska – w odpowiedzi na cenzurę, która spotkała go na tegorocznym Międzynarodowym Biennale Plakatu w Lublinie. Ale wystarczyło pokazać w mediach

eprasa.pl 4003efe9b0

społecznościowych CSW zakupiony do kolekcji obraz Ignacego Czwartosa poświęcony Żołnierzom Wyklętym, by wywołać dziką furię środowisk lewicowo-liberalnych. Skąd taka agresja ze strony ludzi, którzy na każdy kroku podkreślają, jak bardzo ważne są dla nich: otwartość na odmienność, tolerancja, wolność wypowiedzi, pluralizm?

To jest bardzo proste, jeśli zrozumiemy, że lewica pojmuje tolerancję według definicji Herberta Marcuse'a. Ten intelektualista z kręgu szkoły frankfurckiej przedefiniował w latach 60. tradycyjną koncepcję tolerancji (od czasów Locke'a i Woltera) polegającą na tym, że możemy się nie zgadzać z jakimiś poglądami, krytykować je, ale dopuszczamy ich obecność w debacie publicznej. Marcuse przedefiniował tę koncepcję i zaproponował nowe pojęcie – tolerancji wyzwalającej, a tradycyjną tolerancję określił jako represywną. Przedstawił to w eseju, który nie był skierowany do szerokiej publiczności, ale do wąskiego grona elit intelektualnych, które miały wiedzieć, jak uzasadnić cenzurę. Bo na czym polega ta tolerancja wyzwalająca? To jest tolerancja, która po prostu nie przewiduje tolerancji dla poglądów nielewicowych. Marcuse stworzył całą sofistyczną teorię, która miała usprawiedliwić eliminację konserwatywnych i prawicowych poglądów. Wydaje mi się, że to jest aktualny podręcznik dla środowisk lewicowych, choć część osób może nie zdawać sobie sprawy, że mówi Marcusem. To, co dziś obserwujemy, to jest właśnie teoria krytyczna i koncepcja tolerancji Marcusa w praktyce, czyli wycinanie ludzi o poglądach konserwatywnych, wycinanie wprost przy użyciu wszelkich metod politycznych czy takich możliwych w niemerytorycznej dyskusji. Mam wrażenie, że w środowiskach ogólnie mówiąc konserwatywnych dużo się mówi o takich pojęciach, jak wojna kulturowa, teoria krytyczna, nowy rodzaj cenzury ideologicznej, natomiast kiedy nas to dotyka, to wtedy dziwimy się, że to jednak działa, tak jak byśmy nie dowierzali, że to istnieje. Tak samo jest zresztą w przypadku ideologii gender. Spójrzmy na Claudię Clare, feministkę, która była zaangażowana w tradycyjną, lewicową działalność – w pewnym momencie doszła do wniosku, że postulaty transgender są niezwykle groźne i niebezpieczne, nie tylko dla konserwatyzmu, lecz także dla światopoglądu liberalnego, jeżeli uznaje się, że kobietą może być ktoś, kto się za kobietę uważa. Nagle stajemy więc wobec jakiejś apokalipsy i w tym momencie mniejsze znaczenie ma to, czy dyskutujemy nad tym, czy prawa kobiet są przestrzegane, czy nie i jak powinny być przestrzegane, ale ważne się staje, że w ogóle odbiera się nam pojęcie kobiecości.

▶ Gdyby się zastanowić nad sposobem przeciwstawiania się temu walcowi, który chce nas wszystkich zgnieść, szczególnie w dziedzinie kultury, czy właściwą postawą nie byłoby szukanie sojuszników, nawet poza ścisłym konserwatywnym obozem, z którymi można by wspólnie działać pod sztandarem zdrowego rozsądku?

Każde getto jest czymś niedobrym. Przed 2015 rokiem uderzała mnie powszechnie panująca monokultura – artyści, którzy mówili co innego, byli eliminowani. Ten mainstream był zupełnie zamknięty, ale po 2015 roku nastąpiła pewna zmiana. Oczywiście część konserwatystów uważa, że to jest zmiana kosmetyczna, ale trzeba wiedzieć, że to jest bardzo powolny proces. Skoro owa monokultura była budowana przez kilka dekad, to nie jesteśmy w stanie wprowadzić widocznej różnorodności na szeroką skalę w ciągu 8 lat. Staramy się to robić, ale widać z jakim oporem – ciągle istnieją siły, które próbują stłumić ten proces. I owszem, pojawia się wtedy pokusa, żeby ogłosić rychły koniec świata i zamknąć się w oblężonej twierdzy. Ja jednak uważam, że nie można tak postępować. Trzeba budować jak najszersze sieci, pokazywać artystów reprezentujących różne dziedziny sztuki, ale jednocześnie takich, którzy mówią coś na przekór mainstreamowi. Tak właśnie staramy się robić i sądzę, że dzieje się to z powodzeniem. Program CSW jest dziś bardzo różnorodny. Nie jest to wcale, jak się często sugeruje, jakaś – tym razem – konserwatywna monokultura. Przeciwnie, staramy się w CSW wchodzić w dyskusję z różnymi ideami. Gdyby nagle okazało się, że artyści lewicowi znikają, nie ma ich w ogóle, wszystkie galerie prezentują tym razem konserwatywną monokulturę – byłaby to sytuacja katastrofalna. Zamiast budowania monopoli, trzeba raczej podążać za tym, co artyści tworzą – starać się im służyć i objąć jak najszerszy obszar sztuki, która jest dziś tworzona. ■

Dr Piotr Bernatowicz – absolwent historii sztuki na UAM w Poznaniu, wieloletni pracownik naukowy tej uczelni, nauczyciel akademicki, krytyk sztuki, kurator wystaw artystycznych. Był redaktorem naczelnym magazynu o sztuce „Arteon", następnie kierował poznańską Galerią Arsenał, był także prezesem Radia Poznań. Od 1 stycznia 2020 roku jest dyrektorem Centrum Sztuki Współczesnej Zamek Ujazdowski w Warszawie, powołanym przez ministra kultury i dziedzictwa narodowego, prof. Piotra Glińskiego.

eprasa.pl 4003efe9b0

Hanna Shen



Czynna do 15 października wystawa w Centrum Sztuki Współczesnej chińskiego artysty i dysydenta Badiucao pt. „Chiny. Opowieść prawdziwa", to wydarzenie nie tylko artystyczne. Przedstawione na niej grafiki, ilustracje i instalacje wizualne to opis zbrodni komunistycznego reżimu w Chinach i zaprzyjaźnionego z nim reżimu Putina.

Przerażająca prawda o chińskim reżimie



eprasa.pl 4003efe9b0



fot. Hanna Shen

Od lata zajmuję się Dalekim Wschodem. Napisałam wiele artykułów, przeprowadziłam wywiady, w których opowieść o okrucieństwach KPCh także była obecna. Mieszkam na co dzień w kraju, który musi liczyć się z tym, że to, co zgotował Ukraińcom Putin, może mieszkańcom Tajwanu „zaserwować" Xi Jinping. Idąc więc na wystawę Badiucao, wydawało mi się, że skoro znam prawdę o tym, jak funkcjonuje reżim w Pekinie, to nie będę specjalnie poruszona. A jednak się myliłam, bo komunistyczne zbrodnie i kłamstwa nigdy nie przestają wstrząsać. Tym bardziej, że jest to opowieść o okrucieństwach, które dzieją się cały czas. Dzieją się w XXI wieku, o którym mówi się, że będzie należał do Azji. Badiucao ostrzega, jak może wyglądać przyszłość, jeśli to będzie wiek autorytarnych reżimów, dla których ludzkie życie nie stanowi żadnej wartości.

Kilka z prac z tego wernisażu pozostanie w moje pamięci na długo. Za każdą z nich kryje się piekielna historia.

Zasady moralne? Nie w Chinach

Czarna folia, na której z białego proszku uformowane są niemowlaki – ta instalacja nawiązuje do skandalu, jaki wybuchł w 2008 roku, kiedy okazało się, że do chińskiego mleka w proszku dla dzieci producenci dodali melaminę, substancję służąca m.in. do wyrobu tworzyw, nawozów sztucznych, farb i lakierów. Ze względu na wysoką zawartość azotu jest ona stosowana do zawyżania wyników badania zawartości białka w mleku, co obniża koszty produkcji sproszkowanego mleka. Melamina jest nieprzyswajalna przez organizm ludzki, prowadzi do kamicy, a nawet niewydolności nerek. W 2008 roku w wyniki spożycia zatrutego mleka chińskiej firmy Sanlu śmierć poniosło co najmniej sześcioro dzieci, a tysiące niemowląt zachorowało. Skażone mleko poza Chinami trafiło także do Hongkongu i innych państw azjatyckich, m.in. na Tajwan. Ten skandal KPCh początkowo chciało zamieść pod dywan m.in. dlatego, że był to rok Letnich Igrzysk Olimpijskich w Pekinie, a nic nie powinno było zakłócić tego sukcesu. Życie i bezpieczeństwo niemowląków nie były priorytetem dla chińskich komunistów. Badiucao, przypominając tę historię, mówi prawdę, którą my, Polacy, znamy ze swojej historii. Komunizm zawsze zamyka ludzkie życie w granicach świata materialnego i nie uznaje żadnych zasad moralnych poza korzyścią materialną.

Xi Jinping karmiący butelką z mlekiem wirusa – grafika jasno stawiająca sprawę odpowiedzialności za pandemię, która zabiła miliony ludzi, doprowadziła do zamknięcia firm i szkół na całym globie, była ciosem dla światowej gospodarki oraz spowodowała ogromne szkody społeczne. Opublikowany jakiś czas temu raport wywiadu USA w sprawie wypadku w laboratorium w Wuhan pokazuje, że administracja Bidena boi się powiedzieć prawdę o po-

eprasa.pl 4003efe9b0

chodzeniu wirusa, choć sprawia, że mówienie o tym, iż patogen pochodzi z laboratorium w Wuhan, nie może już być uznane za teorię spiskową i potwierdza, że chińska armia prowadziła w tym laboratorium tajne badania nad wirusami. Główny przekaz dokumentu jest jednak taki, że nie ma bezpośrednich dowodów na to, co wydarzyło się w chińskim laboratorium. Świat, a na pewno politycy, wydaje się zrezygnował z poznania prawdy na temat pochodzenia wirusa SARS-CoV-2, ale chiński artysta-dysydent nie pozwala nam zapomnieć o odpowiedzialności KPCh za życie i zdrowie naszych bliskich, naszych rodaków.

Niepodległość, wytrwałość, opór

Trzy plakaty (obrazy) obok siebie: pierwszy zielony z napisem „Niepodległość", drugi niebieski oraz napis „Wytrwałość" oraz ostatni żółty i slogan „Opór", czyli po kolei przypomnienie nam losu Tajwańczyków, Ujgurów i Hongkończyków – trzech narodów, które komunistyczne Chiny chcą unicestwić. ChRL, choć nigdy nie rządziła wyspą, uważa Tajwan za część swojego terytorium i regularnie wysyła samoloty i okręty w pobliże wyspy. Od czasu rosyjskiej napaści na Ukrainę nasiliły się obawy dotyczące chińskiej inwazji na wyspę. W marcu bieżącego roku dyrektor Wywiadu Narodowego Avril Haines powiedziała przed senacką Komisją Wywiadu, że chiński przywódca Xi Jinping wyraźnie dał do zrozumienia, że „musi dojść do zjednoczenia, a jeśli nie będzie ono możliwe na drodze pokojowej, to Chiny są w stanie spróbować osiągnąć to militarnie, i z pewnością to planują".

W Xinjiangu KPCh dokonuje eksterminacji Ujgurów osadzanych w obozach, które władza w Pekinie nazywa obozami reedukacji, a światowa opinia i media określają jako obozy koncentracyjne. Według think tank Australian Strategic Policy Institute (ASPI), z przymusowej pracy Ujgurów korzystają niestety także firmy zachodnie, mające swoje fabryki w Chinach – do tej nieetycznej kooperacji zachodniego biznesu z chińskimi komunistami Badiucao także nawiązuje w swojej ekspozycji.

I wreszcie Hongkong, gdzie komuniści niszczą już resztki wolności. Od momentu protestów w 2019 roku i narzucenia ustawy dotyczącej bezpieczeństwa narodowego w 2020 roku była brytyjska kolonia zmieniła się nie do poznania. W ciągu ostatnich trzech lat ponad 10 tys. osób w Hongkongu zostało aresztowanych i uwięzionych, a prawie 7 tys. z nich nie zostało jeszcze postawionych przed sądami. Nie istnieją już niezależne media, a jeden z ich twórców, Jimmy Lai, katolik, siedzi w więzieniu.

Putin ssący z piersi Xi Jinpinga – grafika przedstawiająca zależność Putina od prezydenta Chin, ale i ostrzegająca, że dzisiejsza machina wojenna Rosji jest sponsorowana przez KPCh. Przeprowadzone niedawno przez zachodnich badaczy śledztwo, o którym pisali dziennikarze „The Wall Street Journal", udowodniło, że dzięki częściom dostarczanym w tym roku z Chin do Iranu, Teheran bardzo szybko może wyprodukować i przesłać drony dla rosyjskiej armii. A to tylko jeden z przykładów wsparcia Pekinu dla Moskwy, wsparcia, które przynosi ból i śmierć po stronie Ukrainy.

Refleksje poza polityką

To obrazy i historie z nimi związane, które szczególnie utkwiły mi w głowie i sercu podczas zwiedzania wernisażu Badiucao. Według mnie tej wystawy, wielkiego protestu chińskiego artysty przeciwko autorytaryzmowi, nie można nie zobaczyć.

Jest jeszcze jedna rzecz, która krąży mi po głowie od momentu, gdy usłyszałam, będąc jeszcze w Tajpej, że ten wernisaż odbędzie się w Polsce. Przyznam, że długo zastanawiałam się, czy powinnam się z Państwem tym podzielić. Ale doszłam do wniosku, że tak jak wspaniała wystawa Badiucao mówi prawdę o dzisiejszych Chinach, tak moje doświadczenie z tym artystą mówi też coś o ludziach, którzy wychowani zostali w komunizmie i dotyczy to nie tylko Chińczyków. Kilka lat temu Badiucao oznajmił na Twitterze, że blokuje mnie, bo popieram Donalda Trumpa. To był okres rządów Trumpa, długo przed pandemią. Rzeczywiście w wielu aspektach jego polityka wobec Chin, ale i Polski, była słuszna. Nie dyskutowaliśmy z Badiucao na ten temat. On po prostu uznał mnie za osobę popierającą Trumpa, więc zasługującą na zblokowanie. Badiucao wykazuje się dużą odwagą, przedstawiając nam prawdę o Chinach. Ale jak wiele osób wychowanych w komunizmie uczy się wolności. Tak, wolność to prawo do głoszenia swoich poglądów, a także prawo do innego zdania i wyboru. Można popierać Hillary Clinton albo Trumpa, Bidena czy DeSantisa; jest miejsce na poglądy liberalne i konserwatywne. Tu jednak też trzeba dodać, że uczenie się prawdziwej wolności na Zachodzie jest coraz trudniejsze, bo ten objaw komunizmu, interpretowania wolności wyłącznie jako prawa do głoszenia poglądów jednej strony, już u nas grasuje. Bez niego cancel culture, czyli kultura unieważniania, nie rozwinęłaby się tak daleko.

Swoimi pracami Badiucao sprzeciwia się Chinom takim, jakie one dzisiaj są pod rządami komunistów. Chiny bez komunizmu to daleka droga, a Chiny, które wybiorą wolność rozumianą jako prawo do odmienności i prezentowania różnych poglądów, to jeszcze dłuższa droga. Ale możliwa do przebycia. Dowodem na to jest Polska i choćby fakt, że wystawa Badiucao właśnie tu jest prezentowana. Ambasada Chin naciskała na Centrum Sztuki Współczesnej i Ministerstwo Kultury, aby wstrzymać otwarcie wernisażu w Warszawie. Chińscy komuniści nie chcą, aby do Polaków trafił inny niż ich własny przekaz. Strona polska odebrała te naciski jednoznacznie jako działania antywolnościowe i głosu Pekinu wzywającego do blokady nie posłuchała. ■

eprasa.pl 4003efe9b0

Do Norwegii i z powrotem. Niekompletna autobiografia Andrzeja Dziubka

Szalenie cieszę się, że „Elektrycznego bacę" przeczytałem. Jednak po lekturze więcej mam pytań, niż znalazłem odpowiedzi, zostałem z książką na półce i bardzo niezaspokojoną ciekawością.



Krzysztof Karnkowski

Andrzej Dziubek jest niewątpliwie jedną z bardziej interesujących postaci polskiego – i norweskiego, co czyni go jeszcze ciekawszym – rocka. Podejrzewam, że również autor i wydawca jego autoryzowanej biografii, Bartłomiej Bart Dyrcz, pisarz, malarz, scenograf, a w ostatnim czasie współpracownik Dziubka, również musi być postacią nietuzinkową, jednak, mam wrażenie, rozmówca trochę go onieśmielił. W efekcie czasem brak opowiedzianej historii jakiegoś uporządkowania, kilku dodatkowych pytań...

Andrzeja Dziubka czytelnikom przedstawiać zapewne nie trzeba. Nawet jeśli nie słyszeli o nim wcześniej, poznali go przy okazji inicjatyw, w które zaangażowane były konserwatywne media, takich jak płyta o poznańskim Czerwcu czy mocne, rockowe wersje „Suplikacji" i „Pieśni konfederatów barskich", nagrane po katastrofie smoleńskiej. Tym bardziej znają go fani polskiej muzyki, a już na pewno ci urodzeni przed, powiedzmy, 1990 rokiem. Czemu historia Dziubka jest tak wyjątkowa? W wielkim skrócie – ten urodzony w 1954 roku góral, dramatyczną zimą roku '70 (jednak bez związku z dramatem na wybrzeżu) uciekł z kilkorgiem przyjaciół na Zachód. Po krótkim czasie trafił do Norwegii, gdzie korzystając z gościnnej polityki tego kraju, podjął naukę, a później studia artystyczne. Już w Polsce miał kontakt z muzyką, głównie w jej ludowym, koncesjonowanym wydaniu, w Norwegii, po kilku latach skupienia na sztukach wizualnych, z impetem wszedł w punkrockową rewolucję. Z zespołem De Press nagrał płytę, do dziś uważaną za najważniejszą, wydaną w tym kraju. Później założył bardziej eksperymentalną grupę Holy Toy, by na początku lat 90. wrócić do gry z kapelą, z którą odniósł największy sukces. Wtedy też wreszcie mógł oficjalnie zaistnieć na rynku polskim. Aura buntownika, legenda emigranta, któremu się udało, wreszcie połączenie mocnego głosu z muzyką postpunkową i góralskim folkiem, dało De Press stałą pozycję na polskim rynku. Po latach zagroziła jej dopiero polityka – Dziubek mówi, że ma nagraną płytę, której firma wydać nie chce, niezadowolona z wymowy tekstów. Po tytule „Europa płonie" można domyślić się, o co chodzi.

Dziś Andrzej Dziubek mieszka i tworzy w Polsce, wcześniej kilkanaście lat działał na dwa domy i dwa kraje. De Press nagrywa kolejne, mało znane utwory na różne polityczne czy charytatywne okazje, często we współpracy z Dyrczem w roli tekściarza. Na YouTube można więc znaleźć ciekawe, mocne muzycznie nagrania o reparacjach i stratach wojennych. Jednak artysta trzyma też norweskie kontakty, kilka lat temu nagrał płytę z Holy Toy, a zupełnie niedawno wyszła bardzo dobra płyta „Body manifest" skandynawskiego składu De Press, w Polsce niezasłużenie prawie niezauważona. Problem jednak w tym, że o tym wszystkim piszę bardziej ze swojej fanowskiej wiedzy, niż z książki. Dziubek bowiem opowiada, a Dyrcz słucha, głównie o dawniejszych wydarzeniach, im bliżej czasów współczesnych, tym więcej szybkich przeskoków i pominięć. Dużo dowiemy się o dzieciństwie, dorastaniu i ucieczce. Dobrze opisane są pierwsza dekada w Norwegii i sporadyczne, awanturnicze kontakty z Polską. To historie zasługujące na film, może nawet serial. Jednak potem jest coraz szybciej, jakby producentom niepowstałego serialu kończył się czas i budżet. Nie ma nic o motywach reaktywacji De Press, o nietypowym dualizmie tej grupy, mało lub nic o kolejnych płytach. Opowieść płynie tak, że czytelnik nieznający dyskografii obu grup, nie zorientuje się nawet, od którego momentu mowa już nie o produkcjach Holy Toy, lecz o polskich płytach De Press. Na końcu książki znajdziemy co prawda dyskografię, ale są w niej błędy – co najmniej jedna płyta, wspomniany „Body manifest", nie została uwzględniona. Nie poznamy też, jakie były kulisy przywołanych już patriotycznych produkcji, a szkoda. Dziękując więc za bardzo cenną pozycję, apeluję o wydanie drugie – poprawione, rozszerzone i uzupełnione. ■

eprasa.pl 4003efe9b0





Tomasz Łysiak

Umberto Eco i podróż za sekretem włoskiej kuchni

Z przyjemnością znów sięgnąłem po książkę Eleny Kostioukovitch „Sekrety włoskiej kuchni". Po pierwsze kocham włoski styl życia, a co za tym idzie – włoskie podejście do jedzenia, celebrowanie go i unoszenie w wymiar sztuki, po drugie autorka od lat mieszka w Italii, szukając tropów kulturowych kryjących się za każdym zwyczajem czy produktem, a po trzecie przedmowę napisał wielki Umberto Eco. A ja bardzo lubię jego pióro i jego sposób patrzenia na świat – pomimo iż autor „Imienia Róży" światopoglądowo lokował się tam, dokąd mi bardzo daleko, czyli na lewicy (i to w sposób bardzo wyrazisty). W dodatku to książka o tym, co tak wszyscy kochamy (bez wyjątku chyba) – o włoskiej kuchni!

eprasa.pl 4003efe9b0

Być może wracanie do książek wskazuje, że są one faktycznie wyjątkowe. Wraca się przecież do miejsc w jakiejś mierze darzonych sentymentem. Gdy taki powrót powoduje, że oczy szklą się wzruszeniem, to znaczy, że już to miejsce się pokochało, że się za nim tęskni. Tak bywa też z ludźmi, książkami, filmami, a nawet z potrawami, które przypominają cudowną krainę dzieciństwa albo prowadzą tam, gdzie niegdyś się podróżowało i co przechowuje się we wspomnieniach jako szczęśliwy sen śniony na jawie. Wracam też do pisania Umberto Eco – nie tylko dla jego powieści, lecz także esejów kulturowych – czy wreszcie książek o książkach i bibliofilii. Książki to nasza pamięć zbiorowa. Część naszej duszy i tożsamości.

„Dlaczego miałbym o tym pisać?"

Umberto Eco we wstępie do „Sekretów kuchni" wyznaje najpierw, że gdy otrzymał propozycję napisania przedmowy, to spytał sam siebie: „Dlaczego właściwie miałbym pisać przedmowę do książki poświęconej sprawom kuchni? Zadałem sobie to pytanie, kiedy poprosiła mnie o to autorka, ale natychmiast wyraziłem zgodę, jak podejrzewam dlatego, że Elena Kostioukovitch tłumaczy moje książki na język rosyjski, a ja podziwiam ją nie tylko za pasję i cierpliwość, z jakimi podchodzi do moich dzieł, ale także za inteligencję i wszechstronne wykształcenie. Wciąż jednak dręczyło mnie pytanie, czy to wystarczy, skoro nie jestem człowiekiem, o którym można powiedzieć: To prawdziwy gourmet, smakosz".

Pozwólcie Państwo, że tu od razu kilka słów powiem o autorce „Sekretów": to rosyjska tłumaczka i pisarka, która w 1988 roku wyemigrowała do Włoch, a następnie wykładała literaturę rosyjską w Trento, potem w Trieście i wreszcie w Mediolanie, w którym żyje do dzisiaj. Wnikliwa obserwatorka i admiratorka włoskiej kultury i języka, stała się też w Italii ważnym głosem tych Rosjan, którzy piszą prawdę na temat Putina. W 2022 roku wydała we Włoszech książkę „W głowie Władimira Putina", w której opisała sposób transformacji systemu sowieckiego w postsowiecką Rosję. Jej opis osobowości Putina, megalomańskiego dzieciaka z niebezpiecznymi zabawkami w rękach, jest w istocie trafny. A ponieważ książka ukazała się też w Polsce, myślę, że warto sięgnąć i po nią. Szczególnie, iż w Italii jest sporo konserwatywnych miłośników Putina i – co tu dużo kryć – rusofilów. Być może prawda pisana przez Rosjankę mieszkającą od lat we Włoszech kogoś na Półwyspie Apenińskim otrzeźwi?

Podróż po Italii

Zostawiając jednak współczesnego cara, wrócę do Umberto Eco i „sekretów włoskiej kuchni". Oto pisarz stwierdził, że – gdy zaczął się nad sprawą jedzenia zastanawiać, to doszedł do wniosku, iż ta kwestia jest dla niego swego rodzaju podróżą. Kto z nas zresztą, gdy coś powiemy o włoskiej kuchni, nie pomyśli od razu o podróży do Włoch? Kto nie zobaczy natychmiast, oczami wyobraźni, niewielkiej trattorii, położonej na jakimś tarasie średniowiecznego miasteczka w Tuscii, dawnej Etrurii, a dziś ukochanej przez wszystkich Toskanii? Kto nie widzi stojącego na niewielkim stoliku z obrusem w biało-czerwoną krateczkę talerza ze spaghetti al pomodoro, posypanego parmigiano, z zielonym listkiem bazylii na wierzchu? A przecież w tym najprostszym z prostych dań, najbanalniejszym i zwykłym, odnajdziemy piękno i smak Włoch – w intensywnej słodkości znakomitych pomidorów, w wyjątkowości sera, w świeżo przygotowanym makaronie...

Podróż w głąb Włoch – tym jest tak naprawdę podążanie za „sekretami włoskiej kuchni" odkrywanymi w książce, a jednocześnie odkrywanymi przez nas za każdym razem, gdy dokonamy coraz bardziej świadomego wyboru we włoskiej knajpce, gdy sami będziemy się uczyć tego, co tym „sekretem" w istocie jest.

„Oddać chleb za foccacię"

A zatem kuchnia włoska – to tak naprawdę całe Włochy, z ich historią, sposobem życia, a także obyczajami i folklorem. Przypomina mi się to, co powiedział maestro Bonci, szef słynnego „Pizzarium" w Rzymie – „Gdy mówimy o kuchni, to tak naprawdę mówimy o rolnictwie". Każdy produkt, którego użyjemy do zrobienia pizzy, ma swoje korzenie, pochodzi z ziemi, jest wytworzony przez Rolnika (wielką literą pisanego, a tak, tak). By więc rozumieć, co tworzy dobry kucharz i co potem dostaniemy na talerzu (i dlaczego tak, a nie inaczej jest to skomponowane), trzeba dojść aż do źródła – przyjrzeć się zbożom rosnącym w południowych regionach i wziąć ziarno do ręki, posłuchać o tym, jak hodowcy z San Daniele opowiedzą o hodowli świń, z których wytwarza się wspaniałe prosciutto, zobaczyć, jak powstaje ser Grana Padano.

A wreszcie nawet język. Nawet to, jak mówimy o kuchni jest tu ważne. Elena to w pierwszej mierze człowiek pióra i to się w jej opowieści czuje. „Andare a fagiolo" – to idiom oznaczający po włosku „przypadać do gustu". Przy czym „andare" to „iść", zaś „fagiolo" to „fasola". Produkty żywnościowe, jedzenie,

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl 4003efe9b0

kuchnia – stanowią część języka, kultury, są częścią naszego sposobu myślenia o świecie. „Rendere pan per foccacia" („Oddać chleb za foccacię") – mówi włoskie przysłowie, które oznacza ni mniej, ni więcej „odpłacić pięknym za nadobne". O tym wszystkim także opowiada Kostioukovitch i zaprasza do – idąc za myślą Umberto Eco – podróży przez włoskie regiony, ich specjały, regionalne zwyczaje i symboliczne wręcz potrawy oraz ich „materie prime" (czyli produkty podstawowe) etc.

Cztery dania i kawa

Włosi spędzają przy jedzeniu dużo czasu – ich podejście do kwestii stołu jest inne niż Polaków. Bywają bardzo często w restauracjach, trattoriach, osteriach czy rankiem w barach. Bo jedzenie to nie tylko kwestia smaków i potraw, lecz także część kulturowo-społecznych więzi, które ich łączą. Dlatego mówią dużo o jedzeniu oraz mówią dużo w trakcie jedzenia. Czyż może dziwić dyskusja, jaką ostatnio wyłowiłem gdzieś we włoskiej prasie o tym, jak długo można pozostać w knajpie i jakie powinny wokół tego tematu obowiązywać reguły? A przecież sam „ceremoniał" spożywania posiłku w restauracji ma swoje prawa – cztery dania (l'antipasto, il primo, il secondo, il dolce) oraz kawa na koniec dają szansę na dłuższe posiedzenie przy restauracyjnym stoliku, a jednocześnie rozmowę i degustowanie tego wszystkiego, co nas otacza. Nie tylko tego, co na talerzu. Lecz także tego, co piękne wokoło. Oto moje ukochane miejsce w Trieście – kawiarnia „Urbanis" z 1832 roku, w której siąść można przy kawie, nagle zatracając poczucie czasu, dając się owiewać łagodnemu podmuchowi bora wiejącego od gór, na zmianę z innym wiatrem idącym od morza. Oto restauracyjki urokliwego Zatybrza, ukryte w zakamarkach uliczek, gdzie można wcisnąć się przy małym stoliczku i zajadać najlepszym na świecie cacio e pepe. W położonej na Isola Tiberina trattorii „Sora Lella" zjesz ravioli cacio e pepe, a w dodatku to miejsce kultowe, prowadzone przez rodzinę słynnej Eleny Fabrizi, kucharki, a raczej Mistrzyni Kuchni znanej pod pseudonimem Sora Lella. I by to cacio e pepe smakowało ci lepiej, musisz po prostu poznać historię tej kobiety, dowiedzieć się, dlaczego to, co jesz, jest właśnie takie, a nie inne.

Partyzanci z gorgonzolą

Może właśnie z tego względu pisanie, czytanie, opowiadanie o kuchni włoskiej ma takie znaczenie. Dla mnie w każdym razie ma. Zjedzenie pasty podanej w restauracji może być jedynie kosztowaniem potrawy. I jeśli smakuje – wspaniale. Już to wystarcza. Warto jednak iść dalej. Bo dzięki pogłębionej świadomości czuje się więcej, a także smakuje się więcej. W dodatku kuchnia, potrawy, produkty to rzecz głęboko zakorzeniona kulturowo i historycznie. Gdy zajrzymy za kulisy powstania carbonary lub carpaccio czy też gdy zaczniemy opowiadać historię któregoś z win, oliwy czy serów – za każdym razem otworzą się przed nami Włochy, z całym ich pięknem i tajemnicami wartymi odkrycia.

> A zatem kuchnia włoska – to tak naprawdę całe Włochy, z ich historią, sposobem życia, a także obyczajami i folklorem.

„Być może Włosi zgodziliby się zrezygnować z wielu rzeczy, ale nigdy nie z gorgonzoli" – pisze Kostioukovitch o jednym z dobrze nam znanym gatunku serów, przytaczając historię pewnego partyzanta, który opisał, jak w czasie wojny w jego oddziale delektowano się sałatą z gorgonzolą.

Być może też dlatego tak lubimy chodzić do włoskich restauracji w Polsce... Bo lubimy nie tylko smak potraw, ale wszystko to, co przyjdzie nam do głowy, gdy kelner przyniesie już gotowe danie... Bo oto w mgnieniu oka dokonamy swoistej podróży w czasie i przestrzeni, przenosząc się do Italii? Naszej krainy szczęśliwości... Krainy marzeń... Ma rację Umberto Eco – kuchnia to tak naprawdę podróż. Powinniśmy słuchać filozofów, pisarzy i poetów. Otwierają przed nami drzwi do innego patrzenia na to, co wydaje się banalnie zwykłe. Może i bywa proste, ale miewa w sobie niebywały zasób sekretów. Wystarczy chcieć je odkrywać, wystarczy postawić pierwszy krok i nasz „spacer kulturowy" zaraz się zacznie. ■

eprasa.pl 4003efe9b0





Małgorzata Matuszak

Bajki poprawne politycznie? Absurdy współczesnej rzeczywistości

Wytwórnia Disneya na przestrzeni ostatnich lat wielokrotnie wzbudzała kontrowersje. „Mała Syrenka" z czarnoskórą Halle Bailey w roli Arielki, czarnoskóra wróżka z ogoloną głową w „Pinokiu" wywołały falę krytyki. To jednak, co Disney proponuje w ramach ponownego opowiedzenia historii Królewny Śnieżki, zdaje się przekraczać wszelkie granice absurdu.

FOT. MAT. PRAS.

eprasa.pl 4003efe9b0

Twórcy „Aladyna" z 2019 roku wywołali burzę, obsadzając brytyjsko-indyjską aktorką Naomi Scott w roli Dżasminy, co dało podstawę do podejrzeń, że producenci nie odróżniają Indii od Bliskiego Wschodu. W 2020 roku okazało się, że niektóre sceny do „Mulan" kręcono w Sinciang w Chinach, gdzie znajdują się obozy internowania Ujgurów. Jednak szczególne emocje wzbudzają reinterpretacje klasycznych bajek, które Disney zmienia według klucza „poprawności politycznej".

Bajka w dziecięcym świecie

Nowa „Królewna Śnieżka" będzie pozbawiona w tytule siedmiu krasnoludków. Bo krasnoludków w tym filmie po prostu nie będzie. W zamian, by odejść od „krzywdzących stereotypów", w gronie krasnoludków zaoferowano nam aktorów o różnym pochodzeniu etnicznym, w tym jedną kobietę i jednego aktora niskorosłego. Kontrowersje wzbudza również obsadzenie w roli tytułowej aktorki Rachel Zegler, mająca latynoską urodę. A królewna, Śnieżka właśnie nie wzięła się przecież znikąd – jej imię wskazuje na śnieżnobiały kolor skóry. Po co to zmieniać? Sama Śnieżka nie będzie zaś „bezradną damą w opałach", która musi być uratowana przez pocałunek przystojnego księcia. „Nie zostanie uratowana przez księcia i nie będzie marzyć o prawdziwej miłości. Marzy o zostaniu przywódczynią, którą wie, że może być, i przywódczynią, którą, jak powiedział jej zmarły ojciec, może być, jeśli będzie nieustraszona, uczciwa, odważna i szczera" – stwierdziła Rachel Zegler w rozmowie z dziennikarzem „Variety".

Co więc z „Królewny Śnieżki i siedmiu krasnoludków" zostanie? Po co przerabiać dawne bajki, dzieła kultury, na nowsze, bardziej inkluzywne i różnorodne wersje? Zdaje się, że to dopiero początek „różnorodności", którą do swoich produkcji wprowadza Disney. Cóż, wszystko wskazuje na to, iż zmiany w fabułach bajek spowodowane są nie tylko pragnieniem poprawności politycznej, lecz są także korzystne dla wytwórni z powodów komercyjnych, o czym mówi wprost prezes Disneya, Bob Chapek: „Myślę, że gdy coś wydaje się bardzo skomplikowane, trzeba zgłębić podstawy. Chcemy, aby nasze produkcje odzwierciedlały bogaty i różnorodny świat, w którym żyjemy. Mamy w swoich szeregach najlepszych twórców, którzy widzą to podobnie jak my. Jest to dobre także z komercjalnego punktu widzenia. Wówczas trafiamy do jeszcze szerszego grona odbiorców. Żyjemy w bardzo spolaryzowanym świecie, ale Disney jest zwolennikiem łączenia ludzi i myślę, że uda nam się to zrobić dzięki przedstawianiu różnorodnych postaci oraz historii".

Jednak zmiany w klasycznych bajkach nie są niczym dobrym, stanowią one bowiem nieodłączną część dziecięcego świata. Ten świat dziecka potrzebuje stałości i oparcia, a bajka jest jednym z jego punktów zakotwiczenia w kulturowym świecie. Bajka, jak uczy strukturalistyczny badacz tego gatunku Władimir Propp w „Morfologii bajki", musi posiadać stałe motywy, a jej bohaterowie muszą reprezentować stałe funkcje, a więc działania. Tylko w ten sposób bajki mogą bawiąc uczyć, jak mówił nasz polski twórca bajek Ignacy Krasiński. I tylko niosąc stałą treść i mając te same motywy, bajki mogą przemówić do dziecięcej wyobraźni i być dla niej jej punktem odniesienia w próbach odnajdywania się w świecie.

Stare bajki w nowym świecie

Bajki niosą ze sobą nie tylko określoną opowieść. Trzeba pamiętać również o tym, że bajka to opowieść uniwersalna i archetypowa. Jednocześnie aby swoją uniwersalną treścią oddziaływać na dziecięcy świat, każda jest zanurzona w kontekście kulturowym bliskim czytelnikowi bajek. Inne jest zakotwiczenie kulturowe bajek japońskich, indyjskich czy polskich. Tego kontekstu kulturowego nie da się zmienić, nie naruszając przekazu oraz struktury bajki, a więc też znaczenia, które ona ze sobą niesie. Motywy zaklęcia, wędrówki, złego czaru, postaci dobrych i złych, metamorfozy, istot z innego świata – są nieodłączną cechą magicznego świata bajek. Niosą one naukę o możliwościach przezwyciężenia przeszkód i ostatecznym zwycięstwie dobra. Istnieją też bajki o nieuchronności porażki i one również, na przykład u Andersena, stanowią ważny motyw w rozumieniu świata. Bajki oddziałują raczej tym, co niezrozumiałe, które pojawia się w otoczeniu tego, co rozumiemy, i tym, co dziwne w świecie, który znamy, oraz tym, co niedosłowne i niewypowiedziane. Dlatego oddziałują silniej na dziecięcą wyobraźnię, do której mocniej przemawiają argumenty intuicyjnego rozumienia niż racjonalne dowody. Dlatego zmieniając obraz baśniowego świata, charakter postaci oraz wątki fabularne, ryzykujemy dezinterpretację źródłowego sensu bajki oraz jej metaforycznego przekazu, który jest zdeponowany we właściwej jej strukturze oraz typie postaci. Tego zaś chce dokonać aktualnie Disney, adoptując bajki do wymogów poprawności politycznej obowiązującej w zachodnim świecie.

Tworzy to serię absurdów, które sprawiają, że bajki, które znamy, jawią się karykaturą samych siebie. Przestają być mądre, a stają się zideologizowane i śmieszne dla odbiorców, którzy mają w pamięci dawne adaptacje tych bajek. Czy takie bajki nadal będą uczyć bawiąc, jest wysoce wątpliwe. Będą jedynie

eprasa.pl 4003efe9b0

śmieszyć swoją stereotypowością i wprowadzeniem tematów, które nie przystają do treści bajki, a z drugiej strony zrezygnują z ważnych motywów, które będą wydawały się podejrzane. Bajki zostały bowiem stworzone przez swoich twórców jako pewna treściowa całość i nie można ich dowolnie zmieniać i cenzurować, nie redukując znaczenia i nie zmieniając przy tym ich mądrościowego przekazu.

Dzisiejsze próby zakotwiczenia bajek w problemach współczesnego świata oraz nowej ich adaptacji do wymogów nowoczesnego świata naruszają obie wymienione wyżej zasady. Naruszają stałe motywy dziecięcego świata, co sprawia, że dziecko jest zdezorientowane, gdyż podstawowe motywy bajek, które żyją w jego dziecięcej wyobraźni, zostają zmienione i nie może już odnaleźć w nich dawnego sensu, który organizował jego wyobraźnię i zręby jego rozumienia świata. Poza tym w zbyt radykalnej adaptacji bajki zostaje zmienione jej uniwersalne przesłanie i archetypowy sens, gdy pozbawia się ich pierwotnego kontekstu kulturowego, w którym mogły znaczyć i być dla dziecka rozpoznawalne stosownie do motywów, ról postaci oraz ich działań.

Disney stał się „too woke"

Dosłowne czytanie bajek poprzez pryzmat poprawności politycznej odkrywa w niej szereg wykluczeń i standardowych ról społecznych, które chce wyrugować z wyobraźni kulturowej, popadając w drugą skrajność, a więc czytając przez pryzmat ideologii społecznych i politycznych idei, a pomijając uniwersalny i archetypowy sens bajki, która operuje na poziomie niedosłownym poprzez swoje ogólne motywy i metafory. Ideologiczne czytanie bajki odnajduje w nim jedynie niewłaściwe wzory do naśladowania dla dziecka, zakładając, że dziecko baśniowy świat traktuje dosłownie jako serię lekcji, które należy wprowadzić w życie. Nie dostrzega jednak, że to właśnie płynna granica dziecięcego świata pozwala mu swobodnie przechodzić między fikcją a rzeczywistością, ucząc się na bieżąco ich odróżniania od siebie. Dziecko wie, że matka występująca w bajce nie jest wzorem wszystkim matek, a tym bardziej jego własnej, lecz postacią wymyśloną. Postać fikcyjną konfrontuje z rzeczywistością, dokonując tym samym pierwszego rozumienia różnic między rzeczywistością istniejąca a tą wymyśloną. Stałość motywów bajek pozwala im swobodnie wracać do krainy baśni i nie czuć się w tej krainie zdezorientowanym. Dlatego zmiana treści i przekazu znanych bajek skutkuje zagubieniem u dzieci.

Disney stał się zaś już „too woke", zbyt nachalnie poprawny politycznie. Do granic absurdu. Feministyczne zapędy nowej Królewny Śnieżki wcale nie znajdują uznania w oczach współczesnych jej odbiorców płci żeńskiej. Wiele kobiet jest zniesmaczonych jej „pragnieniem przywództwa". Na portalach internetowych można przeczytać mnóstwo wypowiedzi takich jak ta: „Dlaczego księżniczki nie mogą już być zakochane, zakładać rodziny i prowadzić domu? Dlaczego »nowoczesna narracja« sugeruje, że jeśli pragniesz którejś z tych rzeczy, stajesz się mniej wartościowa jako kobieta? [...] Jeśli kobieta na pierwszym miejscu stawia miłość i rodzinę, jest żałosna i mało ambitna, ale jeśli wybierze karierę, staje się pozbawioną uczuć karierowiczką. Uczy się nas, że mamy tylko dwie opcje do wyboru i dlatego stare księżniczki były zakochane, a nowe są liderkami. Ale dokładnie tak jak mężczyźni możemy łączyć karierę z miłością". Bo przecież – jak pisze inna krytyczka nowej Królewny Śnieżki – „ludzie tak bardzo starają się pokazywać silne kobiety w filmach, że zapominają, jakie naprawdę są kobiety. Wszyscy pragniemy miłości, jesteśmy ludźmi!".

Nowe rozwiązania zamiast absurdów

Lepszym zdecydowanie rozwiązaniem w tej sytuacji niż zmiana treści bajki znanej na potrzeby wytłumaczenia problemów współczesności, byłoby stworzenie równie uniwersalnych bajek, jak te już istniejące, które niosłyby idee wartościowe społecznie i tłumaczyły problemy współczesnego świata. Potrzeba więc nowych bajek, a nie dopasowania tych, które stanowią występujący już kapitał kulturowy, gdyż ich ideologiczna lektura odnajduje w nich treści, które uważa za szkodliwe społecznie czy wykluczające. Może zamiast kręcić coraz nowsze ekranizacje tych samych opowieści osadzonych w kulturze zachodniej i przerabiać pochodzenie etniczne bohaterów, lepiej zająć się opowieściami z innych części świata? Przecież ludzkość w innych częściach globu też ma swoje baśnie, swoje legendy, swoją historię, które można opowiedzieć, nie popadając w absurdy zmieniając na siłę to, co przynależy do jakiegoś obszaru kulturowego. Po co przebarwiać i zmieniać Małą Syrenkę czy Królewnę Śnieżkę, skoro można by stworzyć nowe postaci? Czy to właśnie nie jest przejawem rasizmu? Powiedzeniem „nie zasługujecie na nic własnego"?

Dziecięca wyobraźnia radzi sobie znakomicie z dostrzeganiem tego, co dobre i złe, i w bajkach, i w rzeczywistości. I nie potrzebuje skrojonych na potrzeby ideologicznie bajek, lecz tych niosących archetypową treść, która jest ukryta w każdej mądrej i znanej nam już opowieści. Potrzebujemy więc dla dzieci bajek mądrych, a nie tylko politycznie poprawnych. ■

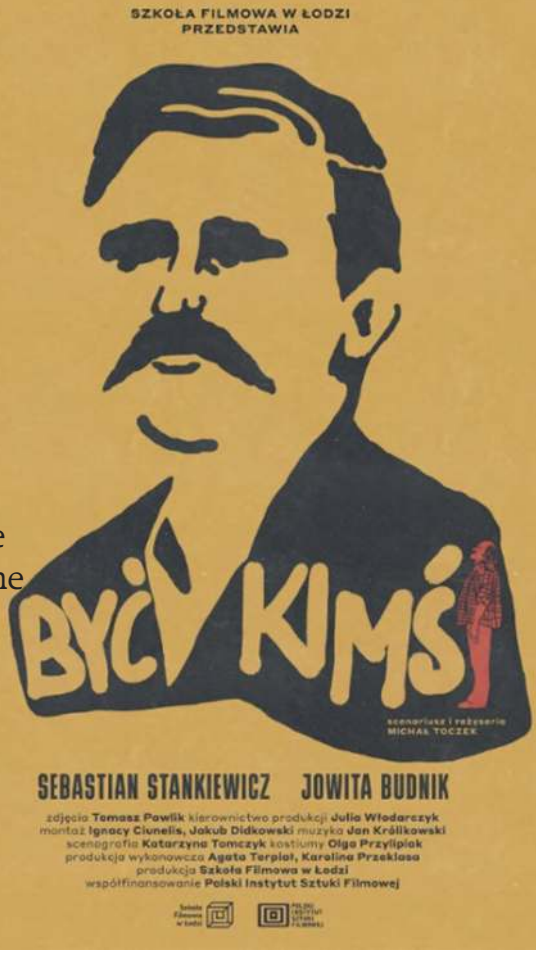
eprasa.pl 4003efe9b0



Krzysztof Karnkowski

Lato krótkich filmów

Polskie kino w ostatnich latach wychodzi z dłuższego kryzysu. Produkcje niezależne i szkolne to zawsze trochę inna historia, tu zawsze dzieje się coś ciekawego. Tak jest również w 2023 roku.



Już od kilkunastu lat w Radomiu odbywa się festiwal filmowy Kameralne Lato. Historia tej imprezy zaczyna się w 2007 roku w Pionkach, do Radomia wydarzenie przeniosło się rok później, by na stałe wpisać się w kalendarz tamtejszych imprez kulturalnych. Kameralne Lato ma zresztą dużo wyższą, ponadlokalną rangę, prezentując filmy twórców z całej Polski i nie tylko z Polski. Od 2022 roku imprezie towarzyszy sekcja międzynarodowa, Freedom Film Festival. Od zawsze natomiast wraz z pokazanymi konkursowymi odbywają się liczne warsztaty dla młodzieży i inne imprezy towarzyszące. Kameralne Lato poświęcone jest krótkim filmom fabularnym, które na festiwal przysyłają zarówno szkoły filmowe, jak i sami twórcy.

Zacznijmy jednak od samego Radomia. To miasto, które w podzielanym przeze mnie odczuciu wielu swoich mieszkańców, wciąż płaci cenę za bunt z 1976 roku. Po robotniczym proteście Ursus stracił prawa miejskie i stał się dzielnicą Warszawy. Radom natomiast padł obiektem szemranej propagandy, czyniącej z tego ciekawego architektonicznie miasta symbol pejoratywnie rozumianej prowincjonalności, miksu zapyziałości i brzydoty, słowem – obciachu. To fałszywe wyobrażenie przeżyło PRL i, mam wrażenie, gdzieniegdzie pokutuje do dziś. Tymczasem dobrze skomunikowany z Warszawą Radom ma coraz bardziej zadbane i urokliwe centrum, dużo przedwojennej architektury, ma instytucje kulturalne i bardzo sympatyczne knajpy. A także owiane internetową sławą bardzo solidne, lecz najtańsze hamburgery w Polsce. Polityczne rozdarcie, w którym różne miejskie władze kontrolowane są przez dwie główne partie, też jak się zdaje, nie zablokowało pozytywnych zmian, jakie od kilkunastu lat widzę w radomskiej przestrzeni miejskiej. Dlatego warto się tam kiedyś wybrać i samemu zobaczyć, że nie taki Radom straszny, jak go malują. Może przy okazji kolejnego festiwalu.

▶ Jedno z ciekawszych odkryć festiwalu

Z przyczyn innych obowiązków zawodowych nie miałem okazji zapoznać się z filmami, które złożyły się na program międzynarodowego Freedom Film

eprasa.pl 4003efe9b0

Festival. Mogę więc jedynie odnotować, że imprezę tę w tym roku wygrał poświęcony protestom białoruskim z 2020 roku film „Na żywo" w reżyserii Mary Tamkovich. Tamkovich odebrała Platynowego Łucznika, natomiast Złoty Łucznik, nagroda dla najlepszego filmu pokazanego w ramach „Kameralnego Lata", trafiła do Michała Toczka za film „Być kimś".

„Być kimś" to dla mnie jedno z ciekawszych odkryć tego festiwalu. To komedia obyczajowa o małżeństwie elektryka i nauczycielki, którzy podejrzanie tanio kupują mieszkanie w bloku. Dość szybko wychodzi na jaw, skąd niska cena nieruchomości. Z reguły w podobnych sytuacjach wyjaśnieniem zagadki jest zbrodnia z przeszłości lub duch. Tu do czynienia mamy z tym drugim, i to w nie byle jakim wydaniu – to duch historii. Okazuje się, że przed laty mieszkał tu Lech Wałęsa, a poznające jego historię wycieczki pozostają utrapieniem kolejnych lokatorów aż do teraz. Również nasze małżeństwo będzie musiało się z tym zmierzyć, a fabułę napędzi ich różny stosunek do samego Wałęsy. Żony nabożny, męża raczej sceptyczny (jako elektryk sceptycznie ocenia kompetencje zawodowe Wałęsy, mierząc się z domową instalacją, czemu zawdzięczamy jedną z lepszych kwestii wypowiedzianych w filmie). Ona zacznie porównywać go ze swoim odkrytym na nowo bohaterem z przeszłości, a on najpierw wejdzie w tę grę, by później spektakularnie nie wytrzymać tej ingerencji w swoją tożsamość. Rzecz jest trochę obok polityki jako takiej, choć znajdziemy tu jej okruchy. Na pewno zaś nie jest to film robiony na kolanach wobec Lecha Wałęsy, który zresztą na prośbę o wykorzystanie wizerunku zwyczajnie nie odpisał. Twórcy uznali to za zgodę i bardzo dobrze się stało, choć nie wiem, czy były prezydent podzieliłby mój entuzjazm.

I dobre, i ciekawe

Z filmów pokazanych na festiwalu na pewno warto zwrócić uwagę na bardzo mocny, choć tym razem niedoceniony przy podziale nagród „Followers. Odpalaj lajwa" Jakuba Radeja. To przefiltrowana przez rzeczywistość social mediów opowieść o szkolnej strzelaninie. Idealny świat, idealna szkoła, wszystko piękne, bezpieczne i na pokaz – w takim otoczeniu niekontrolowana przemoc może stać się jedyną rzeczą mającą pozory autentyczności. Nie przepadam za tym, inspirowanym z reguły prawdziwymi dramatami, podgatunkiem, tu jednak muszę uznać, że film jest dobry, wręcz niebezpiecznie dobry. Inne ciekawe produkcje to w jakimś stopniu pokrewny horror „Kiedy obróci się dom" w reżyserii Marii Ornaf, który zamieszał już na kilku festiwalach; „Wskrzeszenie" Luizy Budejko, opowieść o nastolatce, która nie może pogodzić się ze śmiercią brata, próbuje wykorzystać swe magiczne rozumienie liturgii do jego powrotu; „Piękna łąka kwietna" Emi Buchwald, mająca w sobie coś z kultowego „Upadku" Joela Schumachera opowieść o właścicielu firmy, który z różnych przyczyn nie może dowieźć swej córki na lotnisko, czy „Moje stare". Warto zauważyć też kilka sympatycznych animacji („Fish noir" Kacpra Buratyńskiego, „Ponowa" Pauliny Koniuk-Fonżychowskiej) i zróżnicowanych tematycznie dokumentów, w których możemy poznać byłych więźniów („Wróbel", reż. Marcin Janos Krawczyk) czy starsze osoby, mierzące się ze swoją starością i towarzyszącym jej wykluczeniem („Trzy opowiadania o Basi", reż. Mateusz Pietrak).

Właściwie tak wymienić mógłbym wszystkie zaprezentowane produkcje, z braku miejsca podsumuję je jednak tylko stwierdzeniem, że cieszy zarówno wysoki poziom, jak i dojrzała tematyka filmów. Czasem nawet, poza nielicznymi wyjątkami, dość zachowawcza. Świat nie zmienia się tak szybko, jak czasem może się wydawać, a kolejne pokolenia potrzebują i szukają bliskości, oparcia, przyjaźni i stałości. Wspomniane filmy nie pojawią się w dystrybucji kinowej, jednak na pewno przewijać będą się przez kolejne festiwale w wielu miastach Polski, a część być może trafi później do internetu lub do którejś z tematycznych telewizji, puszczających po nocach tego typu produkcje.

Wojna oczami ofiar

W ramach Kameralnego Lata swą premierę kinową i festiwalową miał również bardzo ciekawy dokument „Wiara, nadzieja i miłość" Magdaleny Juszczyk. To reportaż będący kontynuacją jej innego dokumentu – „Polacy z Donbasu'. Oba te filmy pokazują losy repatriantów z ogarniętych od 2014 roku wojną terenów wschodniej Ukrainy. Poznajemy ich historie i ich oczami oglądamy wojnę, w tym tak istotną i dla nas wojnę hybrydową. Wciąż tę samą, choć łatwo zapominamy, że zaczęła się ona już dziewięć lat temu. Dowiadujemy się jednak dużo również o tym, co działo się w ciągu ostatnich kilkunastu miesięcy – na ogarniętych pożogą terenach wciąż są bliscy bohaterów. Opowieści uzupełniają liczne zdjęcia z wojennej Ukrainy. Oba filmy znajdziemy na sygnowanym nazwiskiem reżyserki kanale YouTube (magdalenajuszczyk). Warto dodać, że obecnie, w ramach działań Fundacji „Pomoc Polakom na Wschodzie" im. J. Olszewskiego, Juszczyk wyreżyserować ma cykl krótkometrażowych dokumentów, poświęconych powstaniu styczniowemu na Litwie. ■

FOT. MAT. PRAS.

eprasa.pl 4003efe9b0

Antoni Rybczyński

Przed Ukrainą była Gruzja. Gdyby posłuchano Kaczyńskiego...

Inwazja na Gruzję powinna być sygnałem alarmowym dla społeczności międzynarodowej, wyraźnym ostrzeżeniem, że wysiłki Zachodu po zakończeniu zimnej wojny, zmierzające do włączenia Rosji w ramy zbiorowego bezpieczeństwa, zawiodły. Tymczasem rok później USA i ich sojusznicy (niektórzy, jak rząd Donalda Tuska, nawet wcześniej) postanowili „zresetować" stosunki z Moskwą i nadal traktować Rosję jako strategicznego partnera, a nie przeciwnika.

„Świetnie wiemy, że dziś Gruzja, jutro Ukraina, pojutrze państwa bałtyckie, a później może i czas na mój kraj, na Polskę!"

Lech Kaczyński, prezydent RP,
12 sierpnia 2008 rok, Tbilisi

eprasa.pl 4003efe9b0



FOT. RADEK PIETRUSZKA/PAP

Lech Kaczyński jest nie tylko wielkim Polakiem, ale też bohaterem narodowym Gruzji" – napisał w mediach społecznościowych w 15. rocznicę inwazji Rosji na Gruzję były prezydent Micheil Saakaszwili. Więziony dziś polityk powtórzył, że wizyta prezydenta Polski w Tbilisi – wraz z prezydentem Ukrainy i liderami państw bałtyckich – odegrała decydującą rolę w ocaleniu gruzińskiej stolicy i państwowości przed rosyjskimi zakusami. „Dwa lata później Lech Kaczyński, jak również prawie stu innych Polaków, zapłacił swoim życiem w Smoleńsku" – napisał Saakaszwili.

Sprowokowana wojna

Na wojnę zanosiło się od dawna. Zarówno Dmitrij Miedwiediew, ówczesny prezydent Rosji, jak i Władimir Putin, ówczesny premier, przyznali później, że Moskwa zaplanowała inwazję już pod koniec 2006 roku, aby zapobiec integracji Gruzji z instytucjami euroatlantyckimi. Natychmiast po tym, jak na szczycie NATO w Bukareszcie nie przyznano Ukrainie i Gruzji Planu na Rzecz Członkostwa w Sojuszu (MAP), Rosja stała się bardziej aktywna w Abchazji i Osetii Południowej. W Suchumi i Cchinwali otwarto przedstawicielstwa Federacji Rosyjskiej, do Abchazji wprowadzono dodatkowe oddziały armii pod pretekstem naprawy linii kolejowej. Podczas wizyty sekretarz stanu USA Condoleezzy Rice w Tbilisi doszło do serii naruszeń gruzińskiej przestrzeni powietrznej w regionie Osetii Południowej, Putin zaczął dużo mówić o „precedensie Kosowa". Rosjanie zaczęli przygotowywać siły na Kaukazie Północnym do manewrów Kawkaz-2008 – to właśnie te oddziały po zakończeniu ćwiczeń zamiast wrócić do baz, uderzyły na Gruzję.

Gruzińskie władze i opinia publiczna tradycyjnie obchodzą rocznicę wybuchu wojny 2008 roku nie ósmego, lecz siódmego sierpnia. To właśnie w nocy 7 sierpnia 2008 roku osetyjscy separatyści ostrzelali z artylerii zamieszkaną przez Gruzinów wieś Avnevi w pobliżu Cchinwali, poważnie raniąc dwóch żołnierzy gruzińskich ze Wspólnoty Sił Pokojowych (JFOR – kontyngent rosyjsko-osetyjsko-gruziński). W ciągu kilku wcześniejszych dni milicja Osetii Płd. (formacja złożona głównie z obywateli Rosji, w tym mieszkańców Osetii Północnej) całkowicie otoczyła wioski w Wąwozie Liakhva, enklawie gruzińskiej w głębi separatystycznego regionu. Ruszył też intensywny ostrzał artyleryjski gruzińskiej wioski Tamaraszeni, bezpośrednio przylegającej do stolicy regionu, Cchinwali. Plan separatystów, czyli stojącej za nimi Moskwy, był jasny: albo Tbilisi nie zareaguje i uda się oczyścić etnicznie region z Gruzinów, albo zareaguje, dając pretekst Rosji do interwencji.

Saakaszwili wybrał to drugie. Gdyby pozostawił rodaków w Osetii Południowej na pastwę losu, uchodźcy stamtąd wzmocniliby opozycyjny przekaz w Gruzji, że rząd nic nie robi w celu ochrony Gruzinów w separatystycznych regionach. Saakaszwili nakazał armii „rozpoczęcie operacji ochrony ludności". Gruzińska armia mogła dostać się do Tamaraszeni, aby pomóc lokalnemu kontyngentowi gruzińskich sił pokojowych z JFOR, tylko przez Cchinwali. Wszystkie wejścia do gruzińskiej enklawy od północy zostały bowiem zablokowane przez osetyjski kontyngent z tych samych sił mieszanych JFOR. Więc Gruzini uderzyli na siły osetyjskie i przy okazji bazę rosyjskich sił z JFOR w Cchinwali.

Rosja tylko na to czekała, przez Tunel Rokijski pod głównym pasmem Wielkiego Kaukazu, do Osetii Południowej zaczęły wjeżdżać kolumny rosyjskiej 58. Armii. Jednocześnie uderzono z Abchazji. Wielokrotnie słabsza gruzińska armia (w tym czasie jej najlepsze oddziały wspomagały Amerykanów w Iraku) trzymała się dwa dni. Potem obrona pękła i pojawiło się zagrożenie odcięciem centrum kraju od Morza Czarnego oraz rajdem pancernym Rosjan na samo Tbilisi. W tym krytycznym momencie, u boku Saakaszwilego w centrum Tbilisi, 12 sierpnia pojawili się przywódcy Polski, Ukrainy i krajów bałtyckich. Tego samego dnia Francja, pełniąca prezydencję w UE, doprowadziła do podpisania porozumienia, nazywanego od nazwisk sygnatariuszy – prezydentów Rosji i Francji – porozumieniem Miedwiediew–Sarkozy. Według relacji Saakaszwilego, Sarkozy naciskał na przyjęcie rosyjskich warunków, bo „ani on, ani George W. Bush nie wyślą żołnierzy". Jak wspominają uczestnicy rozmów francusko-rosyjskich, Władimir Putin miał otwarcie powiedzieć, że „powiesi Saakaszwilego za jaja". Następnie sekretarz stanu USA Condoleezza Rice przyleciała do Francji, po czym udała się do Gruzji, gdy walki wciąż trwały, opracowała poprawki do zawieszenia broni i uzyskała podpis Saakaszwilego.

Niesprawiedliwy pokój

Według oficjalnych danych, od 7 do 13 sierpnia 2008 roku w Osetii Południowej i na całym terytorium Gruzji, w wyniku walk i ostrzału rakietowego ze strony rosyjskiej zginęło 170 gruzińskich żołnierzy, 14 funkcjonariuszy Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i 224 cywilów. 130 tys. osób zostało zmuszonych do opuszczenia swoich domów. We-

eprasa.pl 4003efe9b0

dług rosyjskiego Komitetu Śledczego, w tym samym okresie zginęło 48 żołnierzy armii rosyjskiej i 162 osetyjskich cywilów. Jeśli chodzi o tę drugą grupę, w rzeczywistości mogli to być żołnierze tzw. milicji ludowej – jak zaczęto nazywać armię Osetii Południowej po 8–9 sierpnia. Prawdziwi cywile zostali bowiem ewakuowani do Rosji po 1 sierpnia, w związku z przygotowaniami osetyjskich władz do ataku na wioski w gruzińskiej enklawie. Prezydenta Saakaszwilego opozycja krytykowała za to, że nie zarządził ewakuacji cywilów z gruzińskiej enklawy. W rezultacie wielu z nich zginęło, nie będąc w stanie uciec z okrążenia.

W czasie działań zbrojnych rosyjskie wojska zajęły część terytorium samej Gruzji, z którego wycofały się po podpisaniu rozejmu. Pozostały jednak na terenach Osetii Południowej i Abchazji, a pod koniec sierpnia Rosja uznała „niepodległość" Abchazji i Osetii Południowej, co Gruzja uznała za „jawną aneksję". Setki miejscowości, w tym Achałgori, znalazły się pod kontrolą Cchinwali, podczas gdy władze Abchazji przejęły kontrolę nad wąwozem Górnego Kodori. Po uznaniu Abchazji i Osetii Południowej za niepodległe państwa po wojnie, a następnie podpisaniu umów z faktycznymi władzami, Rosja zwiększyła swoją obecność wojskową w obu separatystycznych regionach. W 2009 roku podpisano porozumienia w sprawie wspólnych wysiłków na rzecz ochrony granic, które przekazały uprawnienia w zakresie ochrony granic rosyjskiej agencji straży granicznej FSB.

Do dziś ponad 20 proc. terytorium Gruzji jest nadal okupowane przez Federację Rosyjską. Do dziś też Rosja nie wdrożyła sześciopunktowego porozumienia o zawieszeniu broni, które wtedy negocjował w imieniu UE prezydent Francji Nicolas Sarkozy. Co więcej, Rosjanie kontynuują przesuwanie linii okupacyjnej (tzw. proces graniczenia) na terytorium kontrolowanym przez gruziński rząd, dzielą lokalne społeczności drutem kolczastym, porywają miejscowych cywilów. Tylko w ciągu ostatnich pięciu lat niektóre domy w gruzińskich miejscowościach nagle znalazły się na terenach niekontrolowanych przez władze w Tbilisi. Gruziński rząd nic z tym nie robi.

Pomimo oficjalnego uznania Rosji za agresora, w ciągu piętnastu lat nie zrobiono nic w sprawie przywrócenia integralności terytorialnej Gruzji. Przypomnijmy, że w wyniku wojny rosyjsko-gruzińskiej Rosja w 2008 roku uznała niepodległość dwóch gruzińskich regionów – Abchazji i Osetii Południowej – i przeniosła dodatkowe wojska i broń do swoich baz wojskowych na tych terytoriach. Wszystkie państwa na świecie – z wyjątkiem Wenezueli, Nikaragui, Nauru i Syrii – uważają te regiony za gruzińskie terytorium pod rosyjską okupacją. Rządząca od 2012 roku ekipa Iwaniszwilego przyjęła tę sytuację za oczywistą i nie zaprząta sobie głowy kwestią odzyskania kontroli nad dwoma regionami. Brak solidarności z Ukrainą, niejasne stanowisko w sprawie rosyjskiej agresji, brak reform w kraju, krytyka Zachodu – to wszystko sprawia, że partnerzy zachodni Gruzji mogą czuć się zwolnionymi z obowiązku starań o przywrócenie integralności terytorialnej Gruzji.

Konflikt w 2008 roku w Gruzji był ostatnim dzwonkiem alarmowym dla świata. Powinien natychmiast zmienić postrzeganie putinowskiej Rosji przez Zachód. Dziś wiemy, że przenikliwością wykazał się jedynie Lech Kaczyński.

Nieodrobiona lekcja

Choć działania wojenne w 2008 roku miały miejsce wyłącznie na terytorium Gruzji, Tbilisi wciąż musiało wtedy i później udowadniać na różnych forach, że to Rosja rozpoczęła wojnę. Duża część Zachodu przyjęła narrację Kremla, że za wojnę odpowiedzialny jest Saakaszwili. Dochodzenie specjalnej komisji UE w sprawie okoliczności wojny rosyjsko-gruzińskiej w 2008 roku, prowadzone przez szwajcarską dyplomatkę Heidi Tagliavini, nie dało jednoznacznej odpowiedzi na pytanie o odpowiedzialność za rozpoczęcie konfliktu. W raporcie Tagliavini stwierdzono, że za wybuch wojny odpowiadają obie strony. Tyle że działania gruzińskie poprzedziły liczne prowokacje rosyjskie i Gruzja zachowała się tak, jak oczekiwała Rosja.

Oceny prawne działań Rosji w Gruzji pojawiły się wiele lat później. Wyrok Europejskiego Trybunału Praw Człowieka w Strasburgu z 21 stycznia 2021 ro-

eprasa.pl 4003efe9b0

ku stwierdza, że Federacja Rosyjska, jako „państwo sprawujące okupację i skuteczną kontrolę w gruzińskich regionach Abchazji i Cchinwali/Osetii Południowej", jest odpowiedzialna za naruszenie szeregu postanowień i artykułów Europejskiej Konwencji Praw Człowieka podczas wojny sierpniowej w 2008 roku oraz podczas późniejszej okupacji terytoriów Gruzji. O rosyjskiej okupacji jest też mowa w wyroku wojennym Międzynarodowego Trybunału Karnego w Hadze z 2008 roku. W 2022 roku MTK wydał nawet nakazy aresztowania trzech separatystów z Cchinwali oskarżonych o popełnienie zbrodni wojennych podczas konfliktu z Gruzją. Czwartym oskarżonym był generał Wiaczesław Borysow z rosyjskich Wojsk Powietrznodesantowych. Nakaz aresztowania nie został wydany z powodu jego wcześniejszej śmierci.

Konflikt w 2008 roku był ostatnim dzwonkiem alarmowym dla świata. Powinien natychmiast zmienić postrzeganie putinowskiej Rosji przez Zachód. Dziś wiemy, że przenikliwością wykazał się jedynie Lech Kaczyński. Inni lekcji nie odrobili. A nie był to wcale trudny egzamin, bo odpowiedzi na pytania były oczywiste. Po pierwsze, Putin był gotów rozpocząć wojnę, aby zmusić do posłuszeństwa kraj, który uważał za część rosyjskiej strefy wpływów. Powtórzył to z Ukrainą w 2014 roku. Po drugie, Stany Zjednoczone nie były w stanie zapobiec konfliktowi (choć próbowały), ale mogły powstrzymać Putina przed zniszczeniem suwerenności Gruzji. USA były zdolne zrobić to samo w przypadku Ukrainy: nie były w stanie odwrócić natychmiastowych zysków Rosji na Ukrainie, ale pomogły Ukrainie powstrzymać Putina przed zniszczeniem ukraińskiej suwerenności. Po trzecie, Gruzja skutecznie obroniła swoją suwerenność przy wsparciu USA i Europy, nie wykorzystała jednak zdobytego czasu na wzmocnienie kraju od wewnątrz. Oligarcha Bidzina Iwaniszwili wygrał wybory, wykorzystując niedociągnięcia i błędy Saakaszwilego, ale ani nie kontynuował najbardziej udanych reform poprzednika, ani nie rozpoczął własnych.

Międzynarodowa reakcja na rosyjską kampanię wojskową – nie licząc takich wyjątków, jak wyprawa liderów Polski, Ukrainy i krajów bałtyckich do Tbilisi – okazała się bardzo słaba, a Moskwa nie poniosła właściwie żadnych konsekwencji złamania prawa międzynarodowego i rozpętania pierwszej w XXI wieku wojny w Europie. Inwazja na Gruzję powinna być sygnałem alarmowym dla społeczności międzynarodowej, wyraźnym ostrzeżeniem, że wysiłki Zachodu po zakończeniu zimnej wojny, zmierzające do włączenia Rosji w ramy zbiorowego bezpieczeństwa, zawiodły. Tymczasem rok później USA i ich sojusznicy (niektórzy, jak rząd Donalda Tuska, nawet wcześniej) postanowili „zresetować" stosunki z Moskwą i nadal traktować Rosję jako strategicznego partnera, a nie przeciwnika.

Pomijając fatalne konsekwencje dla bezpieczeństwa Europy i świata wynikające z faktycznego zachęcania Kremla do dalszej agresji, wojna 2008 roku przesądziła też o losie Saakaszwilego. „Niestety, Iwaniszwili nie widzi różnicy między zachodnimi wartościami a rosyjskim brakiem skrupułów. Jest postsowieckim biznesmenem i dla niego zysk ekonomiczny jest ważniejszy niż integralność terytorialna. Najwyraźniej jest gotów poświęcić ją, a także euroatlantyckie aspiracje narodu gruzińskiego, jeśli zażąda tego jego partner biznesowy, czyli Rosja. Przynajmniej wszystkie działania Gruzińskiego Marzenia przemawiają za tą tezą. Gruzja zwalnia tempo reform, oddala się od NATO i UE, oficjalna krytyka strategicznych partnerów Tbilisi staje się coraz ostrzejsza, a okupująca kraj Rosja jest poza krytyką władz. Co ciekawe, w zamian za taką lojalność Gruzińskie Marzenie nie otrzymuje nic poza zyskiem gospodarczym: w rzeczywistości PKB rośnie o 10 proc. rocznie. Ale w tym czasie w Cchinwali i Abchazji etniczni Gruzini są pozbawieni prawie wszystkich praw, lokalne dokumenty nie są wydawane, edukacja w ich ojczystym języku jest zabroniona, nowe terytoria pod kontrolą Tbilisi są przejmowane przez nielegalne granice i tak dalej" – zauważa w rozmowie z Voice of America gruziński analityk Kacha Gogolaszwili.

Celem maksimum Rosji, gdy decydowała się wciągnąć Gruzję w wojenną pułapkę, było obalenie Saakaszwilego i zainstalowanie w Tbilisi swoich marionetek. To się nie udało, także dzięki inicjatywie dyplomatycznej Kaczyńskiego (wyprawa liderów Europy Środkowo-Wschodniej do Gruzji wywarła duże wrażenie na administracji amerykańskiej i sprawiła, że powoli zbliżająca się do końca swej drugiej kadencji ekipa George'a W. Busha w końcu mocniej się zaangażowała po stronie Tbilisi). Celem minimum Kremla było osłabienie Gruzji i obozu nim rządzącego, a w dłuższej perspektywie zablokowanie dążeń Tbilisi do NATO i UE, co oznacza powrót do rosyjskiej strefy wpływów. Patrząc na to, kto dziś Gruzją rządzi i jaką politykę prowadzi – ten cel udało się zrealizować. Gruzja nie przyłączyła się do sankcji przeciwko Rosji, przeciwnie, gospodarczo coraz bliżej z Moskwą współpracuje. Relacje z Ukrainą są fatalne. Z Zachodem coraz gorsze, a o wejściu do NATO już chyba nikt nie myśli, co potwierdził szczyt w Wilnie. Zaś Saakaszwili odsiaduje wyrok więzienia. W szpitalu, bo jego stan zdrowia jest coraz gorszy. ■

eprasa.pl 4003efe9b0

Ryszard Czarnecki

W Baku domy mówią po polsku

Znów jestem w Azerbejdżanie, kraju z historycznych powodów bliskiemu Polsce. Mało kto wie, że Stefan Żeromski, autor „Przedwiośnia", którego akcję umieścił po części właśnie tam, na Kaukazie Południowym, nigdy w Baku nie był. Wiadomości, które później spożytkował, opisując postać Cezarego Baryki, czerpał z opowieści dwóch Polek, które przebywały w azerbejdżańskiej stolicy wraz z polskimi mężami – aptekarzami. Gdy Żeromski mieszkał na Zamku Królewskim w Warszawie, jego rekonstrukcją kierował jeden z najwybitniejszych polskich architektów, którzy odcisnęli swoje piętno w Azerbejdżanie – Kazimierz Skórewicz, przez pewien czas generalny architekt Baku. Żeromski nie wiedział, że na korytarzach Zamku mija się z prawdziwą skarbnicą wiedzy o Baku, które w „Przedwiośniu" opisał. Zaś Skórewicz nie zdawał sobie sprawy, że zamkowy lokator pisze powieść, której akcję umieścił w kraju tak dobrze mu znanym.

Państwo polskie było wówczas biedne i latami zalegało Skórewiczowi z opłatami za prace wykonane na Zamku Królewskim. W końcu zdesperowany architekt uzyskał audiencję u ówczesnego premiera, gen. Sławoja-Składkowskiego. Szef rządu zaproponował mu wypłatę, którą Skórewicz uznał za więcej niż skromną. Wówczas wzburzony wykrzyczał do premiera, który do polskiej historii przeszedł także dzięki budowie „sławojek" – toalet na wsiach nazwanych tak od jego nazwiska: „Ależ panie premierze! W Baku, gdzie pracowałem, więcej płacą za wychodek niż w Polsce za zamek królów".

Gdyby wziąć pod uwagę stopień wykształcenia, to właśnie Polacy górowali nad wszystkimi innymi mniejszościami narodowymi zamieszkującymi w Baku przed I wojną światową. Miejscowi mówili nawet o „polskiej mafii" – architektach, którzy budowali pałace naftowych oligarchów, domy użyteczności publicznej, ale też meczety. Bo Azerbejdżan to taki dziwny muzułmański kraj, który na przełomie XIX i XX wieku zapraszał chrześcijan – Polaków do budowy islamskich świątyń.

Co do bakijskich aptekarzy, to był wśród nich powszechnie szanowany polski patriota January Wyszyński. Miał syna Andrzeja, który stał się rewolucjonistą. Mało kto dziś wie, że osławiony prokurator generalny ZSRS Andriej Wyszyński, ten, który powtarzał: „Dajcie mi człowieka, a ja znajdę na niego paragraf", urodził się jako Polak, by potem pójść drogą Dzierżyńskiego i Marchlewskiego, których nienawiść do carskiej Rosji doprowadziła do komunizmu.

Gdy upadł carat, Azerbejdżanie krótko byli „na swoim". Baku przechodziło z rąk „białych" Rosjan do rąk „czerwonych" Rosjan, ale istniała I Republika Azerbejdżańska (1918–1920), w świecie znana jako Demokratyczna Republika Azerbejdżanu, a czasem jako Azerbejdżańska Republika Ludowa. Wolny Azerbejdżan miał własną walutę, własne znaczki i własną armię. A szefem jej sztabu był nasz rodak Maciej Sulkiewicz (1865–1920), polski Tatar, a więc wyznawca islamu, co wzbudzało do niego, poza jego umiejętnościami wojskowymi, jeszcze większe zaufanie miejscowych. Myślałem o nim, będąc w Baku przed budynkiem jednej z pierwszych na świecie szkół dla dziewcząt-muzułmanek. W tej szkole, stojącej na bardzo wysokim poziomie, przez lata uczyła żona tego bohatera dwóch narodów. Gdy przyszli bolszewicy, gen. Sulkiewicza zamordowali. Był jedną z ofiar komunizmu – Polaków. Szacuje się, że zginęło tam wówczas około 150 naszych rodaków, w tym jedna trzecia zmarła z wycieńczenia, pracując jako „wrogowie komunizmu" w „karnych batalionach budowlanych". Do tych polskich ofiar sowieckich represji należy doliczyć czterech rodaków urodzonych już w Azerbejdżanie, którzy służąc państwu polskiemu jako oficerowie, zostali aresztowani przez Sowietów w 1939 roku i zamordowani w Katyniu.

Idąc dziś ulicami Baku co chwilę natrafiamy na budowle wzniesione przez Polaków. Nawet herb azerbejdżańskiej stolicy został wymyślony przez jednego z nich, architekta Józefa Gosławskiego. Przedstawia on trzy płomienie ognia, co oczywiście wiąże się z odkryciem ropy naftowej, która stała się źródłem bogactwa tego kraju. Ponad 90 proc. budynków stojących przy głównej ulicy stolicy to dzieło naszych rodaków. Tu domy mówią po polsku... ■

eprasa.pl 4003efe9b0

Hanna Shen



Tak minął miesiąc w Azji

Co działo się w minionym miesiącu na kontynencie azjatyckim i wokół niego? Poniżej prezentujemy omówienie wydarzeń, które niekoniecznie trafiają na pierwsze strony gazet, lecz są ważne.

Chiny

Niepokojące dane ekonomiczne z Państwa Środka potwierdzają, że prowadzenie interesów w Chinach i z tym krajem oraz inwestowanie tam jest bardzo niebezpieczne.

Benedict Rogers, konserwatysta, brytyjski działacz na rzecz praw człowieka i założyciel fundacji Hong Kong Watch, w artykule pt. „Prawdziwe ryzyko prowadzenia działalności gospodarczej w Chinach", jaki ukazał się na amerykańskim portalu Foreign Policy, zwraca uwagę, że robiąc interesy w Chinach, można stracić nie tylko pieniądze, lecz także wolność albo być współwinnym czerpania korzyści z pracy przymusowej.

Rogers sprowadził na przesłuchania do brytyjskiego parlamentu dwóch cudzoziemców, którzy byli uwięzieni w ChRL: byłego korespondenta zagranicznego, który obecnie bada przedsiębiorstwa pod kątem identyfikacji źródeł ryzyka dla ich działalności – Petera Humphreya oraz rumuńskiego teologa i nauczyciela Mariusa Balo.

Według Humphreya, w ChRL przetrzymywanych jest w tej chwili co najmniej 5 tys. cudzoziemców, często z politycznych powodów. Sam Humphrey spędził dwa lata w chińskich więźniach pod sfabrykowanymi zarzutami „nielegalnego pozyskiwania danych osobowych" obywateli chińskich – w wyniku swojej pracy jako korporacyjny śledczy. W trakcie przetrzymywania zachorował na raka, ale w więzieniu odmówiono mu odpowiedniego leczenia. W rezultacie jego stan się pogorszył i przez pięć lat po wyjściu na wolność musiał walczyć o życie.

Marius Balo spędził osiem lat w chińskich więzieniach pod fałszywym zarzutem współudziału w oszustwach biznesowych. W trakcie przetrzymywania był świadkiem śmierci co najmniej dwóch współwięźniów-cudzoziemców, ponieważ odmówiono im opieki medycznej. „Chiński system więziennictwa wykorzystuje zdrowie więźniów jako broń do wymuszania zeznań, odmawiając udzielenia pomocy medycznej więźniom, którzy nie przyznają się do winy" – twierdzi Humphrey.

Rogers wskazuje, że poza więźniami sumienia w Chinach – dysydentami, wyznawcami różnych religii oraz Ujgurami i Tybetańczykami w chińskich gułagach – ofiarami komunistycznego reżimu w ChRL są także osoby takie jak Humphrey i Balo, więźniowie przetrzymywani za domniemane przestępstwa. „Wśród milionów więźniów w Chinach ani jeden nie miał uczciwego i przejrzystego procesu. Ani jeden" – powiedział Humphrey. „Wyroki są zwykle surowe, niespójne i nieproporcjonalne do jakiegokolwiek przewinienia. Cały system jest więc arbitralny i zależny od kaprysów urzędników partii komunistycznej. System działa na korzyść każdego, kto ma koneksje, by używać prawa do bicia ludzi, których nie lubią".

Zeznając przed brytyjskim parlamentem Humphrey mówił, że w czasie procesu w Państwie Środka nie dopuszcza się na przykład żadnych dowodów sprzecznych z oskarżeniem, nie wzywa się świadków obrony ani nie zezwala się na przesłuchanie świadków oskarżenia. Świadkowie oskarżenia są zobowiązani jedynie do złożenia pisemnych zeznań i nie muszą stawić się osobiści. Nie ma więc możliwości obrony.

„Policja nie prowadzi dochodzeń za pomocą prawdziwej pracy detektywistycznej ani procedur kryminalistycznych" – dodał Humphrey. Zamiast tego polega na wydobywaniu zeznań od zatrzymanych „przesłuchiwanych zamkniętych w klatce" i wymuszaniu „zeznań od świadków". Nie dziwi więc, twierdzi Rogers, że „99,9 procent postępowań kończy się wyrokami skazującymi, a 99,9 procent apelacji jest odrzucanych".

eprasa.pl 4003efe9b0

Balo opowiadał, że przed procesem był przetrzymywany w celi o powierzchni 11 metrów kwadratowych i było tam od 10 do 12 innych więźniów, z których żaden nie mówił po angielsku. Nigdy go nie wypuszczano na zewnątrz, z wyjątkiem przesłuchania. „Nigdy nie byłem torturowany fizycznie. Za to doświadczyłem psychologicznych tortur" – powiedział. „Nie mogłem się z nikim skontaktować. Nigdy nie widziałem światła dziennego. Kiedy poszedłem do sądu, wsadzili mi torbę na głowę". Każdego ranka wszyscy w celi budzili się o 6 rano i byli zmuszani patrzeć, jak współwięźniowie załatwiają się w dziurze w kącie, która była jedyną dostępną toaletą. W telewizorze nad tą dziurą leciały programy propagandowe reżimu.

Zarówno Humphrey, jak i Balo mówili o tym, że chińskie więzienia i gułagi to „gigantyczne przedsiębiorstwo handlowe, które ma przynosić zyski komunistycznemu reżimowi, dochody funkcjonariuszom więziennym i finansować działalność więzienną".

Więzienne fabryki produkują tony towarów na rynki międzynarodowe, od butów sportowych, odzieży i artykułów codziennego użytku po produkty elektroniczne. Humphrey i Balo widzieli, jak „chińscy więźniowie maszerowali do fabryk zaraz po 6 rano każdego dnia, pracowali po 12 godzin dziennie, sześć dni w tygodniu, a siódmego dnia pisali raporty ideologiczne. „Musieli śpiewać »Komunistyczna Partia Chin jest moją matką«, kiedy maszerowali" – wspomina Balo.

Jak pisze Rogers, więźniowie-cudzoziemcy na ogół nie muszą wykonywać ciężkich prac fabrycznych, lecz „zamiast tego wykonują prace ręczne w pomieszczeniach roboczych w bloku z celami", na przykład wytwarzają torby na prezenty dla sieci handlowych, opakowania, kartki świąteczne czy plastikowe metki do sprzedaży detalicznej. Balo mówił o tym, jak pakował kartki świąteczne dla sieci supermarketów Tesco, a Humphrey był świadkiem produkcji artykułów dla takich marek jak H&M, C&A czy 3M.

„Chińscy więźniowie generują ogromne zyski" – powiedział Humphrey. W konsekwencji „nie ma motywacji do wcześniejszego zwalniania więźniów. Istnieje za to motywacja, by trzymać więźniów tak długo, jak to możliwe, aby wycisnąć jak więcej z tej siły roboczej".

Benedict Rogers słusznie zwraca uwagę, że ma to „implikacje dla firm na Zachodzie. Globalne marki korporacyjne są naiwne, jeśli wierzą, że mogą produkować w Chinach bez ryzyka wykorzystywania pracy przymusowej w swoich łańcuchach dostaw".

▶ Korea Północna

17 sierpnia Rada Bezpieczeństwa ONZ po raz pierwszy od sześciu lat zajęła się kwestią praw człowieka w Korei Północnej. O dyskusję na ten temat zabiegały Stany Zjednoczone, które sprawują rotacyjną miesięczną prezydencję w Radzie, wraz z Albanią i Japonią.

„Z naszych informacji wynika, że ludzie w Korei Płn. stają się coraz bardziej zdesperowani, ponieważ nieformalne rynki i inne mechanizmy radzenia sobie są demontowane, a strach przed państwową inwigilacją, aresztowaniami, przesłuchaniami i zatrzymaniami wzrósł" – powiedział agencji AP wysoki komisarz ONZ ds. praw człowieka Volker Türk.

Według Türka pomimo wygasania pandemii COVID-19 ograniczenia w państwie rządzonym przez Kim Dzong Una znacznie wzrosły. Strażnicy mogą strzelać do każdej nieupoważnionej osoby zbliżającej się do granicy, a prawie wszyscy cudzoziemcy, w tym personel ONZ, nadal mają zakaz wstępu do Korei Płn.

Türk powiedział, że w ramach nasilających się represji na przykład każdy, kto zostanie przyłapany na oglądaniu „reakcyjnej ideologii i kultury" – co oznacza informacje z zagranicy, zwłaszcza z Korei Południowej – może teraz zostać skazany na karę więzienia od 5 do 15 lat. Tym, którzy rozpowszechniają takie materiały, grozi dożywocie, a nawet kara śmierci.

Elizabeth Salmón, peruwiańska prawniczka i specjalna sprawozdawczyni ONZ ds. praw człowieka w Korei Północnej, powiedziała w czasie dyskusji w Radzie, że kobiety i dziewczęta w tym kraju są przetrzymywane w niehumanitarnych warunkach i poddawane torturom, pracy przymusowej i przemocy ze względu na płeć.

Oprócz raportów urzędników ONZ delegaci na spotkaniu wysłuchali zeznań Ilhyeoka Kima, Koreańczyka z Północy, który uciekł z kraju, gdy miał 17 lat. Powiedział Radzie, że w młodym wieku został zmuszony do pracy na polu bez wynagrodzenia, a całe uprawiane zboże trafiło do wojska. „Pieniądze wydane na jedną rakietę mogłyby nas wykarmić przez trzy miesiące, ale rząd się tym nie przejmuje i jest zainteresowany tylko utrzymaniem władzy, rozwojem broni nuklearnej i tworzeniem propagandy usprawiedliwiającej jego działania" – stwierdził Kim.

Prowadzone przez Amerykanów spotkanie Rady Bezpieczeństwa ONZ, Korea Płn. określiła jako „nikczemne" i że jedynym jego celem była pomoc Waszyngtonowi w osiągnięciu jego celów geopolitycznych. Na pomoc Pjongjangowi przyszły też Moskwa i Pekin. Dmitrij Polanskij, zastępca ambasadora Rosji w ONZ, nazwał dyskusję „prowokacją" i „bezwstydną próbą" Stanów Zjednoczonych i innych krajów zachodnich „wykorzystania Rady do realizacji ich własnego, upolitycznionego programu". Geng Shuang, chiński ambasador przy ONZ, stwierdził, że kwestie praw człowieka wykraczają poza zakres misji Rady, ponieważ warunki panujące w Korei Płn. nie „stanowią zagrożenia dla międzynarodowego pokoju i bezpieczeństwa". ■

eprasa.pl 4003efe9b0

Antoni Rybczyński

Kuszenie Afryki. Rosja oferuje zboże i Wagnera

To była frekwencyjna, i nie tylko, klapa. Drugi Szczyt Rosja–Afryka w Sankt Petersburgu pod koniec lipca nie był symbolem ekspansji rosyjskiej na Czarnym Lądzie. Oczywiście gospodarze coś tam uzyskali, ileś umów podpisano, ale zasadniczo dwudniowa impreza nad Newą raczej pokazała, że wojna z Ukrainą, a już szczególnie rosyjska blokada ukraińskiego eksportu zboża, rozeźliły Afrykanów.



eprasa.pl 4003efe9b0

Szczyt pokazał też, że Moskwa stawia na ekspansję z użyciem wagnerowców. Faktem jest, że w ostatnich latach kilka krajów w ten sposób przeciągnięto na stronę rosyjską. Ich liderzy byli w Petersburgu. Ale jednocześnie taka strategia rosyjska odstrasza większość afrykańskich przywódców – szczególnie tych demokratycznie wybranych. Wszak któż może być dziś pewny, że nagle nie obali go armia, a potem wezwie na pomoc rosyjskich najemników. Przewrót wojskowy w Nigrze, choć nie Rosjanie w nim pomagali (acz mogą skorzystać jeszcze), wydarzył się właśnie w trakcie szczytu Rosja–Afryka. Stając się symbolicznym ostrzeżeniem dla przywódców z Czarnego Lądu.

Szczyt w Petersburgu

Dla Kremla drugi już szczyt z przywódcami państw afrykańskich (pierwszy odbył się w 2019 roku w Soczi) miał bardzo duże znaczenie. Miał pokazać, że Rosja wcale nie jest międzynarodowo izolowana, a świat nie kończy się na Zachodzie. Miał pokazać, że wojna z Ukrainą i ten jej aspekt, który od początku dla Afryki był najważniejszy, czyli ograniczenie eksportu ukraińskiego zboża, a od połowy lipca zupełna morska blokada dla statków wypełnionych ziarnem dla afrykańskich między innymi krajów, wcale nie zaszkodziły Moskwie. Że Afryka w sprawie konfliktu zbrojnego i w sprawie wojny zbożowej podziela punkt widzenia putinowskiego reżimu. Przed szczytem w Sankt Petersburgu (27–28 lipca) Kreml donosił, że swój udział potwierdziło 49 afrykańskich przywódców. Ostatecznie było ich tylko 17 (inne kraje miały przedstawicieli niższego szczebla) – a przecież do Soczi przyjechało ich 43. Już sam ten fakt był porażką Putina i swego rodzajem wotum nieufności Afryki wobec działań Rosji na Ukrainie. Wszak do zerwania umowy zbożowej doszło 10 dni przed szczytem. Wiele państw Afryki jest zależnych od importu zbóż z Ukrainy i Rosji. Zachód od początku prowadzonej na pełną skalę agresji Rosji na Ukrainę oskarżał Kreml o wykorzystywanie żywności jako broni i wyrachowaną próbę destabilizowania światowych rynków, co najbardziej uderza w państwa globalnego Południa.

Nic dziwnego, że właśnie zboże było jednym z głównych tematów szczytu, jak i dwustronnych spotkań Putina z gośćmi z Czarnego Lądu. Prezydent Rosji powiedział, że Moskwa podaruje Burkina Faso, Zimbabwe, Mali, Somalii, Republice Środkowoafrykańskiej i Erytrei 25–50 tys. ton zboża w nadchodzących miesiącach. Mówił, że Rosja spodziewa się w tym roku rekordowych zbiorów i jest gotowa zastąpić ukraiński eksport zboża do Afryki. Co tylko potwierdza, że jednym z motywów blokady morskiej Ukrainy, obok kwestii militarnych, było uderzenie w bezpośredniego rywala na światowym rynku eksportu zboża. Rosja i Ukraina to absolutna czołówka. Zresztą „programowe stanowisko" w tej sprawie Putin przedstawił parę dni przed szczytem, w artykule opublikowanym na stronie Kremla. Rosyjski prezydent twierdzi, że umowa zbożowa została zerwana z winy Zachodu, a Rosja może zastąpić ukraińskie zboże na światowym rynku. Putin próbuje w ten sposób przerzucić odpowiedzialność za naruszenie łańcuchów dostaw żywności, w tym do krajów Afryki, wskazując jako winnych Zachód i Ukrainę. Chce też zniwelować straty wizerunkowe, związane z tym, że nie może osobiście wziąć udziału w szczycie BRICS. Władze RPA zgodnie z nakazem Międzynarodowego Trybunału Karnego w Hadze powinny go bowiem zaaresztować w przypadku pojawienia się na terytorium tego afrykańskiego kraju. Putin przez „dyplomację zbożową" z Afryką chce pozyskać przychylność tych państw, by np. wstrzymywały się podczas głosowań w ONZ potępiających agresję na Ukrainę czy naciskały na Zachód, by rozluźnił sankcje.

Wydaje się, że Putin jednak nie osiągnął celu. Zimbabwe już odrzuciło ofertę dostaw zboża. „Jesteśmy wdzięczni, ale nie narzekamy na deficyt zboża. Zadbaliśmy o bezpieczeństwo, jeśli chodzi o ilość żywności, więc byłby to tylko dodatek do tego co mamy" – poinformował prezydent Emmerson Mnangagwa. Jednym z najważniejszych gości był jednak prezydent Egiptu. W drugim dniu odbywającego się w Petersburgu szczytu Rosja–Afryka Abd el-Fatah es-Sisi wezwał Rosję do wznowienia umowy zbożowej, która umożliwiała eksport ukraińskiego zboża przez Morze Czarne. Egipski prezydent powiedział, że „niezbędne jest osiągnięcie porozumienia" w sprawie wznowienia umowy. Egipt jest jednym z największych importerów ukraińskiego zboża transportowanego przez Morze Czarne. W Internecie pojawiło się nagranie sprzed spotkania Putina z Sisim w Petersburgu, na którym rosyjski prezydent przez dłuższą chwilę czeka na egipskiego odpowiednika, który demonstracyjnie się spóźnił.

Jak Zachód traci Afrykę

„Garść darów" nie zrekompensuje dramatycznych skutków wycofania się Rosji z umowy zbożowej, która umożliwiła eksport 30 mln ton ukraińskiego zboża do Afryki – tak ofertę Putina dla paru afrykańskich krajów skomentował sekretarz generalny ONZ Antonio Guterres. Globalne ceny pszenicy wzrosły o 10 proc. w ciągu dziesięciu dni po ze-

FOT. MIKHAIL METZEL / SPUTNIK / KREMLIN POOL/PAP

eprasa.pl 4003efe9b0

rwaniu przez Moskwę umowy zbożowej. Rozpętana przez Rosję wojna z Ukrainą niemal na pewno spotęguje brak bezpieczeństwa żywnościowego w całej Afryce przez co najmniej kolejne dwa lata. Zdaniem doradcy prezydenta Ukrainy Mychajło Podoljaka szczyt Rosja–Afryka był kolejnym dowodem na to, że pozycja Władimira Putina słabnie i że nie jest on już silnym przywódcą. Podoljak wskazał, że „wielu przywódców krajów afrykańskich nie przyjechało na szczyt, a ci, którzy wzięli w nim udział, nawet ci zależni od Rosji w sprawach finansowych i zbrojeń, otwarcie odrzucili oferowaną im jałmużnę i wypowiadali się z pozycji dyktatu, zwłaszcza w kontekście Czarnomorskiej Inicjatywy Zbożowej". „Pomyślcie, kraje afrykańskie nie uważają Putina za podmiot w globalnych procesach politycznych. I prowadzili z nim całkiem agresywne rozmowy. Przez trzy dni Putin błagał o cokolwiek afrykańskich przywódców. Tak zachowuje się osoba poniżona, zmieszana i spanikowana. Utwierdziliśmy się w poglądzie, że Putin nie jest już silnym liderem" – powiedział Podoljak.

Co jest więc tak atrakcyjnego w Rosji, że wciąż pozostaje ważnym partnerem dla wielu krajów afrykańskich? Podczas otwierającego szczyt petersburski przemówienia Putin ogłosił, że Afryka stanie się jednym z kluczowych partnerów Rosji w „nowym, wielobiegunowym świecie". Cóż, nie samą gospodarką człowiek żyje. Są jeszcze kwestie kulturowe, ideologiczne i geopolityczne. Zachód ich nie docenia, uważając, że liczy się pieniądz. A jeśli docenia, to mocno różni się z większością konserwatywnie usposobionych Afrykanów. Dla nich demokracja nie jest bożkiem. I w tę lukę wchodzi Rosja. Choćby stosunek do kwestii LGBT. Uganda spotkała się w tym roku z krytyką Waszyngtonu za nowe prawo przewidujące karę śmierci za „nasilony homoseksualizm". Prezydent Joe Biden zagroził sankcjami w związku z „cofaniem się demokracji" w Ugandzie, wcześniej przez dekady lojalnym partnerem w oczach USA. No to prezydent Ugandy Yoweri Museveni poleciał do Petersburga i był uczestnikiem panelu pt. „Jakie formy nowego kolonializmu są dziś narzucane globalnej większości przez Zachód?". Uganda jest zresztą

W wigilię szczytu Rosja–Afryka w Nigrze doszło do wojskowego zamachu stanu. Z punktu widzenia Kremla ważnego i dającego nadzieję na zdobycie kolejnego przyczółku na Czarnym Lądzie.

Pomijając kwestię dostaw zboża – tutaj nikt nie ma w Afryce wątpliwości, że winna jest Rosja, a oferta Putina to wręcz policzek – generalnie gospodarczo Rosja nie jest atrakcyjnym partnerem dla Afryki. Nie licząc pojedynczych inwestycji energetycznych (atom, ropa, gaz) w kilku krajach, Moskwa nie jest w stanie stać się ważnym graczem na Czarnym Lądzie. Gdzież jej do innych zewnętrznych potęg! Zresztą nie chodzi tylko o inwestycje, lecz także choćby o wielkość wymiany handlowej. Obecnie, jeśli mowa o jakimkolwiek finansowym zaangażowaniu Rosji w Afryce, to są to sumy cztery razy mniejsze niż w przypadku USA, i po około 20 razy mniejsze niż w przypadku Chin i UE. Na pierwszym szczycie Rosja–Afryka w 2019 roku Putin obiecał podwoić handel Rosji z kontynentem w ciągu pięciu lat. Zamiast tego utknął w martwym punkcie na poziomie około 18 mld dolarów rocznie. Rosja odpowiada za mniej niż 1 proc. zagranicznych bezpośrednich inwestycji w Afryce, do tego nie dostarcza niemal żadnej pomocy humanitarnej.

teraz jednym z największych nabywców broni z Rosji, głównego dostawcy broni w Afryce, obok Algierii, Egiptu, Maroka, Etiopii, Angoli i Burkina Faso. W afrykańskich mediach Rosja stara się kreować na przyjaciela Afryki, w odróżnieniu od krajów Europy Zachodniej. Podkreśla, że nigdy nie kolonizowała tamtejszych terytoriów, milcząc na temat skutków swojego imperializmu w Europie i Azji.

Pucz w Nigrze

W wigilię szczytu Rosja–Afryka w Nigrze doszło do wojskowego zamachu stanu. Z punktu widzenia Kremla ważnego i dającego nadzieję na zdobycie kolejnego przyczółku na Czarnym Lądzie. Obalony, demokratycznie wybrany prezydent Mahmoud Bazoum prowadził politykę prozachodnią, był faworytem Francji (byłej metropolii kolonialnej), ważnym koalicjantem Zachodu w wojnie z dżihadystami coraz potężniejszymi w Sahelu (w Nigrze stacjonuje 1,5 tys. francuskich żołnierzy wyrzuconych wcze-

eprasa.pl 4003efe9b0

śniej z sąsiedniego Mali przez prorosyjską juntę oraz 1 tys. Amerykanów). I co ważne, jako jeden z niewielu liderów afrykańskich, Bazoum otwarcie popierał Ukrainę i krytykował Rosję za inwazję. Departament Stanu USA zaprzeczył jednak, jakoby istniały wskazówki, iż z zamachem stanu w Nigrze miała być powiązana Grupa Wagnera. Francuskie media podkreślały jednak obecność rosyjskich flag i prorosyjskich haseł na demonstracjach zwolenników puczu. Szef Grupy Wagnera Jewgienij Prigożyn określił zamach stanu w Nigrze jako „uniezależnienie się od kolonialistów".

Szefem junty wojskowej został generał Abdourahamane Tchiani, od ponad dekady dowódca Gwardii Prezydenckiej. Tchiani uzasadniał pucz „pogorszeniem się sytuacji bezpieczeństwa" w kraju zagrożonym ze strony dżihadystów. Jednak bardziej chodziło tu o wewnętrzne rozgrywki w Niamey. Zapowiadający reformy prezydent należy do liczącej zaledwie 1,5 proc. populacji Nigru grupy Arabów Diffa, nomadów ze wschodu kraju. Mógł napotkać opór dominujących grup etnicznych (Hausa, Zarma, Tuaregowie) zainteresowanych zachowaniem *status quo*. Po drugie, od początku miał związane ręce. Przekazując władzę Mohamedowi Bazoumowi w 2021 roku, rządzący wcześniej Nigrem przez dekadę Mahamadou Issoufou wymusił zachowanie swojego głównego kręgu siłowików. Nowy prezydent był więc zdany na mundurowych lojalnych wobec jego poprzednika. Musiał uważać na armię oraz Issoufou i jego ugrupowanie Parti Nigérien pour la Démocratie et le Socialisme (PNDS).

Bazoum zdecydował jednak w końcu, że nigerska armia musi przejść głęboką transformację. W kwietniu 2023 roku prezydent wymienił szefa sztabu armii i szefa żandarmerii narodowej. To wywołało alarm wśród mundurowych. Choć pogłoski o zamachu stanu pojawiać się zaczęły już w lutym. Czynnikiem, który zdecydował o puczu, okazał się jednak plan zdymisjonowania dowódcy Gwardii Prezydenckiej. Bazoum nie mógł być zakładnikiem człowieka, któremu nie ufał. Tym bardziej że nazwisko kontrowersyjnego generała było już wymieniane w związku z nieudanym puczem z 2015 roku.

Afryka rosyjska

To siódmy zamach stanu w tej części Afryki od 2020 roku. Który jeszcze bardziej skomplikuje wysiłki Zachodu, mające na celu pomoc krajom Sahelu w walce z dżihadystyczną rebelią, która rozpoczęła się przed kilkoma laty w Mali. Przewroty wojskowe wszędzie w regionie jedynie wzmocniły miejscowe grupy związane z Al-Kaidą i Państwem Islamskim. Pucze w Mali (2021) i Burkina Faso (2022) zmniejszyły międzynarodowe wsparcie przeciwko dżihadystom. Z obu państw wycofały się znaczne siły francuskie, a ONZ zakończyła trwającą od 2018 roku misję pokojową w Mali. Zamachy stanu przyspieszają rozprzestrzenianie się rebelii salafitów i dżihadystów, odwracając uwagę sił bezpieczeństwa (priorytetem jest utrzymywanie junt wojskowych), eliminując zachodnich sojuszników i pogarszając położenie ludności cywilnej. Wszystko wskazuje na to, że według tego samego schematu pogorszy się sytuacja bezpieczeństwa także w Nigrze.

Pucz w Nigrze to cios dla Francji. Współpraca z tym właśnie krajem Sahelu miała być trzonem nowej strategii francuskiej w regionie. Po fiasku misji w Mali i Burkina Faso, Paryż zamierzał skupić się na wspieraniu lokalnych sił dostarczając broń i zapewniając szkolenia, zamiast zastępować je w boju z dżihadystami żołnierzami francuskimi. To odejście do działań w stylu Operacji Barkhane, gdy Francuzi *de facto* stali w pierwszej linii wojny z dżihadystami. Teraz ma to się odbywać dyskretnie, przez wspieranie, a nie angażowanie się bezpośrednio w działania zbrojne. Francja ma jednak w Nigrze około 1,5 tys. żołnierzy. Powtarza się scenariusz z sąsiednich krajów. Podobnie jak w Mali i Burkina Faso, puczowi towarzyszą antyfrancuskie i zarazem prorosyjskie nastroje. Junta zarzuciła Francji, że łamie dekret o zamknięciu granic lądowych i powietrznych.

Dużo wskazuje na to, że Rosja odbierze Francji (i Zachodowi) kolejny kraj afrykański, dawna kolonia wchodząca w skład Afryki Francuskiej. Jeszcze w maju w wywiadzie prasowym Bazoum przypominał, że Grupa Wagnera stała za pogłoskami o puczu w Nigrze w lutym, podczas jego wizyty w Paryżu. Lider małej partii, który współpracował z Rosjanami, został wtedy aresztowany. Niger ma znaczące złoża uranu, co jest łakomym kąskiem dla Rosji. To siódmy co do wielkości producent tego minerału na świecie, co więcej, jego złoża są najwyższej jakości w Afryce. Jeszcze ważniejszym surowcem jest złoto. Do tego przez Niger miałby biec gazociąg łączący złoża w Nigerii z algierskim wybrzeżem, skąd są połączenia z Europą. No i Niger ma (jeszcze) umowę z UE o zapobieganiu nielegalnej imigracji. Graniczy z prorosyjskimi Mali i Burkina Faso, z przyjazną Moskwie Algierią, z ciążącą ku Rosji Libią. To kolejne ważne ogniwo w rosyjskiej strategii budowania wpływów w Afryce. Ewentualna inwazja demokratycznych krajów regionu (ECOWAS) może zachęcić juntę nigerską do sojuszu z Moskwą. ■

eprasa.pl 4003efe9b0



Marcin Wolski

Plac na rozdrożu

Historia choć niechętnie się do tego przyznaje, jest w dużej mierze opowieścią o błędach popełnianych tak przed przywódców, jak i zbiorowości. Przy czym błędy popełniane przez demokrację miewają nieraz boleśniejsze i dalej idące konsekwencje niż szaleństwa poszczególnych monarchów. Rzadko pamięta się o tym, że decyzja o przekazaniu władzy w Niemczech hitlerowcom była w dużym stopniu wynikiem werdyktu wyborczego z towarzyszeniem tchórzostwa elit (von Papen, Hindenburg), dzięki temu Hitler i za sprawą umiejętnego wykorzystania prowokacji (pożar Reichstagu) mógł powoływać się na mandat społeczny. Podobnie rzecz miała się z komunistami – wybory w 1917 roku w Rosji zostały wygrane przez bolszewików i lewicowych eserów i tylko zidioceniu tych drugich „zawdzięczamy", że bolszewikom udało się objąć pełnię władzy, a następnie wykończyć co do jednego swoich jeszcze niedawno silniejszych koalicjantów. Także Putin i Łukaszenka to dyktatorzy wybrani ongiś demokratycznie. Oczywiście decyzje podejmowane przez lud wynikają często z prowokacji i manipulacji – gdyby nie odtrącenie penisów hermom w Atenach (zapewne przez alcybiadesową „partię wojny"), prawdopodobnie nie wybuchłaby wojna peloponeska i Grecja tak szybko by nie upadła. Gdyby w odpowiedzi na depeszę emską Francja nie wypowiedziała wojny Niemcom, nie przegrałaby jej haniebnie, a dynastia Bonapartych mogłaby rządzić do dziś. Podobnie zamach w Sarajewie był tylko detonatorem, wielką wojnę można było zatrzymać. Niestety rozkołysane przez media nastroje społeczne wbrew intencjom władców i obawom sztabów generalnych doprowadziły do eskalacji, która musiała zakończyć się konfliktem.

Czasami popełniane błędy zdają się drobne. Na przykład ten, który nakazał Konstytuancie francuskiej uchwalić zasadę, że jej członkowie nie mogą kandydować w następnych wyborach, pozbawiło Francję dotychczasowej elity, otwierając furtkę różnej maści populistom, z Jakobinami na czele. Również nasze „liberum veto" na początku nie wydawało się groźne, zakładało bowiem chwalebną jednomyślność połączoną z odpowiedzialnością. A taktyczna decyzja Chmielnickiego na radzie perejasławskiej, aby za strategicznego sojusznika wybrać nie Polskę i nie Turcję, tylko Rosję, przesądziła los Ukrainy na ponad trzy wieki. Oczywiście były w naszych dziejach decyzje ze wszech miar rozsądne: przyjęcie chrztu przez Mieszka I, uchwała panów polskich i litewskich na unii personalnej, która doprowadziła do Rzeczpospolitej Dwojga Narodów, czy werdykt społeczeństwa w 1989 roku skreślenia krajowej listy wyborczej, co uruchomiło proces upadku reżimu.

Oczywiście o historyczności decyzji dowiadujemy się często poniewczasie. „Chwila dziejowa" może się okazać epizodem, i odwrotnie!

Odsyłając insygnia cesarskie do Konstantynopola, Odoaker myślał, że jest to akt tymczasowy, a nie kres Imperium Rzymskiego; formalna abdykacja Stanisława Augusta była najgłupszym i najhaniebniejszym działaniem w naszych w dziejach, ponieważ prawnie wykreśliła nas z mapy świata. Gdyby nie ów akt, w ciągu najbliższych dwóch dekad wszystko można było odkręcić.

> NIE PRZECENIAJĄC NASZYCH DECYZJI W PAŹDZIERNIKU, MAM PRZECZUCIE, ŻE CZEKA NAS COŚ NIESŁYCHANIE WAŻNEGO.

Dlatego nie przeceniając naszych decyzji w październiku, mam przeczucie, że czeka nas coś niesłychanie ważnego. Usłyszymy zbiorowy głos społeczeństwa w takich kwestiach jak: Polska suwerenna czy jeden z landów niemieckiej Europy; Polska bezpieczna czy niespokojne pogranicze na granicy Imperium Zła; Polska pogodna, uśmiechnięta i jednorodnie etniczna czy też kraj przypominający muzułmańską kasbę, składającą się praktycznie z samych stref no-go; czy wreszcie Polska obywateli, w której najważniejsze dobra należą do nas, czy też karczma zajezdna, w której nawet sztućce należą do obcych. Stoimy więc na placu na rozdrożu i decydujemy, czy nasze sprawy będą się ślimaczyć jak remont Trasy Łazienkowskiej za Trzaskowskiego, czy też spotkamy się wreszcie pod Łukiem Triumfalnym Cudu nad Wisłą. ■

eprasa.pl 4003efe9b0

Tomasz Sakiewicz

Nowa światowa ekonomia

Od II wojny światowej ludzkość przeżywała największą zmianę w historii procesów gospodarczych. Polegała ona na tym, co dzisiaj nazywa się globalizacją. Produkt przestał być przywiązany do jednego kraju zarówno w sensie jego powstawania, jak i sprzedaży. Oczywiście zjawisko handlu surowcami czy półproduktami było znane zawsze, lecz stanowiło margines światowej gospodarki. Po wojnie szczególna zmiana zaczęła dotyczyć produkcji. Przede wszystkim nastąpił jej gwałtowny wzrost. Barierą było istnienie państw komunistycznych, które do lat 70. szczelnie odgradzały się od wolnego rynku. Ale około pół wieku temu komuniści w wielu krajach zaczęli otwierać się zarówno na produkcję, jak i zachodnie technologie, które często po prostu kradli. W przypadku PRL chętnie też brali pożyczki z zachodnich instytucji finansowych. Stanie w rozkroku tylko przyspieszyło upadek tradycyjnego komunizmu w Europie, a w Azji, szczególnie w Chinach – przejście na częściowo wolny rynek przy utrzymaniu reżimu politycznego. Świat rzeczywiście stał się globalną wioską pod względem gospodarczym.

Globalna wioska zaczęła jednak masowo produkować patologie. Biedne kraje stały się rezerwuarem taniej siły roboczej, powoli odbierając zdolności produkcyjne krajom wysoko rozwiniętym. Dodatkowo paliwożerny Zachód uzależnił się energetycznie od państw nieprzyjaznych jego kulturze, takich jak państwa arabskie czy Rosja. Tracąc potencjał produkcyjny i wydając pieniądze na tanie źródła energii, państwa zachodnie zaczęły produkować masowo puste walory, co doprowadziło do kilku wielkich krachów finansowych. Dostawcy energii i taniej produkcji też nie zawsze wyszli na tym idealnie. W krajach naftowych rękę na zyskach z paliw kładły wąskie grupy słabo dbające o powszechny dobrobyt i rozwój kraju. Z kolei u tanich producentów wzmacniały się reżimy pilnujące, by demokratyzacja społeczeństwa nie doprowadziła do wzrostu kosztów produkcji. Zamiast iść w jakość, dusili społeczne aspiracje. Ten model dekadę temu zaczął się powoli chwiać. Po pierwsze, emisja pustego pieniądza pomagała łagodzić gwałtowne kryzysy, zwiększając prawdopodobieństwo kolejnych. Na dłuższą metę doprowadziło to państwa zachodnie do szukania efektywniejszych form gospodarowania. Po drugie, rewolucja łupkowa spowodowała, że tradycyjni dostawcy paliw przestali trzymać monopol. Wreszcie do gry coraz odważniej zaczęły wchodzić kraje Europy Środkowej oraz nowi czempioni, na przykład Indie, Brazylia, Wietnam itd. Europa Środkowa stała się o tyle ciekawa, że jednoczyła trzy osie rozwoju: nowe linie produkcyjne, wzrastające rynki i euroazjatycką logistykę. Sprawę przesądziły pandemia i wojna na Ukrainie. Tradycyjne łańcuchy dostaw uległy poważnym zaburzeniom. Europa jednocześnie bardzo szybko zaczęła dywersyfikować źródła dostaw energii. Uderzyło to mocno w kilka państw. Najwięcej traci Rosja, która nie tylko wykrwawia się na Ukrainie, lecz przede wszystkim ma ogromny problem ze sprzedażą paliw. Tracą Chiny, których produkcja jest wypierana przez inne kraje. Tracą Niemcy, pierwsza gospodarka Europy uzależniona od taniej rosyjskiej energii i kontaktów handlowych z Chinami. Oczywiście zyskują USA, na dłuższą metę pewnie Wielka Brytania, jak przechoruje szok brexitu, i wreszcie Europa Środkowa. Ale zmiany w geopolityce to tylko część tego procesu. Zmienia się oblicze światowej gospodarki. Globalność nie oznacza już specjalizacji, lecz zdolność do szybkiego przejmowania możliwości produkcyjnych i surowcowych przez gospodarki narodowe. Każdy szuka własnych źródeł energetycznych, a już na pewno bezpiecznych kierunków ich dostaw. Z kolei państwa najbardziej rozwinięte dywersyfikują zagraniczną produkcję i skracają łańcuchy produkcyjne. Gospodarki stają się bardziej wielofunkcyjne i mniej wyspecjalizowane. Reżimy muszą więc zwrócić uwagę na rozwój wewnętrznych rynków, a to powoduje, że bez demokratyzacji społeczeństw stworzą tylko niebezpieczne bańki, które kiedyś pękną. ■

REŻIMY MUSZĄ ZWRÓCIĆ UWAGĘ NA ROZWÓJ WEWNĘTRZNYCH RYNKÓW, A TO POWODUJE, ŻE BEZ DEMOKRATYZACJI SPOŁECZEŃSTW STWORZĄ TYLKO NIEBEZPIECZNE BAŃKI, KTÓRE KIEDYŚ PĘKNĄ.

eprasa.pl 4003efe9b0

plus

polsat box

Telewizja Polsat Box z Disney+ + Światłowód Plusa



Telewizja Pakiet S – 55 kanałów z Disney+. Światłowód S – do 300 Mb/s.
Od 13. mies. 98,99 zł/mies. z rabatami, od 25. mies. 127,99 zł/mies. z rabatem.

Telewizja

Światłowód

Disney+
Oglądaj teraz

Pobierz ulotkę

Oferta dotyczy wybranych wariantów ofert dla nowych Klientów, którzy łącznie kupią ofertę internetu stacjonarnego Plusa i telewizji Polsat Box z pakietem podstawowym S i pakietem dodatkowym Disney+ z umowami na okres podstawowy 24 mies. **Internet stacjonarny S** do 300 Mb/s z abonamentem przez pierwszych 12 mies. za 19 zł/mies. z rabatami za e-fakturę 10 zł, smartDOM 9 zł specjalny 21 zł. Od 13. do 24. mies. za 40 zł/mies., z rabatami za e-fakturę 10 zł i smartDOM 9 zł. Od 25. mies. za 59 zł/mies. z rabatem za e-fakturę 10 zł. Szczegóły w Regulaminie Promocji z grupy ofert „Plus Internet Stacjonarny– oferta łączona" na plus.pl. **Telewizja satelitarna/kablowa IPTV** z pakietem S i pakietem dodatkowym Disney+ przez pierwszych 12 miesięcy bez opłat (dotyczy tylko pakietu S z pakietem dodatkowym Disney + i nie obejmuje innych pakietów dodatkowych, opłaty jednorazowej za aktywację dekodera ani opłat za internet), od 13. do 24. mies.od 58,99 zł/mies. Od 25. mies. od 68,99 zł/mies. Technologia kablowa IPTV działa z internetem stacjonarnym Plusa (min. prędkość 8 Mb/s dla kanałów HD i 25 Mb/s dla kanałów 4K na dekoder). Szczegóły w Warunkach Oferty i Regulaminie na polsatbox.pl. **Warunkiem skorzystania z rabatu** jest zachowanie warunków programu smartDOM i zgoda na przekazywanie danych pomiędzy Cyfrowym Polsatem S.A. a Polkomtelem Sp. z o.o. Szczegóły w Regulaminie „smartDOM 5 – Telewizja, Internet, Telefon" na polsatbox.pl i plus.pl. Oferta ważna na dzień 1.09.2023 r.

© 2023 Disney i podmioty powiązane.

eprasa.pl 4003efe9b0